

MIESIĘCZNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

Cena 7 zł (w tym 5% VAT)

KRAKÓW

Nr 02 (171) Luty 2019

Paweł Adamowicz
Gdańsk
†2019



9 771733 045903 02
ISSN 1733-0459 Indeks 388726

WYSPIAŃSKI WYSPIAŃSKI
 UNKNOWN NIEZNANY

mnk
 MUZEUM
 NARODOWE
 W KRAKOWIE



wystawa do / exhibition open until 5.05.2019

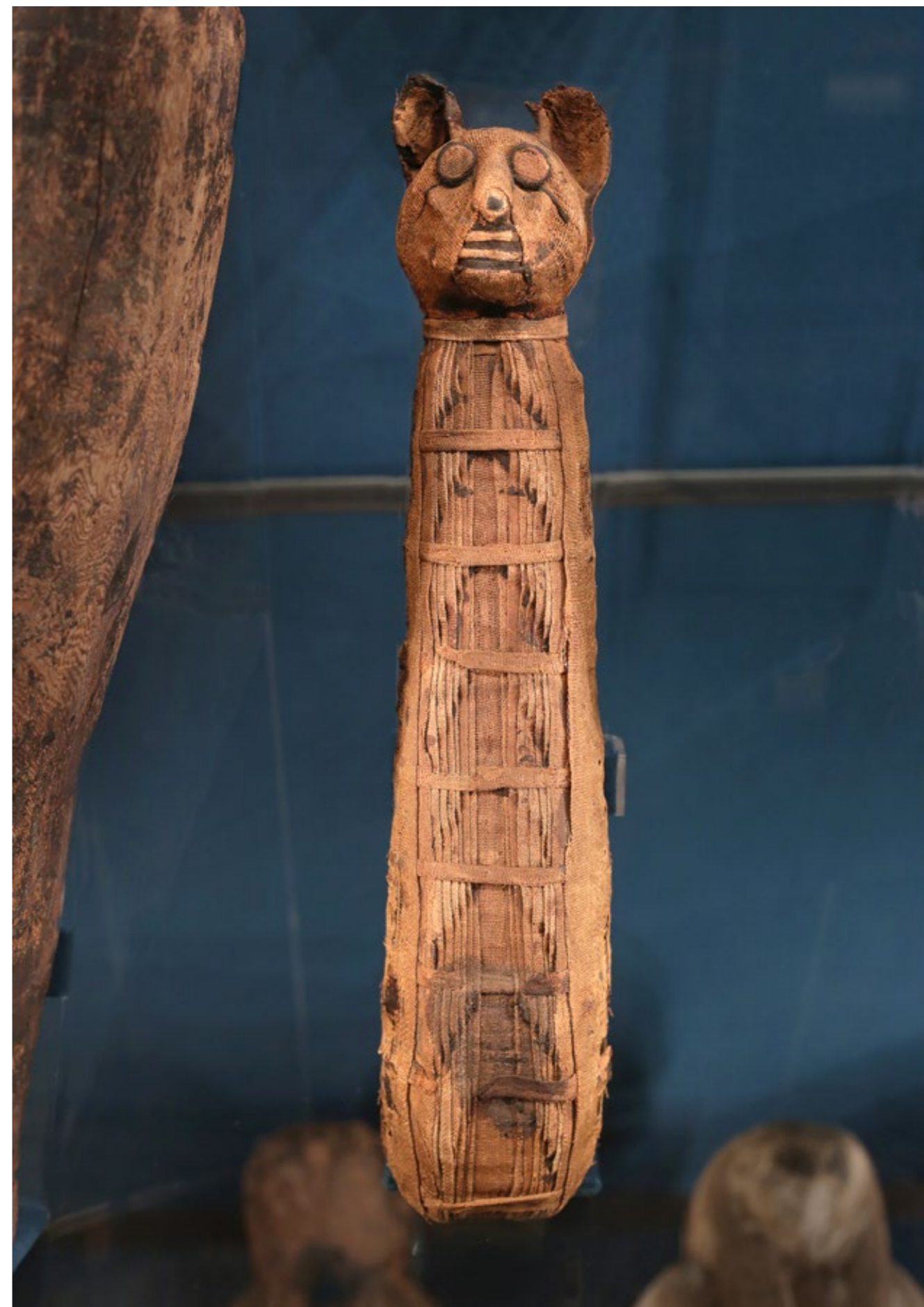
Muzeum Narodowe w Krakowie / The National Museum in Krakow
 Gmach Główny / Main Building, al. 3 Maja 1 mnk.pl

Honorowy Patronat
 Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego
 prof. dr. hab. Piotra Glińskiego
 Honorary Patronage
 of the Minister of Culture and National Heritage
 Piotr Gliński, PhD

Ministerstwo
 Kultury
 i Dziedzictwa
 Narodowego

niepodlega

POLSKA
 KRAJOWA
 BIBLIOTEKA
 NIEPODLEGŁOŚCI



Mumia kota, okres ptolemejsko-rzymski (332 p.n.e. – 395 n.e.), el-Ashmunein, starożytny Egipt; wysokość 36,5 cm, fot. Grzegorz Kozakiewicz / za wiedzą i zgodą Muzeum Archeologicznego w Krakowie

O miłościach

Tekst: Bartłomiej Dobroczyński

Miłość to słowo wytrych, bo przecież kochać można zarówno męża, żonę, dziecko, jak i psa, kapuśniak, deszcz, Kraków. Ale właściwie nie wiemy, w którym momencie możemy tak naprawdę odpowiedzialnie użyć tego słowa: miłość.

Każda rzecz, która się człowiekowi przydarza w życiu, może być opisana z dwóch perspektyw: tego, co on sam doświadcza i czuje, oraz analizy czysto naukowej: fizycznej, chemicznej, neurologicznej itd. Także miłość da się przedstawić albo jako osobiste przeżycie, albo jako działanie serotoninu, noradrenalin czy kortyzoli. Popularne media przekonują nawet, że na przykład miłość do dziecka to po prostu oksytocyna, a za miłość do książek odpowiada coś innego. W rzeczywistości sprawa wydaje się bardziej skomplikowana, bo trudno wskazać miejsce w mózgu, w którym powstaje decyzja o miłości. Dlatego obok perspektywy opierającej się na nauce niezbędne okazuje się wprowadzenie wątku egzystencjalnego.

Dawniej Schopenhauer i Freud, a dzisiaj psychologowie ewolucyjni przekonują, że w miłości rolę odgrywają różne ukryte i nieświadome motywy. Choć myślimy, że zakochujemy się w jakichś przedmiotach osobowości czy urody, to tak naprawdę zakochanie nie jest żadnym wzniosłym i romantycznym pro-

Miłości nie da się sprowadzić jedynie do tego, co mi się przydarza, co się ze mną dzieje. Jej elementem musi być aktywność w postaci zaangażowania.

cesem, ale wynika z prozaicznej skłonności do posiadania potomstwa z taką, a nie inną osobą. W tym sensie miłość miała być jednym ze zwykłych ludzkich doświadczeń.

Tyle że miłości nie da się sprowadzić jedynie do tego, co mi się przydarza, co się ze mną dzieje. W rzeczywistości jej elementem musi być aktywność w postaci zaangażowania.

Oczywiście, najpierw pojawia się uczucie. Jest ono jednak tylko zapłonem, bo potem potrzebne jest paliwo. Różne psychologiczne teorie miłości podkreślają rolę a to pasji, a to intymności, a to innych elementów. Lecz na najprostszym poziomie miłość to relacja między dwoma podmiotami. Na podobieństwo tańca: coś musi przecież do miłości pociągnąć, czyli odwołać się do jakichś potrzeb czy skłonności.

Tu pojawia się kolejny problem: aby coś było pociągające, musi być przynajmniej częściowo znane, bo przecież nie może podobać się coś kompletnie obcego. Równocześnie wiadomo, że pierwiastek tajemniczości i obcości właśnie jest pierwszorzędnym

stymulatorem i katalizatorem fascynacji, a więc i miłości. Ten dylemat – i to wobec samego Boga, z definicji niepoznawalnego przecież – miał nawet Aureliusz Augustyn, w kręgach katolickich uznany za świętego. Pytał sam siebie: czy możemy tęsknić do Boga i Go kochać, skoro go nie znamy, ba, nie możemy do końca poznać?

Więcej, nawet gdy pojawi się uczucie, owa inspiracja, to niekoniecznie trzeba na nią zareagować. Co z tego, że zobaczy się psiaka czy kotka, do którego skłania się całe serce, jeśli pojawi się refleksja: przecież mam pracę, często wychodzę z domu, nie będę miał czasu się nim należycie opiekować!

Tak samo jest z każdym innym obiektem miłości: można wejść w relację, ale się nie musi. Można kochać Tatry albo Kraków, ale porzucić je dla kariery w Warszawie albo Nowym Jorku czy dla ukochanej osoby, która akurat mieszka gdzie indziej.

Lecz nawet jeśli za uczuciem pójdzie decyzja o wejściu w relację, to potem trzeba ją zorganizować. Ba, kultywować niczym ogrodnik swoje uprawy. Bo miłość to inspiracja połączona z zobowiązaniem do jej podsywania i podtrzymywania. Kto posadzi roślinę, musi – aby wyrosła – ją podlewać. Tak samo o miłość trzeba dbać – inaczej trafi ją szlag. Stąd właśnie wynika konieczność szukania dodatkowych paliw, które podtrzymują uczucie – nie tylko zresztą do ludzi, ale też zwierząt, miejsc, aktywności czy przedmiotów.

Najgorsze, że wcale nie gwarantuje to sukcesu. Można zaangażować się w miłość, lecz po pewnym czasie uznać, że gra nie jest warta świeczki. W prawie nazywa się to rozpadem pożycia czy rozwodem, a w plotkarskich serwisach – znalezieniem nowego partnera bądź pocieszeniem w ramionach nowej ukochanej.

Psychologia z definicji traktuje zresztą uczucia jako stany krótkotrwałe. Zwłaszcza miłość bywa boleśnie nietrwała. Wygasa i tyle. Statystyki dowodzą, że ludzie się coraz częściej rozwodzą i coraz częściej nie ma się jednego partnera przez całe życie, lecz wielu – i to różnego rodzaju.

Naturalnie, są różne rodzaje miłości. Czym innym jest miłość w sensie zmysłowego romansu, a czym innym miłość rodzicielska, braterska czy bliska przyjaźni – bo są przecież przyjaźnie będące długotrwałym, pielęgnowanym związkiem. To, co dopuszczalne w jednych relacjach, jest trudno wyobrażalne w innych. Jeśli mężczyzna mówi kobiecie, że ją kocha, a potem ją zostawia (albo odwrotnie), jest to społecznie zrozumiałe – przynajmniej w obecnej epoce. Ale postawa taka wobec innych osób – na przykład ro-

dziców czy dzieci – zrozumiała nie będzie. Jeśli ktoś powie swojemu nastoletniemu dziecku, że nie spełnia jego oczekiwań w szkole lub w ubiorze, więc już przestał je kochać i wyrzuca z domu, wszyscy uznają go za zwyrodnialca. Tymczasem gdy ktoś ogłosi o swoim rozczarowaniu partnerowi po 15 latach małżeństwa i każe mu się wyprowadzić z domu, może mimo wszystko częściej liczyć na zrozumienie – i to niezależnie od tego, co nim rzeczywiście powoduje.

Główny kłopot polega wszak na tym, że właściwie nie wiemy, w którym momencie możemy odpowiedzialnie użyć słowa „miłość”. Owszem, w dzisiejszym świecie, jak to ujął Marcin Świetlicki, „wszyscy mówią: Kocham cię!”. Na tysiąc sposobów powtarzany jest ten wzięty z kultury anglosaskiej liczman „I love you! I love you too!”. Ktoś zapewnia, jak to kocha swojego kota. Ale po jego śmierci, na drugi dzień kupi sobie nowego. I tyle.

Bo także słowo „miłość” zostało poddane – podobnie jak wiele innych ludzkich zachowań – rozmaitym uwarunkowaniom społecznym czy biologicznym. Powinno się powiedzieć rodzicom, że się ich kocha, powinno się ogłosić, że kocha się brata. Ale też, że kocha się ojczyznę i naród. Trudniej bywa z pracą, bo są zajęcia, przy których deklaracja taka jest mało wiarygodna. Jeśli ktoś zajmuje się selekcjonowaniem śmieci albo pracuje jako anatomopatolog, to gdy powie, że kocha swoje zajęcie, niektórzy mogą uznać go za dewianta, masochistę albo przy najmniej obłudnika.

Wielu z nas zatem, kiedy mówi o miłości, po prostu nie bardzo wie, co deklaruje – używa tego słowa nieodpowiedzialnie, bo stosuje je do sytuacji, które tego nie usprawiedliwiają. Zaproponowałem kiedyś prowokacyjnie, żeby każdy zadał sobie pytanie: „Ilu osobom w przeszłości powiedziałeś, że je kochasz, a gdzie one teraz są, jaką rolę w twoim życiu odgrywają?”. I zapewne większość odpowiadających – włącznie ze mną! – będzie sobie musiała odpowiedzieć, że ogromna większość tych, którym wyznaliśmy niegdyś miłość, już nie odgrywa w naszym życiu żadnej istotnej roli. Co to oznacza? Po pierwsze, że takie oświadczenia nie muszą za sobą niczego pociągać. Albo ona nie walczyła, albo ja nie walczyłem, albo to rzeczywiście nie było to. A jeżeli, po drugie, to nie było „to”, więc po prostu nie wiemy, co to jest miłość i kiedy ona się nam faktycznie przydarza.

Izraelska socjolożka Eva Illouz zwraca uwagę na jeszcze jeden proces: uromantyczenia towaru i utowarowienia miłości. Otóż miłość stała się w naszych czasach sposobem, za pomocą którego sprzedaje się tusz do rzęs czy luksusowe perfumy. Kapitalizm reklamuje niemal wszystko tak, by każda rzecz stwarzała nadzieję na romantyczny związek. Posiadanie iPhone'a, pończoch, samochodu ma dawać nadzieję akceptacji przez płęć przeciwną. W ten sposób towarem – w nieznanym dotąd sensie – stała się sama miłość.

Z czego zaś wynika miłość do rzeczy, do miejsc, do wspomnień? Może z potrzeby odkrywania i dopełniania swojej tożsamości. Przecież całe życie człowieka, przynajmniej tego zdolnego do głębszej re-

fleksji, sprowadza się do szukania odpowiedzi na pytanie: kim jestem? jaka jest moja natura? jaki jest sens mojego życia? Bo istotą człowieczeństwa jest ciągła niepełność i niesamodzielność. Aby nasza tożsamość była pełna, musimy ciągle wykraczać poza siebie, szukać jej dopełnień. Temu służy na przykład koncepcja Boga. Ale i miłość – i to na każdym poziomie, bo ludzie kochają takie rzeczy i miejsca, które dopełniają ich życie. Mówią: Kocham ten szczyrek, mam go przez całe życie, nigdy mnie nie zawiodł.

Ludzie kochają takie rzeczy i miejsca, które dopełniają ich życie. Mówią: Kocham to pianino, zawsze na nim mi się dobrze grało. Kocham tę uczelnię, zawsze tu wykładałem. Kocham Kraków, bo żyję tu od urodzenia i stąd miałem najbliższych przyjaciół.

Czyli: dzielił ze mną los, był czymś, co pozwalało mi funkcjonować. Albo: Kocham to pianino, zawsze na nim mi się dobrze grało. Kocham tę uczelnię, zawsze tu wykładałem. Kocham Kraków, bo żyję tu od urodzenia i stąd miałem najbliższych przyjaciół.

Ale na koniec taka opowieść... Znajomi mieli kiedyś kota, którego kochali bardzo, ale okazało się, że ich córka dostała alergii na sierść i kot musiał opuścić ich mieszkanie. Jego spadkowym właścicielem zostałem ja. Bardzo go szanowałem, ale był strasznie ostry i gryzł. Brałem go więc czasami na rozmowę i klarowałem: – Tygrysku, powiedz mi, co się w życiu liczy? Miłość? Nie, żadna miłość – liczy się odpowiedzialność. Bo ja ciebie nie z miłości wziąłem do domu, lecz z odpowiedzialności. I nie dzięki miłości, lecz odpowiedzialności będziesz miał u mnie jedzenie do końca swojego życia. Co z tego, że poprzedni państwo cię kochali, skoro bez mojej odpowiedzialności byś zdechł z głodu.

Z ludźmi bywa tak samo. Mówią: Kocham cię, jesteś słodka, jest cudownie, wspaniale, ty moja Angelino, ty mój Bradzie Picie... A potem mija kilka albo kilkanaście lat i mówią: to było piekło, nigdy więcej, ale teraz moja nowa ukochana jest cudowna. A za następne pięć lat jest nowa ukochana – już na pewno ta jedyna i ostateczna... I tak do śmierci.



Prof. Bartłomiej Dobroczyński jest kierownikiem Zakładu Psychologii Ogólnej UJ i członkiem Kolegium Interdyscyplinarnego Centrum Etyki Wydziału Filozoficznego UJ. Zajmuje się historią psychologii, psychopatologią i psychoanalizą, irracjonalizmem, a także sztuką i alternatywnymi ruchami kulturowymi. Fan rocka i znawca kultury Indian.

13 stycznia 2019 roku
zamordowany został
Paweł Adamowicz
działacz opozycji demokratycznej i wolnościowej,
samorządowiec, prezydent Gdańska
zespół „Krakowa”

TEMAT MIESIĄCA: KRAKÓW Z KOTEM W TLE

Kot staropolski Ewa Danowska **s. 64**
Na krakowskim Rynku Głównym znajdujemy kamienice Pod Jagnięciem, Pod Jaszczurem, Pod Jeleniem, Pod Kanarkiem, Pod Konikiem, Pod Karpiem Szarym, Pod Złotym Karpiem czy Pod Krukami. Nawet wiewiórka znalazła się na herbie pewnej kamienicy na rogu ul. Floriańskiej i św. Tomasza. Natomiast kot – nie.

Koty są wszędzie Rozmowa z Elżbietą Lisowską **s. 12**
Kot ambiwalentny Jan Barański **s. 28**
Koty i ludzie – zwierzenia przy mizianiu **s. 37**

ESEJ

O miłościach Bartłomiej Dobroczyński **s. 2**

KRAKÓW MÓWI

Miłość ratowała mnie wielokrotnie **s. 20**
Rozmowa z Anną Dymną
Muzyka jest jak tlen **s. 53**
Rozmowa z prof. Barbarą Świątek-Żelazną
W pracowni projektowania książki **s. 56**
Anna Stafiej

KRAKÓW W MOIM SERCU

Katarzyna Gärtner **s. 80**

LUDZIE, MIEJSCA, WYDARZENIA

Pan Kazimierz Witold Bereś **s. 31**
Kazimierz Kutz zgasił światło **s. 32**
Maria Malatyńska
Siła fotografii w NCK Witold Bereś **s. 44**
Danuta Węgiel i Stopklatka obecności (wb) **s. 46**
Portreciści Nowej Huty (wb) **s. 48**
Kronika kulturalna **s. 88**
Kraków (Główny) **s. 90**
Linia A-B **s. 92**

OBYWATELE KRAKOWA

Droga do domu (Jolanta Kaczmarczyk) **s. 8**
Jakub Wydrzyński

HISTORIA

BYŁO, NIE MINĘŁO Jan Pieszczechowicz **s. 10**
KALENDARIUM KRAKOWSKIE Luty 1919
Krzysztof Jakubowski **s. 61**
Kot staropolski Ewa Danowska **s. 64**

TEATR

Powrót brygady szlifierza Karhana **s. 68**
Paweł Głowacki

FILM

Nazywam się Kot... Tomasz Kot **s. 76**
Maria Malatyńska

POEZJA

Moje życie słodko-gorzkie **s. 72**
Rozmowa z Elżbietą Zechenter-Spławińską
Wiersze Elżbieta Zechenter-Spławińska **s. 74**

KSIĄŻKI

Nasza biblioteka **s. 84**

GALERIA „KRAKOWA”

Kreska-groteska. Daniel Mróz (1917–1993) **s. 50**
Jakub Wydrzyński
Oświadczenie Daniela Mroza **s. 52**

FELIETON

NA CZERWONYM ŚWIECIE Ewa Lipska **s. 5**
OKIEM BERESIA Witold Bereś **s. 6**
Z NAJWYŻSZEJ PÓŁKI Krzysztof Burnetko **s. 7**
FELIETON GOŚCINNY
Aleksandra Ziółkowska-Boehm **s. 43**
SMOCZE JAJO Mieczysław Czuma **s. 81**
W WARSZAWIE Magdalena Miśka-Jackowska **s. 82**
BEDEKER KRAKOWSKI Iga Dzieciuchowicz **s. 83**
PASY PANY Jerzy Pilch **s. 96**

OKŁADKA

Krakowianie oddają hołd Pawłowi Adamowiczowi, 14 stycznia 2019 roku Fot. Marek Lasyk

Szanowny Panie Redaktorze,

jak donoszą ozory wołowe, w politycznej kuchni bite są teraz zrazy i ruskie. Wraca baranina i jaja w koszulkach. Popularne są uszka z szumidłem i pasztet z mizerią. Na pory wieczorowe zamawiane są najczęściej kalafiorowe lub grochowe. Na wynos: gulasz węgierski. Co innego sztuka mięsa. Ta raczej w Brukselce. Bon zür...

A poza tym, Panie Redaktorze, niestety budyń...

Z niskokalorycznymi pozdrowieniami

Ewa L.



Fot. Danuta Węgiel / tom Pęknięte oko czasu

Ewa Lipska – krakowianka, poetka, felietonistka, niegdyś redaktorka działu poezji Wydawnictwa Literackiego i dyrektorka Instytutu Polskiego w Wiedniu, członkini polskiego i austriackiego Pen Clubu oraz Polskiej Akademii Umiejętności i Stowarzyszenia Pisarzy Polskich.

Śmierć Prezydenta

Tekst: Witold Beres

Chciałem tu pisać, że Walentynki, że Dzień Kota, że miłość do zwierząt oznacza miłość do ludzi. I do tego Anna Dymna na okładce. Ale mord polityczny na Pawle Adamowiczu uświadamia, że aby Polacy mogli wyciągnąć rękę jeden do drugiego, najpierw państwo musi walczyć z nienawiścią, a nie ją podsycać.

Jest grudzień 1922. Prezydentem RP zostaje Gabriel Narutowicz. „Jak śmieli Żydzi narzucić Polsce swego prezydenta?” – pyta następnego dnia „Gazeta Poranna 2 Grosze”. A endek Stroński oznajmia, że obcy narzucili prezydenta większości polskiej. Kiedy Narutowicz zostaje zastrzelony, morderca najpierw przez prawicę zwany jest szaleńcem, a potem – bohaterem. A ten sam Stroński, chcąc umyć ręce, poucza: „Ciszej nad tą trumną”. Itp., itd.

Jest styczeń 2019 i ginie prezydent Adamowicz. Wcześniej, jak wyliczono, rządowe „Wiadomości” TVP mówiły o nim negatywnie ponad sto razy. Pół roku temu jeden z portali zastanawiał się, czy aby na pewno

Nasze błędy to błędy. Ich błędy od dzisiaj mają wymiar zbrodni.

Adamowicz jest Polakiem. Po porażce prawicy w miastach w wyborach samorządowych publicysta pewnego tygodnika zaatakował Adamowicza, konstatując: „te wybory pokazały, że gen ucziwości nie jest dla ludzi w polskich miastach ważny”. Itp., itd.

Przy wszystkich różnicach sytuacji dziś i tej sprzed lat – podobieństwa są zatrważające. Dlatego rozważania, czy było to zabójstwo polityczne czy też z elementami szaleństwa, są bezprzedmiotowe: śmierć prezydenta jest dowodem, że w Polsce się źle dzieje.

Morderca, może i szaleńiec, krzyczał, co krzyczał, bo szukał poklasku. A każdy wie, nawet wariat, że polsk zdobywa się dziś, atakując obóz wolności.

Ktoś wątpi? Rzecznik rządzącego klubu parlamentarnego usprawiedliwiła przemoc narodowców wobec działaczy opozycji. A wcześniej było spalanie kukły Żyda, wystawianie aktów zgonu dla prezydentów miast, wieszanie portretów europosłów. Takim ludziom jak eksksiądz Międlar pozwala się działać, a protestującym zgodnie z prawem Obywatelom – wykręca się ręce. Nie mówiąc o tak zwanych marszach niepodległości, na które zwolennicy Polski zwracają, silnej i gotowej idą w koszulkach „Śmierć wrogom ojczyzny”, a władza jest zachwycona tym pokazem młodości (tak kiedyś ogłosił Andrzej Duda).

Najgorsze, że jest spora grupa ludzi, którzy pod pozorami umiarkowania, zacierają prawdę. Niech wszyscy uderzą się w piersi – mówi kardynał, który nie bierał głosu, gdy władza nas obrażała. Ciszej nad tą tragedią – sugeruje zwolennik smart-autorytaryzmu, bo liczy na lepszą koniunkturę. Nie czytamy z tego polityki – zaleca dziennikarz szukający wiecznie środka, mimo że żadna z poprzednich ekip władzy nie rozkręciła takiej propagandy.

Przypomnijmy więc: za stan bezpieczeństwa odpowiada władza, a nie opozycja. A nasze błędy to błędy. Ich błędy od dzisiaj mają wymiar zbrodni.

Ten mord nie tylko nie spowoduje otrzeźwienia władz, ale i pociągnie eskalację nienawiści. Będzie tylko gorzej – już teraz w dniu śmierci prezydenta jeden z duchownych zapowiedział, że nie będzie się modlił za niego. A czego oczekiwać później, gdy morderca, jak wieść niesie, nieprzyznający się, podobnie jak Niewiadomski, do winy, stanie przed sądem?

Pojednanie jest w takich warunkach niemożliwe. I trudno się dziwić, że Jerzy Owsiak, chcąc ratować swoje wielkie dzieło, ogłasza dymisję. (Na marginesie – zdeptanie Orkiestry to jedna z największych porażek wolności po roku 1989).

Ale przecież nie musimy oczekiwać powszechnego odrzucenia mowy nienawiści, wzajemnej miłości i przebaczenia. Wystarczy skuteczne państwo i przestrzeganie prawa w przestrzeni publicznej.

Wiem, że są dwie Polski i każda komunikuje się sama z sobą. Jednak zawsze wśród miękkih zwolenników obu obozów znajdują się tacy, którzy nie spluną na widok drugiej strony.

Chcecie Państwo spokoju? Chcecie uratowania Orkiestry? Bo my chcielibyśmy pisać tylko kulturze, miłości i pięknym Krakowie. Tak?

To wszystko jest stosunkowo proste do osiągnięcia. Do zwolenników władzy: – Nie pozwólcie, aby wasz świat wartości został zgwałcony przez prostaków.

Do zwolenników opozycji: – Nie potępiajmy przeciwników *en bloc*. Nie obrażamy ich. Nie obrażamy się. Nie złorzeczymy bezsilnie. Gdzie się da, wyciągamy rękę.

Ale najpierw budujemy obóz wolności i odsuwamy dzisiejszą władzę. Następnego dnia, pamiętając o domniemaniu niewinności, stawiamy przed wolnymi sądami ludzi podejrzanych o przestępstwa. A potem rozpoczynamy wielką akcję pojednania na poziomie obywatelskim.

Małe jednak szanse? Małe. Ale i tak większe niż sklepanie Polski na siłę.

A że trzeba skleić, bo takie państwo prędzej czy później musi upaść – tego chyba nie trzeba tłumaczyć.

Pawle, będę Cię zawsze pamiętał.

Kraków, 15 stycznia 2019



Witold Beres – producent filmowy, scenarzysta, publicysta, pisarz. Redaktor naczelny miesięcznika „Kraków”.

Umarł Kazik. Bohater z cienia

Tekst: Krzysztof Burnetko

Urodził się na Czerniakowie, walczył w warszawskim getcie, ale konspirował i w Krakowie. W Krakowie był też na równi z Warszawą zakochany. Zmarł właśnie w Jerozolimie.

Kazik – jak mówią o nim znajomi, do których miałem honor się zaliczać – był ostatnim z bojowców getta warszawskiego. Wtedy miał 18 lat. Najpierw walczył w szeregach Żydowskiej Organizacji Bojowej, a kiedy bój dogorywał, przedarł się przez mur i po aryjskiej już stronie – z pomocą Gwardii Ludowej i polskich kanalarzy – przeprowadził brawurową akcję wyprowadzenia kanałami grupy towarzyszy z płonącego getta. Większość z nich potem zginęła (głównie wskutek donosów Polaków lub wprost z polskich rąk), kilku jednak dzięki niemu ocalało (m.in. Cywia Lubetkin i Marek Edelman). Niebawem były jego późniejsze losy: walczył w powstaniu warszawskim, a po wojnie brał udział w operacji Mściciele, która miała być zemstą ocalałych z Zagłady Żydów na Niemcach. Potem osiadł w Izraelu – i tam brał udział w wojnach nowego państwa o przetrwanie.

Ale też jako członek Rady Instytutu Yad Vashem przez lata zabiegał, by drzewka Sprawiedliwych Wśród Narodów Świata i sam tytuł mieli wszyscy Polacy, którzy pomagali bojowcom getta. O tych, z którymi stykał się bezpośrednio, mówił: „Oni pomagali nam po wyjściu z getta. Stefek Siewierski przepłacił to życie. Anna Wąchalska jest najszlachetniejszym człowiekiem, jakiego spotkałem w życiu”. (Losy Kazika Ratajzera opisałem z Witoldem Beresiem w książce *Bohater z cienia*).

Jerozolimski dom Kazika Simcha Rotema (takie nazwisko przybrał) i jego żony Giny (też pochodzącej z Wisły) był zawsze otwarty dla gości z Polski.

Znamienne też, że w sporze o ocenę pomocy Żydom w czasie okupacji Kazik miał tyleż prosty, co jasny pogląd. Mówił nam: „Každy naród powinien widzieć wszystkie strony swojej historii. Problem z Polakami polega na tym, że chcą dostrzegać tylko tę jasną, piękniejszą część swojej twarzy. Ciemniejszej już nie mają odwagi oglądać. Nie wiem, czy ktoś bardziej ode mnie ceni tych Polaków, którzy nam podczas wojny pomogli. Nie wiem, czy sam byłbym gotów zrobić więcej, niż oni zrobili dla nas. Potrafię zrozumieć, że ktoś nie chciał się narażać, ukrywając Żyda. Ale kiedy na ulicy wskazywał Niemcom Żyda albo wydawał żydowskie dzieci, to inna sprawa. O to mam pretensje. I nigdy nie podam komuś takiemu ręki tylko po to, by miało to służyć kosmetyce tej brzydszej części twarzy”. Sam zryw w getcie nazywał „powstaniem Żydów polskich”. I dodawał: „Urodziliśmy się w Polsce i byliśmy polskimi obywatelami”.

Równocześnie nie wahał się publicznie upomnieć Andrzeja Dudy, kiedy ten podczas uroczystości 75. rocznicy powstania w getcie próbował fałszować historię, zrównując okupacyjne cierpienie Żydów

Do Polski, rodzinnego kraju, przywoził synów i kolejne wnuki. Pokazywał im nie tylko tereny warszawskiego getta, ale także Kraków. I każdemu chciał sam o Polsce opowiedzieć. Na miejscu.

i Polaków oraz nie tylko zakres, ale i istotę ówczesnej pomocy żydowskim współobywatelom. Kazik napisał: „Panie Prezydencie, prawda historyczna jest taka, że nawet ci odważni Polacy, którzy dla ratowania Żydów ryzykowali własne życie, a czasem też życie bliskich, musieli ukrywać się przed polskimi sąsiadami”.

Kiedy zdrowie pozwalało mu jeszcze przyjeżdżać do rodzinnego kraju, zabierał synów i kolejne wnuki. Pokazywał im Polskę. I każdemu chciał sam o niej opowiedzieć. Na miejscu.

Przywoził ich też do Krakowa. To tu już po powstaniu warszawskim ukrywał się w wynajętym mu przez polską konspirację lokalu przy ul. Rakowickiej. Mimo ryzyka poszedł wtedy zobaczyć, jak wygląda – mocno już ograniczony wywózkami – obóz koncentracyjny w Płaszowie, do którego trafili Żydzi z Krakowa i z całej Europy. A nuż kogoś uda się wyciągnąć? – na terenie obozu miał swojego człowieka: Polaka pracującego w jednym z zakładów.

Ale i z ostatnich lat miał świeże wspomnienie. Opowiadał nam jeszcze niedawno: „Kilka lat temu byłem w Krakowie i spacerowałem ze znajomym o semickich rysach. Naprzeciwko nas szedł młody człowiek i niespodzianie splunął mojemu koledze między oczy. Mnie widać nie uznał za Żyda... Nie wiedziałem, co zrobić. Może i dobrze, że nie zareagowałem, bo ta menda była o głowę ode mnie wyższa... Nie do uwierzenia?”. A jednak i potem wrócił tu z najmłodszą wnuczką.

Chwała jego pamięci.



Krzysztof Burnetko – niegdyś wieloletni dziennikarz „Tygodnika Powszechnego”, później tygodnika „Polityka” (z którym współpracuje do dziś), pasjonat nart i autor wielu książek, z których najmilej wspomina to o Marku Edelmanie.



Droga do domu

Tekst: Jakub Wydrzyński Zdjęcie: Alicja Rzepa

Nie przypuszczała, że stanie się etatowym pracownikiem instytucji charytatywnej. Pracowała z bogatymi mieszkańcami Krakowa, dziś działa na rzecz najuboższych.

Moja praca jest darem – mówi Jolanta Kaczmarczyk, zastępca dyrektora Dzieła Pomocy św. Ojca Pio w Krakowie. Nie sposób się z nią nie zgodzić. Instytucja założona przez Zakon Braci Mniejszych Kapucynów Prowincji Krakowskiej to wspólne dzieło sztabu świeckich specjalistów, wolontariuszy oraz licznych darczyńców. Celem jest wyprowadzenie osób bezdomnych na prostą. Tyle że proces, który do tego prowadzi, daje też wiele do myślenia na temat tak zwanej kondycji ludzkiej.

– Na początku współpracy z bratem Henrykiem Cisowskim, który współtworzył Dzieło Pomocy św. Ojca Pio i przez 14 lat mu szefował, miałam w głowie stereotyp wolontariusza, który wydaje jedzenie i odzież osobom potrzebującym. Życie pokazało mi, że to o wiele większa sprawa – tłumaczy.

na terenie Krakowa. Kiedy z Jolantą Kaczmarczyk przechodzimy przez piętra i oddziały DPOP, wszyscy witają się, pytają, co słychać, przychodzą załatwić sprawę, opowiedzieć nawet o małym sukcesie. Panuje niemal domowa atmosfera.

Bezdomność to światło ostrzegawcze dla społeczeństwa. Tak jak w samochodzie zapala się czerwona lamka sygnalizująca, że samochód nie jest sprawny, że coś zaczyna się psuć, tak bezdomności jest taką czerwoną lampką w społeczeństwie, że nie funkcjonuje ono prawidłowo, że gubimy to, co ludzkie w relacjach, w zachowaniu człowieczeństwa – mówi Jolanta Kaczmarczyk.

Przyczyny bezdomności są różne, lecz pokonanie tego problemu to indywidualny proces. DPOP pomaga uczyć się życia na nowo w domu prowadzonym przez ludzi oddanych idei braterstwa i położonym w samym centrum miasta. Nie byłoby tego bez wiary w człowieka oraz zawierzenia sile Opatrzności.

Bezdomność to światło ostrzegawcze dla społeczeństwa.

Pracowała jako specjalista w zakresie doradztwa podatkowego. Społecznie udzielała się przy księgowości i logistyce tworzonego Centrum Pomocy dla osób doświadczających bezdomności Dzieła Pomocy św. Ojca Pio. Z biegiem lat została na cały etat.

W otwartych w 2010 i w 2013 roku budynkach DPOP przy ulicy Loretańskiej 11 i ul. Smoleńsk 4 znaleźć można dział pomocy socjalnej, aktywizacji zawodowej, specjalistyczne gabinety lekarskie, poradnię psychologiczno-psychiatryczną, świetlicę, magazyn odzieży, stołówkę oraz łaźnie i pralnię. Już to pokazuje, jak wielozadaniowy charakter musi mieć wsparcie bezdomnych. Dzieło dysponuje również ośmioma mieszkaniami



Jakub Wydrzyński – człowiek wielu zawodów i pasji, kulturoznawca, wieczny doktorant, naturalizowany krakowianin, właściciel psa kawiar-nianego Stolika.

Za oceanem

Tekst: Jan Pieszcachowicz

Na początku 1989 roku szykowałem się do wyjazdu za ocean. Spełniło się moje marzenie: otrzymałem trzymiesięczne stypendium Fundacji Kościuszkowskiej (po angielsku: Kostjasko Foundation). Myślałem o tym z ulgą i radością.

Stan wojenny był dla mnie męczący i przykry. Związek Literatów Polskich (byłem prezesem oddziału krakowskiego) został rozwiązany, miesięcznik „Pismo” również. Z początku odmówiono mi jakiegokolwiek pracy w Krakowie, nawet ułamka etatu w „Przekroju”. Było krucho, nie mieliśmy grosza. Napisałem list do Jerzego Putramenta, redaktora „Literatury” w Warszawie. Zaoferował mi skromny etat „dojazdowy”. Kiedy PRL zaczęła trzeszczeć, zostałem zastępcą redaktora naczelnego „Przekroju”, który był wśród amerykańskiej Polonii dość popularny. Miało to pewien wpływ na sposób przyjmowania mnie za oceanem.

Naczelnny „Nowego Dziennika” Bolesław Wierzbiański zademonstrował mi swój sposób redagowania gazety. Przechadzał się po lokalu, nie wtrącając się ani odrobinę do pracy redaktorów, po czym zjeżdżaliśmy na dół do baru na szklaneczkę whisky.

Dostałem kwaterę u państwa Zarembów w dzielnicy Nowego Jorku zwanej Forest Hills Gardens, w domu zbudowanym przez Anglików na początku XX wieku, na skraju obszernego parku (czy też lasu?). Zarembowie wywodzili się z Krakowa i byłem kolejnym krakowianinem, który tu gościł. Miałem całe pięterko do dyspozycji. Do okna zaglądały szare wiewiórki, co budziło mój odruch sympatii, choć tubylcy ich nie znosili. Dom otoczony był nieco zaniedbanym żywopłotem, więc pożyczyłem od gospodarzy maszynę do strzyżenia i zrobiłem porządek. Nazajutrz pani Zarembowa oznajmiła mi ze śmiechem, że sąsiedzi zwrócili się do niej z prośbą, czy nie wypożycziliby tego robotnika do przystrzyżenia ich żywopłotu...

Pan Andrzej Zaremba był od przedwojnia socjalistą, a jego wuj Paweł Zaremba występował często w Radiu Wolna Europa, spe-

cializując się w tematyce historycznej. Mój gospodarz był zadowolony, kiedy moje artykuły, głównie o tematyce literackiej, zaczęły się pojawiać w nowojorskim „Dzienniku Polskim”, któremu polecił mnie Jurek Surdykowski, ich były pracownik. Zaopiekowała się mną Julita Karkowska, członkini redakcji, ongiś wrocławska sportsmenka, i jej mąż Czesław. Wkrótce poznałem redaktora naczelnego Bolesława Wierzbiańskiego, który zademonstrował mi swój sposób redagowania gazety. Przechadzał się po redakcyjnym lokalu, nie wtrącając się ani odrobinę do pracy redaktorów, po czym zjeżdżaliśmy na dół do baru na szklaneczkę whisky. Kiedy zaproszono go jako obserwatora do udziału w obradach Okrągłego Stołu, wrócił pełen nadziei po rozmowach z wieloma jego uczestnikami, także ze strony partyjnej. Wspominam pana Bolesława jako człowieka wielkiej kultury i życzliwości.

Julita i jej mąż starali się umilić mi pobyt w obcym mieście, które mnie oszołomiło, zanim się z nim jako tako oswoiłem. Pewnego razu ruszyliśmy autostradą w stronę Bostonu, przepychając się czteropasmówką. Pędziliśmy tak ze sto mil, po czym zatrzymaliśmy się w przydrożnej restauracji nad kubelkiem smażonych fragmentów kurczaka z dodatkiem coca-coli. Droga powrotna przy wyjeździe do Nowego Jorku to był koszmar, nawet wysiąść nie było można, gdy ktoś chciał, bo samochody były ustawione ciasno obok siebie. Więc zaniechaliśmy wycieczek. A Julita przy okazji pochwaliła się wyczynem głośnym w kołach polonijnych. Oto pewnego razu została napadnięta w celach rabunkowych na stacji metra. Wezwana policja zastała sportsmenkę-dziennikarkę nad powalonym napastnikiem, którego przyciskała nogą do posadzki.

Sporo czasu spędzałem na zwiedzaniu Nowego Jorku. Kilkakrotnie byłem w National Gallery, wyjechałem na szczyt World Trade Center, ale najbardziej lubiłem jezioro w Central Parku, przy którym stała stara drewniana restauracja, gdzie serwowano po-

każne kufle piwa. Cóż to był za odskok od miast-molocha, które wywierało na mnie przegnębiające wrażenie!

Dobrze czułem się w Instytucie Piłsudskiego, ulokowanym w nowoczesnym wieżowcu. Rządził tam wtedy przyszły profesor Cisek. Można było wysunąć dowolną metalową szufladkę, a w niej na ogół ręcznie pisane dokumenty, na przykład z okresu wojny polsko-bolszewickiej, raporty dyplomatyczne po francusku, rozkazy – cała fala historii z pierwszej ręki. W południe Instytut stawał kawę, a korzystający z niego wyjmowali kanapki i gawędzili. Był wśród nich sędziwy pan Wacław Jędrzejewicz, ostatni żyjący minister przedwojenny. Miał już prawie sto lat. Podpytywałem go trochę o tamten czas, na przykład o to, z kim Piłsudski był na „ty”. Odpowiedział, że marszałek nie był skłonny do poufałości, ale na „ty” był z woźnym sztabu generalnego. I z pułkownikiem, a potem generałem Wieniawą-Długoszowskim, tylko że było to jednostronne. Kiedy dochodziły słuchy, że Wieniawa znów przeholował w biesiadowaniu, marszałek wzywał skacowanego nieszczęśnika, beszał po ojcowsku i poufale, a ten strzelał obcasami i meldował służbiście „Panie marszałku...”. – Ale to był prawdziwy żołnierz, a nie jakiś tam artysta... – Tu Jędrzejewicz machnął ręką w stronę ściany, na której wisiały obrazki Rydza-Śmigłego z czasów, gdy ten zajmował się jeszcze sztuką.

Zaprzyjaźniłem się z Ewą Hoffman, pochodzącą z Krakowa dziennikarką i pisarką pracującą w redakcji „New York Timesa” w dziale kulturalnym. Zyskała uznanie, przyjaźniła się z wieloma przedstawicielami elit. Później przeniosła się do Londynu i straciłem z nią kontakt. Czasami zabierała mnie na spotkania piknikowe organizowane przez poszczególne działy „New York Timesa”. Kiedyś powiedziała ze śmiechem: – Oni lubią, jak przychodzisz, bo jesteś antyamerykański, inaczej niż podlizujący się Europejczycy. Rzeczywiście, mówiłem, że amerykańskie jedzenie jest paskudne, a ich sposób spędzania wolnego czasu nudny. Zdaje się, że Ewa w dużej mierze podzielała te poglądy. Interesowały ją problemy komunikacji międzyludzkiej, właśnie wyszła jej książka *Lost in translation*, która wzbudziła spore zainteresowanie. Czasami pokazywała mi zakamarki Nowego Jorku. Pewnego razu zawiozła mnie do włoskiej restauracji. Rozglądała się bacznie, zanim wskazała mi miejsce, po czym z życzliwym uśmieszkiem powiedziała: – Na tym krześle niedawno został zastrzelony włoski mafioso...

Osobliwości „Big Apple” (wielkiego jabłka, jak czasami nazywają swoje miasto nowojorczyki) udostępniał mi też Janusz Głowacki. Robił wcale udaną karierę literacką, zainteresowało się nim Hollywood. Przeprowadziłem z nim obszerny wywiad dla „Przekroju”, bywałem na dolnym Manhattanie, gdzie mieszkał. Oprowadzał mnie po knajpkach, które

i ja polubiłem, prowadzonych przez Rosjan i Ukraińców. Podłogi były grubo posypane trocinami, które się od czasu do czasu zamiało, kelnerzy w fartuchach od pasa do kostek, jak w czasach Dostojewskiego – to była niepodrabiana egzotyka.

Dopełnił ją, wioząc mnie do pewnego nadmorskiego kurortu, uśmiechając się tajemniczo, zapowiadał rewelacyjne odkrycie. Jakież

Amerykańskie jedzenie jest paskudne, a ich sposób spędzania wolnego czasu nudny.

było moje zdumienie, gdy zobaczyłem szyldy i reklamy po rosyjsku, a na deptaku knajpki, gdzie królowały „wodka i sieliotka”. Wstąpiliśmy do jednej z nich, złożyłem zamówienie po rosyjsku i właściciel uznał nas za swoich, nie szczędząc „stolicznej” i śledzika. Janusz wyjaśnił, że była to miejscowość opanowana przez rosyjską mafię. Poszliśmy do restauracji, gdzie codziennie o tej samej porze pojawiała się mafijna arystokracja. Jakoż zobaczyliśmy wchodzącą dostojnie gromadkę odzianych w białe garnitury panów, noszących dość ostentacyjnie złotą biżuterię. Myny mieli rzeczywiście władcze. Nawiasem mówiąc, w prasie nowojorskiej spotkałem ogłoszenia o nauce rosyjskiego za dobre pieniądze.

Po przyjeździe do Nowego Jorku skontaktowałem się ze Staszkiem Barańczakiem, który profesorował na Harvardzie. Był oblegany przez gości z Polski, zwłaszcza tych, którym udało się wymknąć z PRL aurze walki opozycyjnej. Staszek ucieszył się i zaprosił mnie do siebie, gdy łóżko gościnne opuści kolejny gość (czy nie Dymarski?), który każe sobie podawać śniadanie do łóżka i zupełnie mu się nie spieszy z powrotem do Polski. Nie spieszyło mu się tak bardzo, że nie zdążyłem się z Barańczakiem zobaczyć – już nigdy, bo zabrała go nieuleczalna choroba.

Przed odlotem do Polski odwiedziła mnie Julita. Przyniosła teczkę z wycinkami graficznymi dla powstającej „Gazety Wyborczej” oraz woreczki na sznurkach z dolarami, które miałem doręczyć Surdykowskiemu. Na Okęciu żona zdziwiła się moją tuszą – pod marynarką byłem obwieszony tymi woreczkami.



Jan Pieszcachowicz – ur. 1940 w Koprzywnicy koło Sandomierza, krytyk literacki i publicysta, pracował w Wydawnictwie Literackim, współtworzył Teatr 38, zakładał pismo „Student” i miesięcznik „Pismo”, był w redakcji miesięcznika „Literatura” i tygodnika „Przekrój”, twórca miesięcznika „Kraków” i dziś jego redaktor-senior. Pasjonat twórczości Poświatowskiej, Stachury i Vincenza.



Koty są wszędzie

Wysłuchała Ewa Kozakiewiczowa Zdjęcia: Andrzej Lisowski

Elżbieta Lisowska: To jest emocja. Lubię koty i uwielbiam ich cudowny egoizm oraz asertywność. Najbrzydsza kotka z krótkimi nogami i krzywymi zębami uważa się za ósmy cud świata. Ona uczy, jak współgrać ze światem. Kot jest królem życia. Lubię sposób, w jaki koty walczą o swoje bez wyciągania pazurków, jak potrafią omotać człowieka, żeby zrobić, co zechcą. Cenię je za czystość, uważam, że działają na nas terapeutycznie.

Ewa Kozakiewiczowa: Z punktu widzenia podróżniczki i filozofki religii obserwujesz koty w różnych rejonach świata i w różnych kulturach. Gdzie żyje się im najlepiej, gdzie najgorzej?

Elżbieta Lisowska: To zależy od szerokości geograficznej, miejscowej tradycji, także religii. Z punktu widzenia kota nie najlepiej jest w Indiach. Dieta wegetariańska (większość mieszkańców Indii nie jada mięsa) nie nadaje się dla kota, długie monsunowe miesiące też nie ułatwiają życia, do tego dla takich czyściochów, jakimi są koty, jest tam po prostu za brudno. Nie widać ich na ulicach Delhi, Waranasi, Kalkuty czy Madrasu, w dużych miastach żyją w ukryciu, wybierają zadbane podwórka i ustronne miejsca. Można być pewnym, że jeśli zobaczy się w Indiach koty, to będzie czysto i spokojnie. Tak jest na przykład w naszej ulubionej Kerali, gdzie koty mają co włożyć do pyszczka: zawsze trafi się jakaś krewetka lub rybka, a nawet mięso. A to dlatego, że mieszka tutaj dużo chrześcijan, którzy jedzą mięso!

Niechęć do kotów zaobserwowałam niestety w Iranie, kraju przecież muzułmańskim, szyickim. Awersja ta bierze się z zaratusztranzizmu, w którym koty jako zwierzęta nocy klasyfikowano po ciemnej, demonicznej stronie. Dlatego do dziś niektórzy Irańczycy czują podświadomy lęk przed kotami i boją się ich dotykać albo przechodzą koło nich obojętnie. **Gdzie koty czują się najlepiej i otaczane są estymą?**

Generalnie koty mają się nieźle w krajach muzułmańskich. Znana jest powszechnie opowieść o kobiecie, która za złe traktowanie kota trafiła do piekła. Mahomet lubił i szanował koty, nakazał też okazywać im szacunek i pomoc. Ulubionej kotce pozwalał spać na swojej szacie, a gdy pewnego razu wstał do porannej modlitwy i zobaczył ją śpiącą w rękawie, odciął go, by jej nie budzić. W jednej z krążących w świecie muzułmańskich opowieści Mahomet niebezpiecznie pokąsany przez dzikie psy doczołgał się do jaskini, gdzie odnalazła go Muezza, wylizowała rany i siedziała przy nim tak długo, aż odzyskał siły. Prawdopodobnie to ona właśnie uratowała go przed wężem. Nie wiemy, jak wyglądała Muezza, czy istotnie była kotką czy kotem? Prawdopodobnie była arabskim kotem pustynnym o sympatycznym pyszczku, du-

żych uszach, krótkich łapkach z charakterystycznymi poprzecznymi pręgami i długich włoskach między poduszkami palców (dla ochrony przed gorącym piaskiem pustyni). Ten przyjazny stosunek do kotów przetrwał do dzisiaj w wielu krajach muzułmańskich. Od lat obserwujemy z Andrzejem podczas pobytu na Medynie w Tunisie kotkę, która jest niekwestionowaną panią kafejki przy Rue Jamaa Ez-Zitouna, parę kroków od Meczetu Oliwnego.

Z dokumentalnego filmu *Kedi – sekretne życie kotów* wynika, że Turcja to prawdziwy raj dla kotów. To prawda?

Tak. Najlepszy stosunek w islamie do kotów zaobserwowałam właśnie w Turcji, znacznie lepszy niż u nas w Polsce! Dobrze się im tam wiedzie: w Stambule wylegują się na przykrytych miękką tkaniną stolikach kawiarnianych, towarzyszą rybakom nad Bosforem i nikt ich nie wygania z meczetów. Znam imama, który dokarmia koty, a w chłodniejsze dni zaprasza je do wnętrza meczetu. Cecyda Torun, reżyserka *Kedi – sekretne życie kotów*, który podbił serca ludzi na całym świecie, mówi, że dbanie o zwierzęta jest wdrukowane w tureckie DNA. W czasach imperium osmańskiego budynki stawiano tak, by ptaki mogły na nich wic gniazda, a przy zagrodach dla koni dodawano przejście dla kotów, by mogły swobodnie przemieszczać się między domami. Stambuł jest w ogóle kocim miastem, ludzie dokarmiają koty, opiekują się nimi i zatrzymują, by je pogłaskać. Jeden z bohaterów filmu opowiada, że opiekowanie się kotem wyleczyło go z depresji, z którą walczył od lat. Naukowcy podkreślają, że zwierzęta mają terapeutyczny wpływ na naszą psychikę, a już samo głaskanie kota łagodzi stres i wspomaga wydzielanie

Kocie wyspy w Japonii. Na Aoshimie mieszka 13 starych mieszkańców (to rybacy powyżej 75. roku życia) w towarzystwie 150 kotów. Koty zdominowały wyspę, ale Japończycy opiekują się nimi, a zwierzęta stały się atrakcją turystyczną. Z kolei Tashirojima w prefekturze Miyagi znana była z hodowli jedwabników, którą kiedyś ochraniały właśnie koty. Ich populacja także i tutaj znacznie wzrosła, przewyższając liczbę mieszkańców. Japończycy wystawili na samym środku wyspy świątynię neko (kota), w innych miejscach wyspy jest dziesięć takich kapliczek.



Ernest Hemingway uwielbiał koty. W jego domu na Key West na Florydzie mieszkało zwykle około 40 zwierzaków. Koty te po samobójczej śmierci pisarza stały się spadkobiercami domu, który zamieszkuje do dziś. O przedłużeniu linii rodu dba obsługa domu i lekarze weterynarii – każdego roku przychodzi na świat miot kotów, których znakiem rozpoznawczym jest sześć pazurów u przednich łap. Taki nietypowy układ łap miał jeden z pierwszych kocich mieszkańców domu na Key West, podarunek dla Ernesta Hemingwaya. Koty nazywane są imionami sławnych osób z czasów pisarza – są wśród są Pablo Picasso, Charlie Chaplin i Sophia Loren.

endorfin w organizmie człowieka. To pokazuje, że we współczesnym świecie potrzebujemy kontaktu ze zwierzętami. Obserwowałam to w kocich kawiarniach w Tokio, niektórzy ludzie przychodzili tam, by pobyć ze zwierzętami, a niektórzy sprawiali wrażenie, jakby dopiero uczyli się głaskać kota. Pierwsze takie kawiarnie powstały w Korei Południowej, a dopiero potem rozpowszechniły się w Japonii, są też w Bangkoku, stolicy Tajlandii. W japońskiej kociej kawiarni obowiązuje ostry regulamin, w którym przykłada się ogromną wagę do zdrowia kota (stąd dezynfekcja rąk, ubrania, ściąganie butów). Odwiedzający muszą być niemal sterylnie czysti...

Wygląda na to, że Japonia to także dobre miejsce do życia dla kotów?

W Japonii kocha się naturę, nie tylko koty, ale i psy, które na przykład wozi się w wózek. Istne szaleństwo! Ale koty mają mocną pozycję ze względu na barwne legendy i anegdoty o przynoszących szczęście kotach pochodzących jeszcze z początku okresu Edo (1603–1867). Koty rasy bobtail hodowano na dworze cesarskim, a figurki kota Maneki-Neko, tej rasy właśnie, z podniesioną zapraszająco łapką, od dawna zdobiły i zdobią domy i wejścia do sklepów, są wszędzie. Mają przyciągać klientów, sprzyjać dobrobytowi i oddalać nieszczęście. Doświadczaliśmy tego i my. Przywieziony z podróży biały porcelanowy Maneki-Neko podczas pożaru naszego mieszkania stał obok wieży muzycznej. Odtwarzacz dosłownie się rozplątał, zmienił się w bezkształtną plamę, tymczasem porcelanowy kot wyglądał, jakby nie tknął go ogień. Nie było na nim najmniejszego śladu osmalenia... A my, w końcu, powróciliśmy do naszego mieszkania. W symbolice azjatyckiej koty odgrywają dużą rolę. Największe nagromadzenie pomników kotów widziałam na Borneo w malezyjskim Kuchingu (w malezyjskim języku *kuching* znaczy kot). Monumentalne koty znajdują się tutaj na wszystkich ważniejszych skrzyżowaniach, trudniej trafić do burmistrza miasta niż do Muzeum Kotów, które znajduje się w tym samym budynku. Na ścianach urzędu wiszą zdjęcia radnych z ich kocimi pupilami i trudno sobie wy-



Mnisi i koty. Na Cyprze znajduje się klasztor Agios Nikolaos ton Gatou (Świętego Mikołaja od kotów), gdzie koty od XIII stulecia znajdują schronienie. W Autonomicznej Republice Świętej Góry Athos uderza duża liczba wałęsających się kotów. Teoretycznie kotek tu nie powinno być, bo od 1060 roku w republice obowiązuje zakaz przebywania osobników płci żeńskiej, rozciągający się również na zwierzęta hodowlane. Z wyjątkiem kotek. Ponieważ potrzebne były do wyłapywania myszy – płci żeńskiej...

obrazić, że w tym mieście mógłby sprawować urząd ktokolwiek, kto nie ma kota!

Jak na tym tle powszechnego uwielbienia kota wygląda jego pozycja w Europie? Są jakieś szczególne miejsca poświęcone kotom? Wiele zależy od stopnia zamożności społeczeństwa. W Szwajcarii nie widziałam w ogóle na ulicy kotów, w Szwecji nierzadkim widokiem jest kot idący na smyczy ze swym właścicielem, nie ma bezdomnych kotów w Anglii i w Austrii, w Norwegii... Nie wiem, jak to rozwiązują, ale wałęsających się, zaniedbanych mrużków nie widać.

Wyjątkowym miejscem na pewno jest Amsterdam. To nieprawda, że tylko rowery, kanały, barki mieszkalne, pochylone kamienice czy coffee shopy tworzą niepowtarzalny koloryt miasta. Uroku dodają mu także koty. Spotkać je można na wiekowych podwórkach, na nabrzeżach kanałów, pośród porzucanych rowerów, a nawet na mieszkalnych barkach, gdzie troskliwi właściciele rozwieszają dla ich bezpieczeństwa specjalne siatki. W centrum Amsterdamu, w eleganckiej siedemnastowiecznej kamienicy, zdobionej stiukami Jacoba de Wita, istnieje Kocie Muzeum. Na półpiętrze przybyszów wita portret pięknego rudego kota Johna Pierponta Morgana (1967–1984). To na jego cześć wdzięczny opiekun Bob Meijer (swoją portret umieścił w sąsiedztwie pupila) ufundował w 1990 roku muzeum. To świat kocich bibelotów, plakatów, obrazów, rysunków, kocich wizerunków z reklam. Koty już w XIX wieku pracowały na marki wielu produktów, a najczęściej alkoholi, podobnie jak obecnie Maneki-Neko w Japonii, które reklamują wszystko, począwszy od pościeli po mocne wódki.

W Amsterdamie, na barce zacumowanej na największym kanale Singel, znajduje się wyjątkowe schronisko dla bezdomnych kotów. Ma tam stałe schronienie kilkadziesiąt zwierząt, a drugie tyle żyjących w pobliżu barki jest regularnie dokarmianych przez wolontariuszy. To wolontariusze zajmują się na co dzień wszystkimi kotami, a pieniądze na karmę i opiekę weterynaryjną pochodzą z datków sponsorów.

Słyszałam, że ostatnio szczególnie oryginalnie obchodziłaś urodziny?

Faktycznie – w dzień urodzin i w Dzień Czarnego Kota wyszła moja nowa książka Astro-



Święte koty. Kości kota nubijskiego znaleziono już w jaskiniach ludzi pierwotnych. A 3000 lat p.n.e. koty przypominające kota nubijskiego były stróżami magazynów żywności w Egipcie, co doprowadziło do uznania ich za święte. Niestety, świętość nie wyszła im na zdrowie. Egipcjanie mogli zyskać przychylność bogini Bastet, składając jej w ofierze zmumifikowane koty. W konsekwencji w Egipcie zaczęło brakować kotów nie tylko do mumifikacji, ale także do ochrony spi-chlerzy. (Szczęśliwy kot Dorota Sumińska)

koty. Już 20 lat temu zaczęto robić kotom horoskopy. Zastanawiano się, czy położenie planet i ich układ względem konstelacji wpływa na zwierzęta i czy kotu można postawić horoskop? To trudne, bo mało kto wie dokładnie, kiedy urodził się jego pupil. Europejski horoskop dla kotów pisałam co miesiąc dla strony internetowej OnlyCats. Kiedy padł pomysł, aby go wydać, pomyślałam, że pokuszę się o napisanie horoskopu chińskiego dla kotów. I tak się stało. Jestem chyba pierwszą osobą, która zrobiła horoskopy dla kotów w systemie astrologii chińskiej. *Astrokoty* to książka magiczna, choć zawiera konkretne porady, a horoskopy można odnosić też do człowieka.

W moim zamyśle *Astrokoty* to zabawna, choć pisana z pełną odpowiedzialnością książka o kocich charakterach i o tym, co o naszych „braciach i siostrach mniejszych” mówią gwiazdy. Zawiera też konkretne porady. A horoskopy czytelnik może też odnosić do samego siebie, grona rodziny i przyjaciół. To ma być miła lektura, przy której czytelnik może się uśmiechnąć...

Elżbieta Lisowska – iranistka, doktor religioznawstwa, próbuje zrozumieć, w jaki sposób inne kultury opisują człowieka i świat, łącząc „to, co na górze” z „tym, co na dole”. Bliskie są jej dociekania indyjskich filozofów i zaratusztriańskich magów, fascynują ludzkie realizacje artystycznych i religijnych pasji. Krakowska podróżniczka, członek The Explorers Club, współautorka między innymi telewizyjnego programu *Światowiec* i książki *Południki szczęścia*. Od kotów uczy się radości życia i akceptacji siebie.



Ewa Kozakiewiczowa – jest krakowską dziennikarką. Związana była etatowo z „Dziennikiem Polskim”, „Gazetą Krakowską” i „Przekrojem”, współpracowała między innymi z „Warsaw Voice”, „Newsweekiem”, „Czasem Krakowskim”,

kilkoma wydawnictwami i portalami internetowymi. Zajmuje się głównie tematyką kulturalną, opublikowała trzytomowe *Opowieści fotografistów* (Muzeum Historii Fotografii), kilka katalogów o fotografii, bywa kuratorką wystaw fotograficznych.



Fot. Grzegorz Kozakiewicz

Miłość ratowała mnie wielokrotnie

Wysłuchali Katarzyna Domagała i Szymon Piegza Zdjęcia: Alicja Rzepa, Grzegorz Kozakiewicz i Jan Zych

Anna Dymna: Wszystkie chwile szczęścia kojarzą mi się z miłością. Ona nie tylko pomaga, ale ratuje człowieka. Co z tego, że czasami się przez nią cierpi? Jak człowiek kocha, to zawsze sobie poradzi. Też czasami płaczę, ale wiedzą o tym tylko moje koty.

Katarzyna Domagała, Szymon Piegza: Jak smakuje miłość?

Anna Dymna: Ależ trudne pytanie. Nie umiem na nie ani mądrze, ani prosto odpowiedzieć. Miłość ma wszystkie smaki. W dodatku każdy inaczej ją rozumie, przeżywa i nazywa. Dla mnie to największa energia na ziemi, która ratuje życie, daje radość, siłę i nadaje wszystkiemu sens. Jestem tego świadkiem na co dzień.

Halina Poświatowska pisała, że poznała miłość, która „miała smak gorzki jak filiżanka ciemnej kawy”.

Bardzo lubię czarną, gorzką kawę, najmniej przepadam za słodkościami (śmiech). Oczywiście, że miłość łączy się też z wielkimi emocjami, czasem z ogromnym cierpieniem. Mówię tu oczywiście o szeroko pojętej miłości. Dla mnie jest ona stosunkiem do świata, do wszelkich zjawisk i istot, do pracy, a przede wszystkim do drugiego człowieka. Poza miłością nie ma nic ważniejszego w życiu.

Jak człowiek kocha, to zawsze sobie poradzi.

W Pani życiu więcej jest momentów gorzkich czy słodkich?

Nigdy tego nie mierzyłam... Po prostu żyję i wciąż to życie kocham. Nie jest ono łatwe, ale na pewno ciekawe i fascynujące – ma momenty tragiczne, piękne, pełne bólu, lecz również radości. Dziwne, bo właśnie w tych najdramatyczniejszych chwilach rodziła się we mnie świadomość, jak cenne i wspaniałe jest życie.

Wszystkie tragedie, które mnie spotykały, w efekcie dawały mi największą siłę. Udawało mi się przezwyciężać je tylko dlatego, że zawsze byłam otoczona przyjaciółmi. Jesteśmy teraz w Starym Teatrze w Krakowie. Zdamy sobie sprawę, że gdyby nie to miejsce, kole-dzy aktorzy, to dziś by mnie pewnie nie było.

Jak to?

Oni po prostu byli ze mną. Gdy spaliło mi się mieszkanie, gdy umarł Dymny, gdy miałam

wypadki samochodowe... Zawsze byłam otoczona ich życzliwością. Pamiętam, jak Piotr Skrzynecki po pożarze naszego mieszkania przyszedł pomóc pogorzelncom i całą noc, w milczeniu, przekładał – kartka po kartce – suchymi gazetami nadpaloną i mokrą *Historię sztuki*. Po kilku godzinach żmudnej pracy, ze łzami w oczach, przytulił mnie i powiedział: „Aniu, udało się, uratowaliśmy wszystko”. Z kolei Ela Karkoszka zabrała mnie, Wiesia i naszą kocicę Kaškę, chwilo-wo bezdomnych, na długie tygodnie do swojego domu.

Koledzy ratowali mnie często nawet małymi gestami... Gdy leżałam w szpitalu na Węgrzech i walczyłam o życie, przyjechała do mnie Ela jako wysłanniczka zespołu i przywiozła mi menu z naszej knajpki ze SPATIF-u w Krakowie, z prośbą, bym coś zamówiła. Kto by pomyślał, że taki absurdalny żart może uruchomić siły na powrót do istnienia. Zawsze ze mną byli. Myśleli o mnie, czekali na mnie.

Jak człowiek kocha, to zawsze sobie poradzi. Trzeba mieć w sobie naiwność, zaufanie, otwartość dziecka. Wtedy przychodzi miłość. W mojej fundacji Mimo Wszystko pracuję z ludźmi cierpiącymi, chorymi, ale wśród tych istot pokrzywdzonych przez los znam osoby najszczęśliwsze na świecie.

Bo kochają?

Moi podopieczni, osoby dorosłe z niepełnosprawnościami intelektualnymi, najprościej mi pokazują, co jest najbardziej potrzebne człowiekowi w życiu. Często nie mogą założyć normalnej rodziny, nie radzą sobie ze swoim życiem, są bezradni. Każdy z nich ma ogromne problemy ze sobą, ale potrafią być szczęśliwi, gdy ktoś ich przytuli, trzyma za rękę, jest obok.

Przez 15 lat prowadzę w TVP2 rozmowy z ludźmi o innych niż intelektualne niepełnosprawnościach. Oni często walczą z nieuleczalnymi, genetycznymi chorobami, są uszkodzeni i zniekształceni przez wypadki, okrutnie cierpią. To od nich słyszałam najpiękniejsze słowa o sile miłości.

Przed wieloma laty poznałam niezwykłe małżeństwo, Agnieszkę i Grzesia, oboje z porażeniem mózgowym – on całkiem niesamodzielny, na wózku, ze spastycznie zniekształconym ciałem, ona – też z porażeniem czterokończynowym. Zakochali się w sobie wbrew wszystkim i wszystkiemu. Zapytałam kiedyś Agnieszkę, za co tak bardzo kocha tego swojego Grzesia. Odpowiedziała, że on jej przecież pomaga. Ale jak jej może pomagać, skoro nie chodzi, niczego sam nie potrafi zrobić, bełkocze? Odpowiedziała zdziwiona: „Aniu, on przecież o mnie myśli”.

Chodzi tylko o to, by umieć tę miłość dostrzec?

Czytamy u poetów i myślicieli, że miłość silniejsza jest niż śmierć. Nie rozumiałam kiedyś tych słów. Ale gdy umarł mój mąż, Wiesiu Dymny, którego kochałam nad życie, to choć byłam załamana i wydawało mi się, że mój świat się skończył, udało mi się tę naszą miłość przekuć w siłę do dalszego życia. Dziś wiem, że ta miłość, ta energia jest cały czas ze mną.

Kiedy wracam w nocy po pracy i naprawdę już nie mam na nic siły, to przychodzą do mnie mój kocur oraz kocica. Pchają się na moje kolana, mruczą. To też są chwile, kiedy przychodzi do mnie miłość, choć jest niby tylko mrużącym sierściuchem z pazurkami. A różowy wschód słońca nad moim ogródkiem, świergot ptaków, kwitnące drzewa na wiosnę...

Najważniejsze, by czuć się komuś potrzebnym.

Była Pani załamana po śmierci męża. To znaczy, że można i umierać z miłości?

Pewnie można. Mnie się na szczęście udało, bo miałam wokół dobrych ludzi. Poza tym pomógł mi los. Trzy miesiące po śmierci męża miałam poważny wypadek samochodowy. Naprawdę wtedy umierałam. Straciłam też na wiele dni pamięć. Gdy odzyskiwałam przytomność, czułam jedno – ogromną radość, że jestem, że widzę światło, że czuję ból, że oddycham... I później zrozumiałam, że człowiek ma żyć bez względu na wszystko, bo istnienie to jego szansa, szczęście największe i obojętne.

Najważniejsze jest chyba, by czuć się komuś potrzebnym. Historia Janusza Świtaja pokazuje, że człowiek jest niezwykle istotą. Może on dokonywać rzeczy niemożliwych. Janusz, całkowicie sparaliżowany, oddychający przez respirator, człowiek, który jeszcze kilka lat temu prosił o prawo do zaprzestania uporczywej terapii i wywołał w Polsce dyskusję o eutanazji, dziś pracuje w mojej fundacji, kończy studia i zdaje się być królem życia. **Wystarczyło, żeby ktoś go zauważył i docenił?**

Ważne, że poczuł się potrzebny. Znam ludzi, którzy, upokorzeni chorobą, niepełnospraw-

nością, czują się tylko balastem i kłopotem dla innych. Do takiego człowieka wystarczy się jedynie zbliżyć i powiedzieć mu: „Kurde, weź się do roboty! Naprawdę jesteś potrzebny!”. I okazuje się, że rzeczy niemożliwe stają się możliwe.

Kluczem do szczęścia jest umiejętność dostrzegania tego najmniejszego piękna, które otacza nas każdego dnia?

Przez wiele lat nie zastanawiałam się na tym. Nawet nie wiedziałam, jak jestem szczęśliwa. Uświadomiła mi to kiedyś bardzo wyraźnie bohaterka mojego programu *Spotkajmy się*. Ta dziewczyna na wózku, już prawie całkiem sparaliżowana, była cały czas jak promień słońca. Prowokowała mnie tą swoją niezrozumiałą radością. W końcu zapytałam ją: „Jolka, co ty się tak śmiesz cały czas?”. Odpowiedziała, że jest po prostu szczęśliwa. Mówię do niej: „Jak to jesteś szczęśliwa? Przecież siedzisz na wózku i nic nie możesz zrobić?”. Wytłumaczyła mi wtedy, że jest szczęśliwa, ponieważ widzi coś, czego my w pędzie dnia nie dostrzegamy.

Dla niej największym szczęściem jest to, że może jeszcze patrzeć, słyszeć, rozmawiać. I zapytała mnie wtedy: „Aniu, masz dwie ręce, dwie nogi, chodzisz... Czy ty wiesz jaka jesteś szczęśliwa?”.

Czy kontakt z tymi ludźmi pozwala Pani inaczej spojrzeć na samą siebie?

Moi podopieczni nauczyli mnie, że kiedy się budzę, to ten dzień jest moją szansą, skarbem. Dziwne, ale najradośniejsze chwile przeżyłam właśnie z tymi ludźmi: chorymi, niepełnosprawnymi, na wózkach. Z nich emanuje często tak wielka radość z drobiazgów, których nie zauważałam wcześniej.

Można być chorym, niepełnosprawnym i być szczęśliwym, ale czy można żyć bez drugiego człowieka?

Być może są takie osoby. Lubię być czasem sama, ale nie samotna. Kiedy spełniam swoje marzenia, na przykład jestem na safari i słownie wkładają mi trąby do jeepa, to moja radość jest zwielokrotniona, kiedy jestem tam z synem i mężem. O ileż piękniejszy jest zachód słońca, gdy się go z kimś ogląda. Jak jest ktoś obok, to radość jest większa, a cierpienie dwa razy mniejsze.

Czasem ludzie mieszkają obok siebie i nawet nie wiedzą, że w mieszkaniu obok siedzi ktoś, kto jest sam. Wystarczy zapukać do tych drzwi i zapytać: „Czy napije się pani ze mną herbaty?”. Taki gest, zwykły uśmiech potrafią czasem odmienić komuś życie.

Chyba coraz częściej o tym zapominamy.

Za szybko gonimy za rzeczami, które wydają nam się skarbnymi, a to są często bańki mydlane. Jak już je złapiemy, to okazuje się, że wcale nie było warto. Pamiętam, że Jola powiedziała mi jeszcze: „Ania, wiesz jaką ja ważną funkcję pełnię w życiu? Jestem po to, byś popatrzyła na mnie i zdała sobie sprawę, jak naprawdę jesteś szczęśli-



Z Jerzym Trelą, fot. Jan Zych

wa. Może po to jest moje kalectwo, cierpienie? Może po to żyję?”.

Nie boi się Pani, że ta gonitwa będzie coraz szybsza?

Nie. Myślę, że ludzie naprawdę są już tym zmęczeni. Ja to widzę, prowadząc fundację. Poznając wiele tragicznych losów ludzkich, zaczęłam odkrywać proste i najważniejsze wartości, na przykład przyjaźń. Jak mało ją doceniamy, jak nie umiemy jej szanować.

Sytuacja Krzysia Globisza uświadamia nam, że trzeba żyć tak, by mieć przyjaciół wokół siebie. Ale nie ma nic za darmo. Trzeba sobie na nich zasłużyć, bo może przyjść czas, kiedy oni nam będą potrzebni. Krzysztof zawsze pomagał ludziom. Teraz, gdy ma trudniejszy czas, nie jest sam.

Czasem mówię do siebie lub kogoś w stanie „wzburzenia chronicznego”: „Weź sobie, kobito, usiądź na chwilę. Przecież jesteś wyjątkowym zjawiskiem na świecie, nie ma takiego drugiego. Wyluzuj!”. Oczywiście, że czasami trzeba też sobie popłakać i powyciągać te drzazgi, które nam się wbijają w cięgu dnia. Ale jeśli człowiek ma pasję i kocha, to nie traci czasu na jakąś złość, nienawiść, na te wszystkie głupoty.

Skąd się biorą te głupoty w naszym życiu? Myślę, że źródłem zła, które czasem dotyka ludzi, są najczęściej kompleksy. Lecz gdy ma się obok kogoś, kto potrafi dostrzec w tobie coś niezwykłego, pokazać ci światło, do którego masz iść, to jesteś wygrany. Naj-

gorsze są zakazy, nakazy, krzyki i nieustająca agresywna krytyka. To budzi lęk, zamyka radość, rodzi poczucie krzywdy, agresję i nienawiść do świata. Nie wolno się ścigać. Największym obowiązkiem człowieka na ziemi jest być szczęśliwym, więc zróbmy wszystko, by takimi być.

Czy aktorstwo jest dla Pani też formą terapii? Oczywiście. Nauczyłam się uprawiać ten zawód w taki sposób, by mnie budował, napełniał, a nie wypalał. Czasem ludzie mówią, że aktorstwo to okrutna, niewdzięczna praca. Na przykład tej Dymnej spaliło się mieszkanie, a ona musiała na drugi dzień iść do teatru i grać. Wydawało się w danej chwili, że to jest okrutne, ale właśnie to mnie zawsze w najtrudniejszych momentach ratowało. Dzięki temu chyba nie zwariowałam.

Aktor na scenie jest w stanie szczególnym. Potrafi robić rzeczy na co dzień niemożliwe. Zdarzało mi się w filmie kąpać w rzece pod koniec listopada, w zimie udawać lato, a w lecie zimą. Torturujemy tak przez całe lata z lubością swoje organizmy. Jestem w szoku, że mój stale ze mną jeszcze współpracuje. A przecież mija czas. Aktora dotykają wszystkie „przywileje” przemijania. Ale po każdym spektaklu, mimo potu, bólu i zmęczenia, czuje się radość, że jeszcze raz się udało. Cieszy mnie to wspólnie uczucie zwycięstwa nad własnymi słabościami jak po wygranej bitwie.

A miłość pomaga w aktorstwie czy przeskadza?

Mój zawód jest całe życie moją pasją i wielką miłością

Jakie uczucia panią najbardziej bolą i osłabiają?

Są uczucia, które człowieka niszczą. Jedno z nich to rozczarowanie. Gdy jesteś otwarty i ufasz ludziom, to czasem, niestety, można się zawieść. To bardzo boli. Nie można nosić w sobie rozczarowania. Trzeba powiedzieć, co się czuje, oczyścić się z tego uczucia, a doświadczenie to zamienić w jakąś mądrość. Mnie to również spotyka, bo życie po prostu takie jest.

W jakich sytuacjach?

W różnych. Od 15 lat prowadzę fundację, więc cały czas muszę nosić w sobie radość pomagania. Jestem wolontariuszem. Nikt mi za to nie płaci. Muszę mieć w sobie jakiś inny motor do działania... Jest nim właśnie radość. Na razie nigdy mi jej nie brakuje.

Zdarza się, że muszę zderzać się z ludzką zawiścią i nienawiścią. Ale mam wokół wspólnych ludzi i jakoś sobie z tym radzimy. Czasem dla zdrowia psychicznego sobie w nocy popłaczę, ale o tym wiedzą tylko moje koty.

Walczyć trzeba o coś, a nie z kimś.

Co się dzieje z naszym społeczeństwem? Skąd się bierze ten hejt?

Mam wrażenie, że ostatnio żyjemy w jakimś stanie wyjątkowym, jakby na polu minowym. Ludzie nie potrafią ze sobą rozmawiać, szybko się oceniają, potępiają. „Myślisz inaczej niż ja? To w łeb!”. Najistotniejsze sprawy schodzą w tych przepychankach na plan dalszy.

A przecież żyjemy w wolnym, demokratycznym kraju. Każdy ma prawo wierzyć, w co chce, mieć swoje przekonania i przyzwyczajenia. Byłe nikogo nie krzywdził. Myślę, że brakuje w naszym państwie przestrzeni całkowicie ponadpolitycznej. Nasze kompleksy są wykorzystywane do walk, które wcale nie są naszymi walkami. Walczyć trzeba o coś, a nie z kimś.

Najlepszym przykładem jest nasz teatr. Jeśli w tym kryzysie, wywołanym politycznymi decyzjami, uda nam się opanować emocje, jeśli wszystkie siły i serce włożymy w to, by spokojnie zrobić kilka ciekawych spektakli, to uratujemy zespół oraz wypracowane przez pokolenia wartości.

Państwo – aktorzy Starego Teatru – są przykładem działania, którego brakuje dzisiaj Polakom: zjednoczenia we wspólnej sprawie, w imię wspólnej idei.

Eskałowanie konfliktów nic nie daje, a wszystko niszczy. Przyjaźniłam się z księdzem Tischnerem. Napisał on kiedyś mądre słowa o nienawiści. Ktoś ci robi krzywdę, ty zraniony oddajesz mu i też robisz krzywdę. W ten sposób nakręca się powoli spirala nienawiści, która dusi wszystko i niszczy wszystko.

Podobnie jest w tischnerowskiej teorii krzywych zwierciadeł. Siedzą dwie zranione osoby, a między nimi jakiś szatan stawia krzywe lustro. Jedna z nich mówi swoje racje i widzi wstrętną pokrzywioną twarz przeciwnika. Nie wie, że przeciwnik patrzy też przez to lustro i widzi jego twarz równie odpychającą i zniekształconą. Ksiądz Tischner mówi, że trzeba wziąć to lustro i rozbić je na kawałki, a potem popatrzeć po prostu w oczy przeciwnikowi, zwyczajnie porozmawiać, zrozumieć się wzajemnie i dogadać.

Jest dla nas jakiś ratunek?

Miłość, pasje, zaufanie, radość. Gdy będziemy szczęśliwi, to łatwiej zrozumiemy innych ludzi. To trudne, ale trzeba mieć cierpliwość. A jej też nam dzisiaj brakuje. Ci, którzy mają pasje, są wolnymi ludźmi.

Tylko chyba jesteście dzisiaj trochę zagnębieni.

Niestety, coraz bardziej. Co czwarta osoba w Polsce ma kłopoty psychiczne. Dziś młodzi ludzie bardzo często nie wiedzą, co jest dobre, a co złe. Brakuje im wzorców, autorytetów. Patrzą na to, co się dzieje w życiu publicznym, i często nie wiedzą, czy rację mają ci, którzy najgłośniejsz krzyczą, czy ci, którzy mają szmal, czy ci, którzy sprytnie kombinują. Coraz trudniej znaleźć swoje światełko i prostą drogę do niego. Tyle jest wokół świateł, atrakcji, krętych ścieżek...

Może zapewnię sobie miejsce w kocim raju.

Na koniec chcieliśmy zapytać o szczególny rodzaj miłości, jakim jest miłość do kotów.

Byłam wychowywana w bliskości z naturą. Rodzice nauczyli mnie, że trzeba ją poznać, szanować, bo jest prawdziwym cudem. Znam setki roślin, drzew, kwiatów, ziół, ptaków, ryb, owadów... Biologia była moim ulubionym przedmiotem. Poznałam wiele zwyczajów zwierząt. Nie można na siłę ingerować w ich życie, lecz można się z nimi przyjaźnić, a taka przyjaźń bywa „na śmierć i życie”. Od wielu lat przyjaźnię się z kotami.

Jak to się Pani przyjaźni z kotami?

Miałam kiedyś psa, kochaną Mufkę, owczarka nizinnego. Była srebrzystą, futrzaną kulą radości i psiej miłości. Ale zaprzyjaźnić się z psem jest znacznie łatwiej niż z kotem. Zdobycie zaufanie kota to często prawdziwa sztuka. Nie możesz go skarcić bez powodu, krzyknąć na niego, gdy nie wie, o co chodzi, bo stracisz jego zaufanie. Wtedy nici z przyjaźni. Ale gdy taki kot cię pokocha, to potrafi przejść dziesiątki kilometrów, by cię odnaleźć, jest wierny i oddany, gotowy oddać za ciebie życie. Miałam wiele kotów. Każdy był zupełnie inny, miał inne przyzwyczajenia i charakter.

Niech Pani coś więcej o nich opowie!

Musiałabym napisać o nich ogromną książkę. Najdłużej, czyli 19 lat była ze mną szylkretka



Jubileusz 35-lecia pracy artystycznej, Stary Teatr, fot. Grzegorz Kozakiewicz



Z Krzysztofem Globiszem na planie filmu *Prawdziwe życie aniołów*, fot. Alicja Rzepa

Czacza, o której Andrzej Sikorowski napisał piękną piosenkę *Czacza dla sąsiadki*. W zeszłym roku przestał mruczeć, po 18 latach, mój czarny, dziki Haszys, mój najlepszy terapeuta. Zawsze wyczuwał, co mnie boli, i bezbłędnie kładł się na tym miejscu.

Poza tym moje koty wiedzą, kiedy trzeba mnie rozśmieszyć. Potrafią takie firlaki wykręcać, że musisz się uśmiechnąć. Czują, kiedy jestem zmęczona, i nastawiają się sprytnie do głaskania – wiedzą pewnie, że to rozluźnia i leczy serce.

Teraz mam w domu dwa koty. Scysja jest pręgowanym buraskiem z azylu. Była bardzo chora. Mój syn ją wziął do siebie, długo leczył i uratował. Pewnego dnia do mnie zadzwonił i mówi: „Matka, mam problem. Scysja jest sama, smutna i dlatego wziąłem jej do towarzystwa takiego kociego malucha”. Ten Vasco, czyli Waśka, to był taki długi, chudziutki, w paseczki, z krawacikiem, w białych skarpetkach malutki koteczek. I rzeczywiście nie opuszczał Scysji na krok. Jadł z nią, spał na niej, lizał jej uszy, zabawiał.

kocurka, to sobie myślę, że może zapewnię sobie miejsce w takim kocim raju.

Miałam kiedyś kota Hamleta. Przyszedł do mnie skatowany przez kogoś, pocięty nożem, połamany. Zaufał mi i przeżył ponad rok. Z wdzięczności dużo do mnie mówił. Ja się go pytałam: „Kto ty jesteś?”, a on mówił wtedy monolog „*To be or not to be*”. Co jakiś czas pojawia się jakiś obcy kot i chce być mój. Podejrzewam, że Waśka, który ma charakter Kubusia Puchatka, esemesuje albo mailuje do kolegów, by przyszli na miskę do jego pani.

Ja się dobrze z moimi kotami dogaduję. One nie pyskują, nie klną, nie oceniają bez zastanowienia, są wierne i konsekwentne. Nie mówią, że brzydki dziś wyglądam, no istny raj! (śmiech)

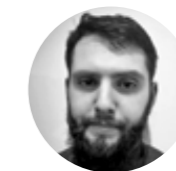
Jaka jest najprostsza definicja miłości według Anny Dymnej?

Nie ma prostej definicji, bo miłość jest skomplikowana. Najprostsza definicja? Jak napisała Emily Dickinson, miłość jest wszystkim, co istnieje.

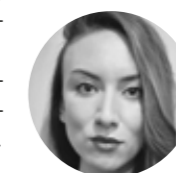
Anna Dymna – jedna z najwybitniejszych polskich aktorek. Zadebiutowała na scenie w 1969 roku. W dorobku ma blisko 300 ról teatralnych i filmowych. Od początku kariery związana jest ze Starym Teatrem w Krakowie. Pracowała z najwybitniejszymi polskimi reżyserami – m.in. Andrzejem Wajdą, Konradem Swinarskim, Jerzym Jarockim, Jerzym Grzegorzewskim, Kazimierzem Kutzem. Działaczka społeczna.

Fundacja Anny Dymnej MIMO WSZYSTKO

ul. prof. Stefana Myczkowskiego 4, 30-198 Kraków
BZ WBK SA: 65 1090 1665 0000 0001 0373 7343
<http://mimowszystko.org>



Szymon Piegza – publikował na portalach TVN24, Interia oraz Onet. Autor filmów krótkometrażowych i reportaży. Entuzjasta literatury klasycznej, kina moralnego niepokoju i polskiego rock&rolla.



Katarzyna Domagała – absolwentka Dziennikarstwa i Komunikacji Społecznej oraz Zarządzania Kulturą i Mediami; interesuje się kulturą współczesną oraz tematami społeczno-politycznymi. Miłośniczka kina Bergmana, rocka i jazzu progresywnego. W wolnych chwilach pisze i maluje.

Mam je od roku u siebie i nie mogę się na nie napatrzeć. Jak one się lubią, jak o siebie dbają, zawsze mówię mężowi: „Zobacz, co to znaczy prawdziwa miłość!”. Czasem wydaje mi się, że są przekonane, że ja też jestem kotem, szczególnie w nocy, gdy wreszcie jestem w domu, dostępna i chwilowo unieruchomiona. Atakują mnie swoją kocią miłością. **Powiedziała Pani nawet, że po śmierci ma Pani zapewnione miejsce w kocim raju.** Na to trzeba sobie zasłużyć! Ale staram się bardzo. I gdy po raz kolejny ratuję jakiegoś

Kot ambiwalentny

Tekst: Jan Barański

Z jakiegoś powodu *homo sapiens* postanowił wszystko sobie objaśnić. Co dostrzeże nasze oko czy usłyszy ucho, co obejmie nasza myśl – nie spoczniemy, dopóki nie włączymy tejże części rzeczywistości w ramy jakiegoś systemu, nie umieścimy w odpowiedniej szufladzie.

Te sposoby na uporządkowanie świata utkane są z symboli. Tu wspaniałej lekcji udzielił światu niemiecki filozof Ernst Cassirer. Dowodził on, że ludzkie poznanie w sposób niezawodny zawiera w sobie zawsze pośrednictwo. Oto ludzki sposób rozumienia: człowiek odłączył się od rzeczywistości jako takiej, wynalazłszy „formy symboliczne” – wektory przekładu. Cassirer pisał o micie, języku, religii, nauce. Ten arbitralny podział wielokrotnie był dyskutowany – nie czas i miejsce, by ten problem analizować. Lecz co do potrzeby porządkowania opartego na systemach stworzonych ze zmiennych symboli nikt wątpliwości nie ma.

Ale jak mówić o symbolach, używając symboli? Popadamy w błędne koło przekła-

rzęta te postanowiły zbliżyć się do ludzi. Nie powinno nas to dziwić, jeśli dostrzeżemy, jak nietypowym stworzeniem jest kot. Z jednej strony to drapieżnik, łowca totalny. By w pełni spożytkować wspaniałą słuch, wykształcił w swoich uszach po 32 mięśnie umożliwiające mu poruszanie nimi. Być może dzięki wspaniałemu słuchowi umie poruszać się niemal całkiem bezszelestnie, budząc przez wielki skojarzenia z duchami. Dzięki wyjątkowej konstrukcji oczu dobrze widzi w ciemności. Struktura mięśni i stawów powoduje, że potrafi skakać na zadziwiająco odległości w stosunku do swoich wymiarów. Jego wyjątkowa budowa anatomiczna sprawia także, że przeżywa upadki nawet z bardzo dużych (znów: zestawiając z jego rozmiarem wręcz ogromnych) wysokości. W wielu miejscach na świecie przypisuje się mu tradycyjnie wielość życ (gdzieś gdzieś dziewięć – na przykład w Europie i Indiach, gdzie indziej – siedem, również w Europie, ale i w świecie islamu). Dziwny ten myśliwy zdaje się polować nie tylko po to, by zaspokoić głód. Koty zabijają również wtedy, gdy nie muszą – czyżby robiły to dla zabawy? Dla treningu?

A przecież przy całej drapieżności kot jest uroczym stworzeniem, które hipnotyzuje uśmiechem i oczyma. Ujmująca jest jego dbałość o higienę (zwykły kot spędza średnio piątą część swojego życia na myciu się), rozczulające ciągłe lenistwo – koty śpią nawet do 20 godzin na dobę. Ma piękną sierść, która była niegdyś popularnym surowcem do produkcji ubrań i galanterii.

Nie dziwi, że wobec tej dziwacznej dwiściej, ambiwalentnej natury koty budziły sprzeczne, skrajne emocje.

*

Za sprawą swojej nieprzystawalności do ludzkich miar koty, gdziekolwiek się pojawiły, nabierały przeróżnych znaczeń. O kulcie kotów w Egipcie wie każdy kociarz. Koty były czczone jako kobiece duchy domowego ciepła, posiadające moc mediowania pomiędzy światem ziemskim a boskim – o ich wyjątkowym traktowaniu nad Nilem opowiadał Herodot. Być może właśnie dlatego w chrześcijańskiej, średniowiecznej Europie doktryna kościelna odnosiła się do nich z wielką rezerwą – reprezentowały bowiem dawne, pogańskie kultury starożytnych. Choć sprawa kociej inkwizycji i jej rzeczywistego zasięgu jest przedmiotem sporów zwierzęcych historyków, nie ulega

du – wyjaśniając wyjaśnienia przy użyciu tych samych sposobów, które do stworzenia wyjaśnienia posłużyły. Budujemy kolejne formy symboliczne, by zrozumieć formy symboliczne, a tworzymy nowe, opierając się na poprzednich.

Ciekawe, że świadomość tego paradoksu w refleksji naukowej pojawiła się niedawno. Tak zwana dekonstrukcja, określana również postmodernizmem, to raptem lata 70. i 80. ubiegłego wieku. Za jej prekursora w filozofii uważa się Francuza Jacques'a Derridę. Ten ekscentryczny geniusz był miłośnikiem kotów, zaś obcowanie z nimi doprowadzało go nieraz do wielce odkrywczych przemyśleń. Jak wtedy, gdy nagi wyszedł z kąpieli, a jego wzrok spotkał się z jego kocim przyjacielem. Filozof doznał poczucia wstydu, zupełnie jakby patrzył nań człowiek – a przecież przyglądał mu się zwierzęcy pupil. Ta sytuacja skłoniła myśliciela do rozważań nad wstydem, statusem, jaki nadajemy różnym bytom, w końcu – ontologii, naturze poznania i tak dalej.

*

Nie on pierwszy miał poznawczy problem z kotami. Dzieje tej trudności są w ramach ludzkiej historii tak dawne, jak dawno zwi-

Za sprawą swojej nieprzystawalności do ludzkich miar koty, gdziekolwiek się pojawiły, nabierały przeróżnych znaczeń.



Gustave Doré, ilustracja do *Kota w butach* Charles'a Perraulta, ok. 1860, domena publiczna

jednak wątpliwości, że i tym razem koty nie dały się wpasować w symboliczne sieci, musiały więc znaleźć się raczej po ciemnej stronie ówczesnych rozważań o świecie.

W Chinach kot jest takim symbolem sprytu, jak w Europie lis. To jednocześnie dobry duch, o którego przychylność należy zabiegać, ale także niebezpieczny odźwierny, mogący otwierać wrota demonicznym siłom.

Próby opisu zwierzęcego poznania zawsze obarczone są ludzkimi miarami. Za każdym razem, gdy próbujemy zrozumieć zwierzęta, „wielkiego niemowę historii”, spotykamy się z tym samym problemem przekładu.

Freja, skandynawska bogini księżycy i płodności, zaprzęgała swój powóz w czarne koty.

W polskim folklorze kot bywał utożsamiany z Judaszem – jako zwierzę szelmowskie i zdradzieckie, lecz – znów – o trudnej w ocenie roli, którą odgrywa w swoim pośrednictwie między światami. Jego zjawienie się mogło zwiastować śmierć (gdy objawił się o północy) lub niepowodzenie małżeńskie (zwłaszcza gdy przekroczył drogę orszaku weselnego).

Od niemieckiego *Katze* utworzono słowo *Ketzer* – czyli heretyk: odmieniec, ten, który podważa słuszne doktryny.

Jeśli coś łączy te wszystkie wierzenia o kotach, to trudność w jednoznacznym przyporządkowaniu. Nie dziwi więc, że tak często łączyony był ze światem nocy i śmierci, które to siły niemal powszechnie na całym świecie są zarówno niebezpieczne, jak i potężne w swojej zdolności tworzenia i odnawiania świata. Często związany był z mocami lunarnymi, z księżycem kojarzono jego zmieniające kształt oczy.

*

Kto wie, w jakim stopniu dziwność i nieprzystawalność kotów przyczyniła się do krytycznej współczesnej refleksji w filozofii o statusie ontologicznym zwierząt w ogóle. Badania i rozważania nad zwierzęcym (nie-ludzkim) poznaniem wykrywały się w multi-dziedzinie nazywanej *animal studies*, która łączy w sobie elementy biologii, neurologii, zoologii, ale i historii, kognitywistyki, refleksji antropologicznej czy nawet językoznawstwa i literaturoznawstwa. Za prekursora tej dziedziny wiedzy, zwanej również antropozoologią, uważa się Petera Singera, a jego dzieło *Animal Liberation* wydane w 1975 roku rozpoczęło trwającą do dziś dyskusję o statusie zwierząt. Zaangażowało się w nią wielu zarówno polskich, jak i zagranicznych naukowców, z Fransem de Vaalem, Giorgio Agambem, Érikiem Baratayem czy wspomnianym

Derridą na czele. Jednak problem relacji zwierząt i ludzi podejmowali wybitni myśliciele wcześniej – Nietzsche, Heidegger, Freud czy Lacan. Na polskim gruncie do dyskusji włączyli się tacy naukowcy, jak choćby antropolog Dariusz Czaja. Uniwersytet Śląski od 2016 roku wydaje czasopismo naukowe, poświęcone tematyce *Animal studies*, a przy wielu polskich uniwersytetach prowadzone są kursy, a nawet specjalizacje i studia podyplomowe. W Krakowie prężnie działa sekcja antropologii zwierząt przy kole naukowym studentów Instytutu Etnologii i Antropologii Kulturowej UJ.

Na antrozoologię składa się wiele różnych dziedzin. Co do jednego antrozoologowie są zgodni – wszelkie próby klasyfikacji i opisu zwierzęcego poznania zawsze obarczone są ludzkimi miarami. Za każdym razem, gdy próbujemy zrozumieć zwierzęta – za Dariuszem Czają: „wielkiego niemowę historii”, spotykamy się z tym samym problemem przekładu. W końcu ilekroć odbieramy (interpretujemy) otaczający nas świat, czynimy to przy użyciu naszych wynalazków, czyli form symbolicznych. To próby zapośredniczone, a od tego uciec nie sposób. Gdy mówi się na przykład: „pies ma mentalność półtorarocznego dziecka” – stosuje się człowieczą miarę; gdy stwier-

Mit, religia, nauka, zdrowy rozsądek, refleksja filozoficzna, ludowe wierzenia – wszystkie te i inne jeszcze systemy interpretacyjne nie radzą sobie z kotami.

dza się „udomowienie” kota – mowa o domu, więc typowo ludzkim symbolu; gdy francuski antropolog Marcel Mauss wyrzekł sławne zdanie: „człowiek udomowił psa, zaś kot udomowił człowieka”, znów odwoływał się do ludzkich sposobów nazywania.

*

Koty poprzez swoją niejednoznaczność, niewytłumaczalność i ambiwalentność wymykają się próbom zrozumienia świata, które stosuje człowiek. Mit, religia, nauka, zdrowy rozsądek, refleksja filozoficzna, ludowe wierzenia – wszystkie te i inne jeszcze systemy interpretacyjne nie radzą sobie z kotami.

Możemy się od tych sympatyczno-demonicznych stworzeń nauczyć pokory wobec rzekomej niezawodności naszych mocy poznawczych i systemów symbolicznych.



Jan Barański – antropolog kulturowy i barman. Redaguje czasopismo antropologiczne „Barbarzyńca” i gra w piłkę.



Pan Kazimierz

Tekst: Witold Beres Zdjęcie: Arkadiusz Ławrywianiec

Zwykłe się mówi po czymś odejściu, że tej Zobecności nikt nie zastąpi (choć natura próżni nie znosi). Mówi się też, że zmarły żyje wśród nas dzięki swemu dziełu (choć sztuka się szybko starzeje). I dodaje się, że bez niego nie nauczylibyśmy się wielu rzeczy.

Wszystko to gówno prawda. Kazimierza Kutza nikt nie zastąpi. Ale najbardziej jego postawy – szlachetnej i uczciwej. Choć go słuchaliśmy pasjami, to widać, że zdało się to psu na budę: obywatele RP są takimi idiotami jak i przed laty.

Szkoda, że odszedł, choć odszedł spełniony, kochany, a w naszych środowiskach – ubóstwiany. Ludzie miesięcznika „Kraków” spotykali go wielokrotnie – nie przez przypadek w roku 2009 dostał medal „Za Mądrość Obywatelską”.

Sam też spotykałem się z nim co rusz – a to w świecie filmu i TV, a to pracując dla mediów, a to w polityce (pan Kazimierz był wszak i posłem, i senatorem związanym z PO, z którą i ja współpracowałem).

Wywiadowi, który udzielił mi kiedyś dla „Tygodnika Powszechnego”, sam wymyślił tytuł: *Los lubi mi pomagać*. Jak gdyby chciał pokazać, że sukces to furda, gdy nie ma się dystansu do siebie i łutu szczęścia. A był sym-

bolem solidnej pracy. Tyle że i dystansu mu nie brakowało.

Wielokrotnie powtarzał powiedzenie wojewody katowickiego Jerzego Ziętka, który zadręczany pytaniami, co naprawdę w życiu ma sens, mawiał: „Jedno, co ja wiem na pewno, że na kaca najlepsze jest piwo”.

Ale w tymże wywiadzie pan Kazimierz, po raz kolejny szczęśliwie zakochany ojciec, złotą radę dał już inną: „Wiem tylko, że najpiękniej jest starać się być sobą i bronić się przed udawaniem. Udawanie jest największym marnotrawieniem zdolności człowieka. A wolność trzeba sobie samemu wyrobić w sobie – zawsze jest możliwa, niezależnie od ustroju, trzeba tylko mieć charakter i nie poddawać się. A na kaca najlepsze, kiedy rano budzi człowieka najmłodsza córka”.



Witold Beres – producent filmowy, scena-rzysta, publicysta, pisarz. Redaktor naczelny miesięcznika „Kraków”.

Kazimierz Kutz zgasił światło

Tekst: Maria Malatyńska Zdjęcia: Arkadiusz Ławrywianiec

Od pewnego czasu żartobliwie powtarzał: „Jestem już ostatni. Jak wyjdę, to zgaszę światło”. I zgasił.

Zabrakło mu dwóch miesięcy do dziewięćdziesiątki. Był przepiękny talentami: reżyser filmowy, telewizyjny i teatralny, barwny i niepokorny, dosadny w języku gawędziarz, erudyta, inteligentny prowokator, błyskotliwy polemista, złośliwy felietonista, a nade wszystko piewca Śląska! Kochał ludzi, zwłaszcza artystów. Aktorzy lgnęli do niego, bo miał w sobie artystyczną siłę, zawsze mu się wierzyło, więc mogli czuć się zaszczytzeni jego zainteresowaniem... i bezpieczni pod jego okiem. Nie przepadał za politykami, choć sam był senatorem i posłem. Ale zaczął w czasach nieskończenie gorących i optymistycznych, czyli w początkach lat 90. ubiegłego wieku, gdy artyści, bywało, rzucali sztukę i szli do polityki. On robił to dla Śląska.

Urodzony w Szopienicach, w rodzinie powstańców śląskich, w śląskiej biedzie – jak mówił i pamiętał o tym całe życie – czuł, że po to się wykształcił, po to obdarzony został talentami, aby wszystko, co jest potrzebne, dla Śląska „załatwić”. Biuro senatorskie miał więc w Katowicach i co tydzień w nim urzędował. Wiedział o wyborcach wszystko. A Ślązacy darzyli go zaufaniem. Przyniosło mu to zresztą nowy zawód: został felietonistą. Niedługo pisywał w „Panoramie Śląskiej”. Potem przez lata cotygodniowe felietony pojawiały się na łamach katowickiej „Gazety Wyborczej”. Chwalił się, że Ślązacy czekali na jego słowa „jak na niedzielne kazanie”. I umieli się odwzajemnić: w ankiecie na Ślązaka wszech czasów zajął trzecie miejsce. A ostatnio znalazł się w albumie jego zasług tytuł doktora *honoris causa*, który wreszcie otrzymał od macierzystej Filmówki. Uroczystość odbyła się 13 grudnia 2018 roku. Sam nie mógł się już pojawić w Łodzi. Odebrał ten laur w jego imieniu najmłodszy syn.

Kutz to autor ponad 20 filmów i około 50 spektakli w teatrach, ale przede wszystkim – w telewizji. Tu był mistrzem jako znawca specyfiki małego ekranu (nawet jako autor serialu według *Sławy i chwały* Iwaszkiewicza). Stworzył wiele inscenizacji genialnych, jak choćby słynne *Opowieści Hollywoodu* według Christophera Hamptona, *Do piachu* Tadeusza Różewicza, *Kolacja na cztery ręce* Paula Barza i *Noc Walpurgii* Wieniedikta Jerofiejewa czy wreszcie *Stalin* Gastona Salvatore z niezapomnianymi rolami Jerzego Treli jako Stalina

i Tadeusza Łomnickiego jako wielkiego aktora, złośliwie i groźnie okpiwanego przez satrapę. Pamiętamy też późniejszą nieco *Kartotekę rozrzuconą* Różewicza. To wszystko działo się głównie w Krakowie, w naszej telewizji, w której Kutz odrodził dla małego ekranu teatr.

Gdy w zeszłym roku Kutz przyjechał do ulubionego Krakowa na spotkanie z widzami, ze swoimi aktorami, a także ze studentami szkoły teatralnej, powtarzał, że jest „ostatni”. Ostatni z pokolenia polskiej szkoły filmowej, tej cudownej grupy, która wprost z doświadczeń wojennych doszła do powstałej właśnie Szkoły Filmowej w Łodzi, by stworzyć nowe polskie kino. Nazywał siebie i ówczesnych kolegów, Wajdę, Morgensterna, Munka i tylu innych, „bombą energetyczną”, która musiała wybuchnąć.

To było dawno, ale my też często powracamy do tamtego początku trochę jak do mitu założycielskiego polskiego kina. Słusznie lokujemy w tamtym czasie Kazimierza Kutza i znamy jego ówczesne filmy, choć i tak wszyscy wiedzą, że nieśmiertelne, te jedyne w swoim rodzaju zasługi artystyczne przysły później, w początkach lat 70. XX wieku i dotyczyły opowieści o Śląsku. Bo Kutz, jak się o nim mówiło, to po pierwsze Ślązak, po drugie piewca Śląska, a po trzecie – obrońca śląskich spraw. Ale też wtedy zaistniał jako objawienie filmowe nie do podrobienia.

Przytaczam to Kutzowskie poczucie, że jest „ostatni”, bo wygląda na to, że chciał wtedy zwrócić uwagę na te swoje pierwsze dokonania. Wtedy, gdy rocznikowo młodszy od kolegów, był drugim reżyserem przy *Kanał* Wajdy, a samodzielnie wyłamał się z tłumu historycznych pesymistów i piewców fatalizmu polskich dziejów, realizując *Krzyż Walecznych* niemal jak komedię, a neorealizm, pozbawionych patosu *Ludzi z pociągu* – niemal jak dokument. Wreszcie zaskoczył wszystkich niepodobnym do niczego, bo prekursorskim i nowofalowym, całkiem współczesnym filmem o miłości *Nikt nie woła*. Nikt nie wiedział, jak to ocenić, więc na wszelki wypadek nie mówiono i nie pisano o tym obrazie nic.

W marcu, a więc za miesiąc, Kutz miałby jubileusz 60-lecia debiutu. Był nim wspomniany *Krzyż walecznych*, film złożony z trzech no-



Stworzył ponad 20 filmów i około 50 spektakli w teatrach, ale przede wszystkim – w telewizji. Tu był mistrzem. *Do piachu, Kolacja na cztery ręce, Noc Walpurgii czy wreszcie Stalin... To wszystko działo się głównie w Krakowie, w naszej telewizji, w której Kutz odrodził dla małego ekranu teatr.*

wel, oparty na prozie Józefa Hena. Szczęściem Kutz był, że ten debiut natychmiast zaistniał na rynku filmowym. A było tam wówczas tłoczno: rozwijał się najświeższy kierunek polskiego kina powojennego, tzw. polska szkoła filmowa. Czas debiutanckiej premiery Kutz przypadał już po *Pokoleniu*, *Kanale* oraz *Popiele i diamentach* Wajdy, po *Eroice* Munka, po *Prawdziwym końcu wielkiej wojny* Kawalerowicza, a za chwilę pojawić się miał *Pociąg* Kawalerowicza, i *Zezowate szczęście* Munka.

W historycznej ocenie polskiej szkoły filmowej debiut Kutz ma jednak swoje miejsce. I nawet nie dlatego, że ciekawy, sprawnie zrobiony, z dobrymi postaciami i dobrze zbudowanym tłem. Ale dlatego, że z naturalną przekorą odrzucił młody reżyser właściwą dla polskiej szkoły tonację heroiczną i budując podobną tematykę, spojrzął na czas dziejowych analiz od strony codziennej.

*

Dla wszystkich kinomanów Kazimierz Kutz zaistniał jednak naprawdę w początkach lat 70. minionego stulecia, gdy cała Polska oniemiała z zachwytu i zaskoczenia wobec *Soli ziemi czarnej* oraz *Perły w koronie* – i wszyscy nagle zrozumieli, że Kutz trzeba oglądać przez Śląsk. Stamtąd powinien dowodzić narodową wyobraźnię, przedstawiając śląskie wartości i pokazując śląskich bohaterów, równie gorących i wojowniczych jak ci z literatury romantycznej. Tam był prawdziwym gospodarzem. Miał w Katowicach Zespół Filmowy „Silesia”, jedyny pozawarszawski, na który zgodziły się ówczesne władze. To tam gromadził twórczą młodzież, a także zgarniał tych, którym nie udawało się gdzie indziej zrealizować planów. Właśnie tam udało się nakręcić, pewnie podejrzany na innym terenie, doskonały obraz Wojciecha J. Hasa *Sanatorium pod klepsydrą*. Ale i sam Kutz robił tam filmy. *Paciorki jednego różańca* uzupełniły wtedy wcześniejsze dwa filmy śląskie. I choć film nie miał podobnej siły emocjonalnej i plastycznej co *Sól* i *Perła*, bo powstał zbyt późno (1980) w stosunku do tamtych arcydzieł, gdy już inne były tematy zainteresowań, to odczytywane są do dziś jako dopełnienie śląskiej trylogii.

Bo na Śląsku był Kutz u siebie. I z tamtej perspektywy mógł nawet dworować sobie z „sąsiadów”. Z przekąsem nazywał nasz re-

gion „Rzeczpospolitą Krakowską”, z niechęcią mówił o „Księstwie Warszawskim” jako o miejscu lakierowanych snobizmów. Ale los zakpił nieco z jego dzielnicowych złośliwości, bo najpierw wprowadził go do „Rzeczpospolitej Krakowskiej”, czyniąc na kilka lat szefem krakowskiej TVP, co dla nas było szczęśliwe, bo Kraków wyrósł, powtórzmy, na potęgę w gatunku teatru telewizyjnego. A potem posadził go w samym środku „Księstwa Warszawskiego”, dając mu zaszczyty i stanowiska w parlamencie.

Ale liczył się jedynie Śląsk. I prawo człowieka, silnego swoją ziemią, którą stworzył niczym dzieło sztuki. Zbudował jej legendę i narzucił ją wyobraźni całego kraju, a śląski autentyzm i historię, jego ideały i urodę uczynił wzorcem dla wszystkich. Taką miał wtedy siłę. Bo wiedział, że jego region, pomijany w micie szlacheckiej Polski, nie miał wielkich szans cywilizacyjnych. Pozostawał nieznany, skazany na degradację. Kutz, człowiek stamtąd, zrobił więc wszystko, aby kiedyś było wiadomo, że Ślązak nie musi być skazany na „dupowatość” – jak sam to określał. To było jego prawdziwie spełnione zadanie cywilizacyjne.

Kutz wiedział, że Śląsk to jego miejsce, siła i misja. O poczuciu misji właśnie świadczył ostatni jego śląski film, odnowiony ostatnio cyfrowo, wciąż aktualny i arcydziełny, czyli *Śmierć jak kromka chleba*. Między II powstaniem śląskim a śmiercią górników w kopalni Wujek Kutz odtworzył gamę śląskich emocji i wydarzeń. A choć czas upływał, to ideały i wartości społeczne oraz ludzkie, przypisane tej ziemi i kulturze, pozostały te same. Być może największym zwycięstwem Kutz jest to, że potrafił to zauważyć i nam narzucić. Nie musiał tego nawet specjalnie wspierać jakością filmów, bo w gruncie rzeczy nie o to chodziło. *Sól ziemi czarnej* i *Perła w koronie* – to ewidentne arcydzieła, których jakość nie zmieniła się z upływem czasu. *Paciorki jednego różańca* także dziś zaskakują skromnością i ściszeniem, z jakim dopominają się o prawo do indywidualnej koncepcji życia dla każdego. Tu – jest to wyższość śląskiego „domu z ogródkiem i gołąbkami” nad bezduszną współczesnością bloku. *Na straży twej stać będę* to pełna młodych bohaterów opowieść o partyzanckim Śląsku. Tym z 1939 roku, który uformował się po wrześniowej klęsce – sensacyjna, twarda i ponura, szkoda, że nie trafiła w swój czas (1983)! *Zawrócony* (1995) – to trochę chaplinowska w formie, trochę nonszalancka w emocji, a trochę szydercza opowieść zderzająca Polskę i Śląsk przed samym wprowadzeniem stanu wojennego. I dopiero, gdy nadszedł ów niespodziewany finał śląskich filmów, czyli *Śmierć jak kromka chleba* (1994–95), trudno było nie wyczuć, że skończyły się opowieści, a zaczęła misja. Między historycznymi baśniami w *Soli* i *Perle* a *Śmiercią* mieści się cały świat oczekiwań filmowych.



Niezwykłość pomysłu na *Śmierć jak kromka chleba* objawiła się już na etapie projektów. Pamiętam, bo byłam jedynym dziennikarzem zaproszonym przez Kutz na spotkanie w Społecznym Komitecie Realizacji Filmu Fabularnego o Tragedii w Kopalni Wujek, czyli w instytucji założonej przez górników i ich rodziny po to, by powstał ten film. Było to w 1991 roku, a więc ponad 10 lat po tragedii. I widziałam, jak bohaterowie tamtych wydarzeń traktują Kutz: jak wybrańca, którego się dopuszcza do najbardziej tragicznych przeżyć, bo ma się do niego zaufanie, ale którego ma się też prawo skontrolować i od niego wymagać. I pamiętam moment, gdy uwolnił się od żądań górników, by, jak mówił, przefiltrować tę historię przez siebie. Chyba właśnie tamta chwila podsumowała specyfikę sztuki Kutz, która stała się systemem całościowego i uważnego postrzegania Śląska, jego historii i kultury.

*

Kutz zabłysnął wreszcie jako pisarz. Na dodatek taki, dla którego nie istnieją ograniczenia wiekowe, bo zadebiutował, by uczcić własną... osiemdziesiątkę powieścią *Piąta strona świata* napisaną gwarą śląską. Przyznawał się nieraz, że przyjaźniąc się z pisarzami, miał zawsze nutkę nadziei, że kiedyś też pisarzem zostanie. Podpatrywał ich twórczość, bardzo chciał zobaczyć, na czym to polega. Przyjaźnił się z Dygatem i z Konwickim. O cudownych rozmowach z Choromańskim i ze Słonim-

Mawiał, że obowiązkiem każdego człowieka jest dokonanie... arcydokonania. To jest ta doskonałość, którą się po sobie zostawia. Dla niego były to jego śląskie filmy.

skim też pamiętał. A także o innych ludziach literatury. Zawsze posługiwał się bujnym językiem – zatem mógł zostać także pisarzem.

Choć nie z pisarstwem łączył życiową maksymę! Mówił, że obowiązkiem każdego człowieka jest dokonanie... arcydokonania. To jest ta doskonałość, którą się buduje na swoją miarę, a potem się ją po sobie zostawia. Dla niego były nią śląskie filmy.

*

Ale i Kraków zawsze go kochał. Nie bez powodu choćby, gdy w Teatrze Groteska zaczęła się przed laty akcja spotkań pod nazwą Kod Mistrzów, pierwszym Mistrzem był właśnie Kutz. Dobrze, że zostawił tyle filmów, książek i wspomnień. Służyć nam będą do budzenia optymizmu.

Żegnaj, Kaziu!



Maria Malatyńska – miłośniczka kina, pasjonatka filmu, recenzentka kulturalna.



Zdjęcia: Jan Zych

Podobno globalne ocieplenie sprawi, że jeśli idzie luty, to już niekoniecznie podkuj buty. Ale popatrzeć na piękno zimowego Krakowa, zachowane na fotografiach, zawsze warto.



Koty i ludzie – zwierzenia przy mizianiu

Felicjana, swego kota, wysłuchała Katarzyna Siwiec Ilustracje: Daniel Mróz/za zgodą Łucji Mróz-Raynoch

Felicjan (dla przyjaciół Felek) rasy ragdoll: Chadzamy własnymi drogami, nie dajemy się skorumpować, żaden z nas nie będzie wam służył jak pies.



Katarzyna Siwiec: No i czemu znowu miauczysz?!

Felicjan: Tak ogólnie sobie miauczę.

Łazisz za mną, jakbyś czegoś chciał. Michę masz przecież pełną. Chcesz pogadać?

Kobieto! Co cię napadło! Jestem kotem, więc miauczę. To ty chcesz pogadać...

Skąd możesz wiedzieć?

Znam się na ludziach. Weź pod uwagę, że minęły cztery tysiące lat, odkąd kot oswoił człowieka. Toż to szmat czasu! Nie dziw się więc, że kiedy zbiera ci się na zwierzenia, doskonale to czuję. Pytaj, o co chcesz, bo zaraz włożę na parapet podrzemać.

Przecież dopiero stamtąd zląłeś. No to jak minął dzień?

Acha, czyli najpierw gadka szmatka. Znowu nie wiesz, od czego zacząć, tak? Lubię wylegiwać się na parapetach, bo albo grzeje kaloryferki z dołu, albo – już niedługo – marcowe słończko za oknem. W ogóle zresztą kocham się wylegiwać. No dobra, jest coś jeszcze. Otóż z parapetu mogę obserwować tę zgrabniutką szylkretkę, która wytrwale przychodzi do naszego ogrodu, żeby mnie podziwiać. A ty skup się wreszcie na sprawach naprawdę ważnych i zostaw te wszystkie bzdety. Nawiasem mówiąc, dla jakiej gazety ten wywiad? Bo musisz wiedzieć, że ja, tak jak wszystkie koty, politykę mam w nosie. To wasze zabawki, nie kocie. Od takich spraw matowiej mi futerko...

W porządku, w politykę nie wchodzimy. Niech zatem będzie o was i o nas; o naszych kocio-ludzkich relacjach. Rzeczywiście już tak długo jesteście skumpłowani?

O tak. Nigdy by do tego nie doszło (na cóż nam dwunożna istota pozbawiona nie tylko futra, ale i ogona), gdybyście nie zaczęli uprawiać zboża. (Ale ja opowiadam, a ty możesz mnie równocześnie miziać, OK? Mizianie odstresowuje).

No więc, gdzie zboże, tam mysz (biologiczna, rzecz jasna, nie komputerowa). I tak oto doszliśmy po nitce do kłębka, czyli do państwa faraonów, kiedy w okresie XII i XIII dynastii (2000 lat p.n.e.) okazało się, że możemy mieć wspólne interesy. Zastanawiał się, czyja to zasługa, że Biblia, wyliczając siedem plag egipskich, nie wspomina o ósmej – mysiej?

Przyznam się, że nie...

A widzisz. Natomiast, gdyby parę wieków później, w innej części świata niejaki Popiel okazał się bardziej gramotny, z pewnością nie doszłoby do pamiętnej tragedii nad jeziorem Gopło. Ale co ja gadam! Pardon, zagalopowałem się troszeczkę. Co prawda wkroczenie kota do Europy obwieścił Plutarch już w pierwszym wieku chrześcijaństwa, lecz jeszcze w XIV wieku kot w Europie był zwierzęciem niesłychanie rzadkim. Tamten nieszczęśliwiec znad Gopła mógł liczyć co najwyżej na pomoc łasicy. A, tak na marginesie, to my, koty nie odniosłyśmy specjalnych korzyści z wejścia do Europy...

Jak to nie?

Mam na myśli początek naszej ery, oczywiście. Bo już nigdy, przenigdy nie będzie jak w Bubastis!

Gdzie?

W Bubastis, jednej z dawnych egipskich stolic. To były czasy! Kot był zwierzęciem świętym, co najmniej jak krowa albo mała w Indiach. Za jego zabicie groziła nawet kara śmierci. Zastąpił swoją kuzynkę lwicę, w dawnym Egipcie poświęconą najweselszemu z bóstw – boginii Bastet, patronce radości, zabawy i pociągu seksualnego. (Przypuszczam, że jej partner lew – wart upamiętnienia w księdze Guinnessa jeśli chodzi o możliwości seksualne

Kot to zdrowie. Komfort psychiczny. Lepsze nastawienie do siebie i innych. Chwila refleksji, powrót do równowagi w coraz bardziej zwariowanym życiu. Jest nośnikiem pozytywnej energii. Obniża ciśnienie, łagodzi ból, wspiera następców doktora Freuda w leczeniu nerwic, lęków, psychoz i dewiacji.

– zmarnował swoją życiową szansę, pożarłszy paru tłuściejszych kapłanów w którejś z egipskich świątyń). Koci kult przebiegle wykorzystywali Persowie, którzy podczas wojen z Egiptem zamiast tarcz nieśli koty. Egipcjanie, nie mogąc nas zabijać, przegrywali. Wyobraź sobie, że poddani faraonów nas balsamowali, podobnie jak balsamowali swoich władców i wiele innych zwierząt, pragnąc zapewnić sobie ich towarzystwo w życiu wiecznym. Kiedy jednak w XIX wieku brytyjscy archeolodzy załadowali na płynący do Wielkiej Brytanii statek dwadzieścia tysięcy kocich mumii znalezionych w Bubastis, a po dotarciu do celu wyrzucili je na śmietnik, dlaczego my, koty nie potraktowałyśmy tego jak ostrzeżenie???

Tak mi przykro, naprawdę. Ale uspokój się, proszę, to stara historia. I tak zawsze spadacie na cztery łapy.

Bzdura. Nie jest prawdą, jakoby za każdym razem lądowanie odbywało się w wyżej opisany sposób. Teorię tę podważył wybitny znawca kotów Alfred Brehm. Ja, kiedy spadam z kaloryfera, jeszcze drzemię, a budzę się dopiero pod wpływem zetknięcia z podłogą. Ale wróćmy do tematu.

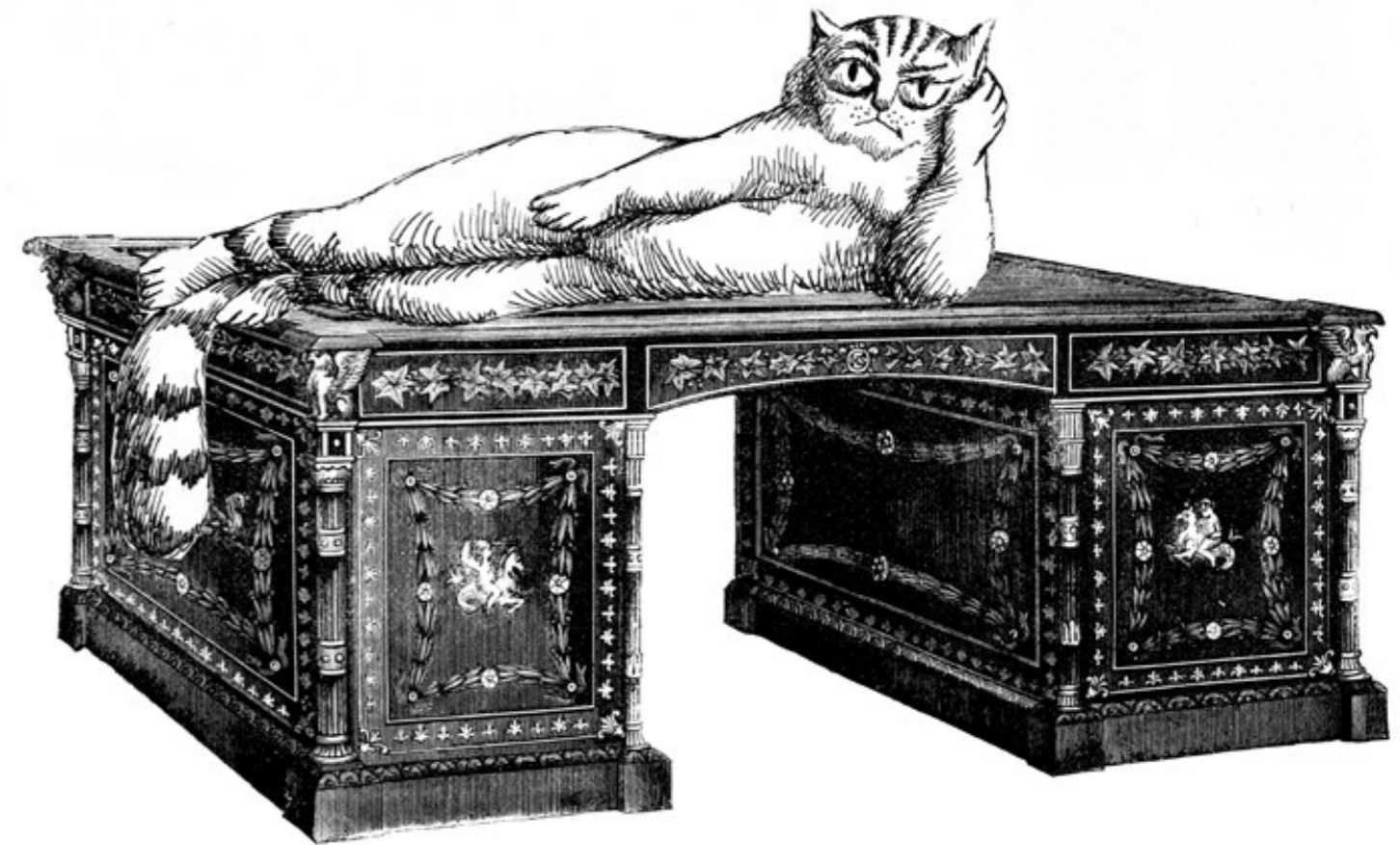
Co potem spotkało was w Europie?

Miałyśmy swoje pięć minut w okresie renesansu, kiedy to zrobiłyśmy błyskawiczną karierę jako niebanalny prezent dla ważnych osobistości, dam czyjegoś serca na dworach i zamkach. Jednak nasza godna pozazdroszczenia wola życia, czyli fenomenalna zdolność i gorliwość w podtrzymywaniu swego niezastąpionego gatunku, szybko stała się przyczyną naszej zguby. Było nas po prostu za dużo. Na domiar złego czarnych przedstawicieli naszego rodu posądzano o związki z magią, więc zaczęli trafiać na stos. To pewnie odwet za brak uległości, za to, że chadzamy własnymi drogami, że nie dajemy się skorumpować, że żaden z nas nie będzie wam służył jak pies.

A tak w ogóle, to nie podoba mi się twoje sformułowanie, że jesteście skumpłowani. Otóż waszą słabnącą energią witalną śledzimy, co prawda, od tysiącleci, ale zapamiętaj sobie: nie jesteście skumpłowani. Wy nas potrzebujecie o wiele bardziej niż my was.

Hola! Nie zagalopowałeś się troszeczkę?

Bynajmniej. Mnóstwo nam zawdzięczacie. Nie tylko idzie o myszy, których jeden utra-



lentowany koci łowca może upolować w ciągu roku nawet i ze trzy tysiące! Nie chodzi też o szczury, dla których obecność kota to tak ogromny dyskomfort psychiczny, że kiedy tylko wyczują naszą obecność, wynoszą się, gdzie pieprz rośnie. Przez wrodzoną skromność pominię też setki historyjek, jak to kot przeciągając kabel przez wąską rurę, pomógł ludziom w budowie pierwszej tamy, albo jak sławna kotka Pussy w angielskim Lancaster uratowała życie sześciolletniemu chłopcu podczas pożaru, inna zaś bohaterska kotka, Minka z Austrii, z taką determinacją wgrzała się w kark ogromnego, rozwścieżonego psa, że puścił swą ofiarę – trzyletnią dziewczynkę. Podczas jednej z waszych licznych wojen trafił się nawet kot-przepowiadacz nalołów lotniczych. Oczywiście reagował tylko na samoloty wrogie niezwyciężonej amerykańskiej armii. To wszystko fakty. Ale prawda o nas i o was jest jeszcze inna.

No właśnie. Przejdźmy zatem do meritum. Powiem tak: jest źle. Świat schodzi na psy, psieje w tempie zastraszającym. Jak się nie opamiętacie, spsieje do końca. Dawno już, najwyraźniej z powodu braku ogona, utraciliście w życiu sterowność.

Może nie jest aż tak źle. Podobno spadła liczba notorycznych dręczycieli.

Świat podzielił się na pół; połowa jest z nami, połowa przeciwko nam. Ale nie to miałem na myśli. Ludzie! Nauczcie się nas obserwować, a będziecie ciut szczęśliwsi! Wysyła-

My, koty, znane jesteśmy w świecie zwierząt z tego, że wyjątkowo lubimy seks i swej aktywności na tym polu nie zawężamy do marca ani nawet do wiosny, a już na pewno nie do weekendów.

my wam konkretne sygnały, a wy nic. Jeśli na przykład drzemię sobie spokojnie na parapecie i grzeję łapy w marcowym słończku, to nie tylko po to, by oddawać się błogiemu *far niente*. Ja w ten sposób komunikuję całym sobą, że nie akceptuję waszego, jak to mówicie, wiecznego zabiegania, pracoholizmu i obrzydliwego, mysiego pisku waszych komórek, laptopów, smartfonów i Bóg wie, jakie zabawki tam jeszcze macie. Nienawidzę, jak się spieszysz, pakujesz, wyjeżdżasz, hałasujesz albo gadasz przez kilka telefonów naraz. Spójrz na mnie.

Kot to zdrowie. Komfort psychiczny. Lepsze nastawienie do siebie i innych. Chwila refleksji, powrót do równowagi w coraz bardziej zwariowanym życiu. Jesteśmy nośnikami pozytywnej energii. Obniżamy ciśnienie, łagodnimy ból, wspieramy następców doktora Freuda w leczeniu nerwic, lęków, psychoz i rozlicznych waszych dewiacji. Zdarza się, choćby w Japonii, że odpowiednik poczciwego Mruczka ma w szpitalu cały etat. Jakież piękno, grację i dostojeństwo oferujemy wam za półdarmo!



Swoją drogą, trudno zrozumieć takiego Leonarda; niby geniusz, a na nas się nie poznał i kazał damie trzymać tego drania gronostaja. **Inni za to się poznali.** Kochali nas między innymi Francesco Petrarca, Dante Alighieri, prorok Mahomet (to on, według legendy, obdarzył nas umiejętnością spadania na cztery łapy), Ernest Hemingway, Emil Zola, Maria Skłodowska-Curie, Konrad Swinarski, Antoni Kępiński, Daniel Mróz. Ten, któremu marzy się władza z domieszką totalitarnego smrodku, niech nie liczy na nasze względy. Nienawidzili nas Dżyngis Chan, Napoleon, Juliusz Cezar, Mussolini i Hitler. Kiedy zawieracie z kimś nową znajomość, pytajcie, czy ma kota. Oczywiście naturalnego, zewnętrznego (*felis catus*), a nie jakiegoś tam wewnętrzne *fixum dyrdum*.

Felku, co miałeś na myśli, mówiąc o naszej słabnącej energii witalnej? Co jeszcze z nami jest nie tak?

Nie udawaj, że nie kumas, o co chodzi. My, koty, znane jesteśmy w świecie zwierząt z tego, że wyjątkowo lubimy seks i swej aktywności na tym polu nie zawężamy do marca ani nawet do wiosny, a już na pewno nie do weekendów. W tym kontekście nie rozumiem, skąd się wzięło powiedzenie, że koty marczą. W przeciwieństwie do was, ludzi, nam się po prostu o wiele częściej chce i to nie my pytamy w aptekach o viagrę. Naprawdę, żal mi was i tego waszego świata, który schodzi wiadomo na co...

Aha, jeszcze w kwestii uczuć. Przez cztery tysiące lat byliśmy sobie potrzebni, to fakt. Prawdą jest też, że do tego naszego związku

wnosimy dużo więcej, niż otrzymujemy. Ale czy was kochamy? A czy wy się kochać dajecie? Nie łudźcie się, że jak przychodzimy się połasić, to kieruje nami coś więcej niż chwilowy pęd do przyjemności. W końcu po to też się żyje, o czym jako pracoholicy zapominacie. Zależę cię tym, co teraz powiem, ale równie dobrze mogę się łąsić o pantofla albo nogę stołu. Chciałbym ci jeszcze opowiedzieć fajną kocią przypowieść na zakończenie. Taką dyżurną, dla prasy. Dzięki niej zrozumiesz, czym różni się kot od psa. Chcesz?

Pewnie!

Pies o człowieku myśli tak: „Karmi mnie, dba o mnie, zaspokaja wszystkie moje potrzeby, niczego mi przy nim nie brakuje. Musi być bogiem”. A kot myśli tak: „Karmi mnie, dba o mnie, zaspokaja wszystkie moje potrzeby,

niczego mi przy nim nie brakuje. Czyli muszę być...”

... bogiem?

To ty powiedziałaś! Ha, ha!

Wiesz co? Wskakuj już lepiej na ten swój parapet.

Ilustracje Daniela Mroza z tomiku Jerzego Harasymowicza *Kocia muzyka* (1959) oraz cykli *Kot w każdym przypadku* (1966) i *Kocur - collage*.



Katarzyna Siwiec – autorka i współautorka książek o Krakowie (m.in. *Idze, idze, bajoku... rzecz o krakowskim Zwierzynicy*). Na zdjęciu z asystentem.

Podróże z moją kotką

Tekst: Aleksandra Ziółkowska-Boehm

Mając w dzieciństwie psy, patrzyłam na koty życzliwie, ale trochę z góry. Czekoladowo-złota kotka Suzy weszła w życie moje i mojego męża trochę nieoczekiwanie, podczas naszego pobytu na kontrakcie w Houston w Teksasie.

Suzy, takie imię jej nadał mój mąż Norman, okazała się inteligentna, pojętna, sprytna i przymilna. Oczekiwała i wymagała uczuć, które też całym sercem nam oddawała.

W domu lubiła być w pobliżu, podążała za nami po pokojach jak piesek, oczekując wieczorami codziennych spacerów, w czasie których biegła obok. Rozumiała wiele słów, choćby walk (spacer). Gdy je usłyszała, biegła do drzwi i czekała, aby o niej nie zapomnieć. Wiele razy jeździła z nami także samolotami do Polski. Miała bilet, siedziała w torbie, od czasu do czasu wystawiała pyszczek, by popatrzyć na ludzi. Spokojnie znosiła kilkanaście godzin niewygód.

Zaskoczona tymi jakby niekocimi, a bardziej psimi reakcjami Suzy, opowiadałam o niej znajomym, aż postanowiłam napisać książkę. Pomysł powstał w szczególnym momencie. Długi czas współpracowałam z Jerzym Giedroyciem przy tomie z cyklu Archiwum „Kultury”: *Korespondencja Jerzy Giedroyc – Melchior Wańkowicz*. Opracowanie listów, przypisy, ustalenia, które konsultowałam z Redaktorem, dotyczyły nieraz trudnych tematów, okresu tuż po wojnie, losów emigracji politycznej. Konflikty, nieporozumienia, wyroki wydawane na kolegów, ostracyzm, wielka i mała polityka... Mając dostęp do archiwum Wańkowicza, bo jest ono zapisem testamentowym pisarza w moim posiadaniu, znając więc pewne sprawy od jego strony, musiałam niejako walczyć o – ogólnie mówiąc – dobre imię autora *Na tropach Smętka*.

Po takiej pracy dokumentalisty chciałam mieć przerwę i... napisałam książkę. (Skądinąd Jerzy Giedroyc lubił zwierzęta i od czasu do czasu pytał mnie: „Jak pani koteczka...?”). Nazwałam książkę *Podróże z moją kotką*, w tytule nawiązałam do pięknej książki Grahama Greene’a. Suzy pokazała mi nie tylko inny świat i otworzyła na inną rzeczywistość, ale też uwrażliwiła na sprawy zwierząt i natury.

Recenzent w „Nowych Książkach” napisał, że jest to książka o... samotności Ameryki. Brzmi interesująco, ale nie wiem do końca, co to znaczy.

Dwa rozdziały są pióra mojego syna Thomasa Tomczyka – na temat amerykańskiej „farmy dla kotów” i zwierząt w Indiach. Zacytowany jest Mahatma Gandhi, że wielkość narodu i jego postęp moralny może być oceniany według sposobu, norm, w jaki traktuje zwierzęta.

Są także krakowskie wątki. W książce zacytowałam (za zgodą Autorki) piękny wiersz Wisławy Szymborskiej *Kot w pustym mieszkaniu*. A także urocze

wiersze Franciszka Klimka. Ładne spotkanie z książką urządziła mi wielka miłośniczka kotów Renata Fiałkowska, współzałożycielka (z prof. Anną Czapik) Klubu Przyjaciół Kota Filemona.

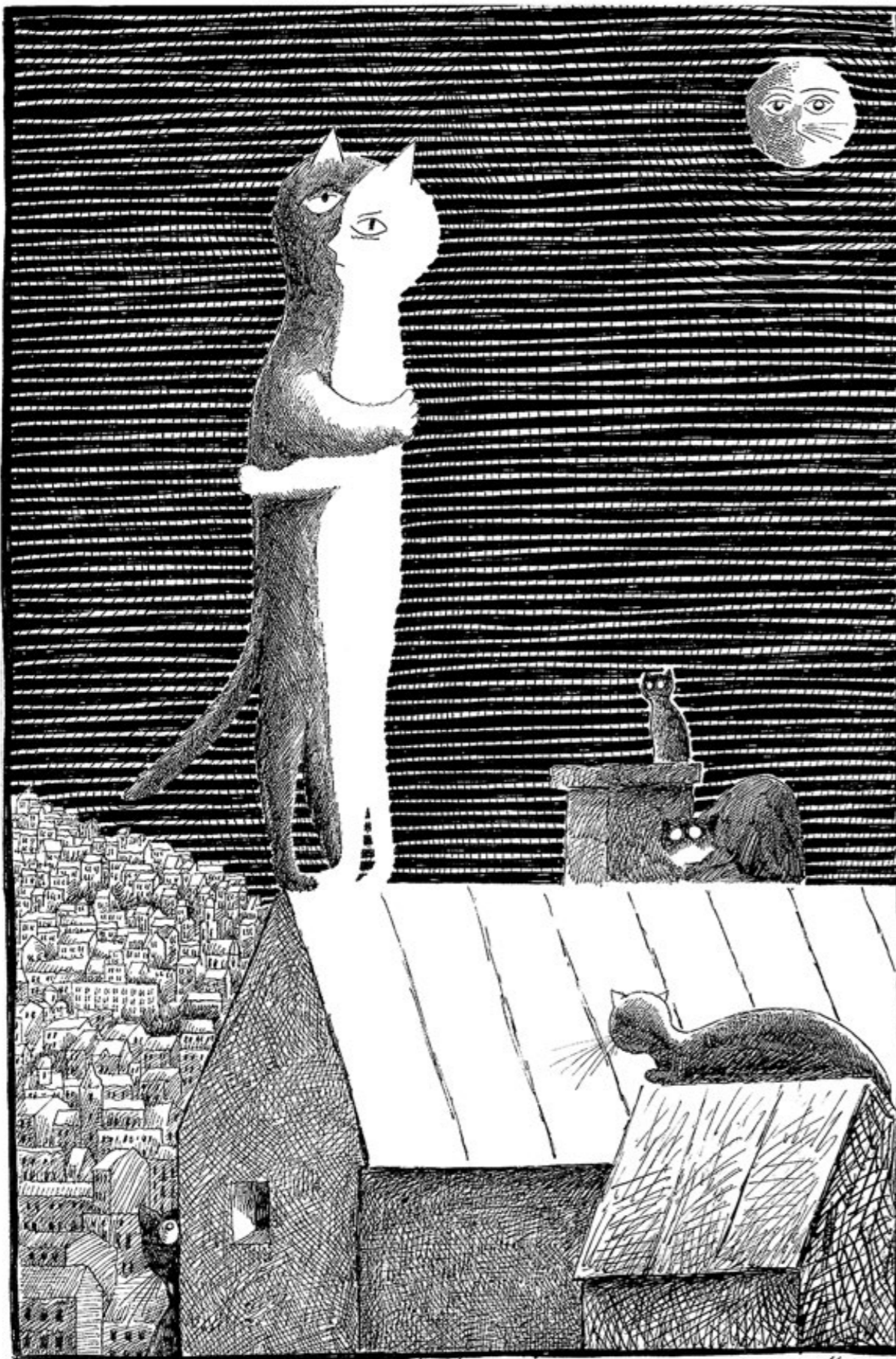
Podróże z moją kotką miały dwa polskie wydania. Ukazały się również w Ameryce pod tytułem *On the Road with Suzy. From Cat to Companion*. Prze czytałam piękną opowieść o nawiązanej bliskości niewidomego z psem i napisałam maila do wydawcy – Purdue University Press (West Lafayette, In-

Mahatma Gandhi powtarzał, że wielkość narodu i jego postęp moralny może być oceniany według sposobu, norm, w jaki traktuje zwierzęta.

diana), że mam podobną... o bliskości z kotem. Dostałam odpowiedź, aby przysłać fragment, potem mail, by przysłać więcej i niebawem zaproponowano mi podpisanie umowy. Ucieszyło mnie, że książkę opublikował nie wydawca, który „kocha koty”, tylko oficyna uniwersytecka, która drukuje piękne tytuły. Amerykańskie wydanie ukazało się w 2010 roku i wciąż ma dodruki. Niemałą radość sprawia mi, że książka miewa się dobrze... Kotom tego nie mówię. Kotom. Tak, bo mam już dwa koty.



Aleksandra Ziółkowska – pisarka od 1990 roku mieszkająca w USA. W latach 1972-1974 asystentka i sekretarka Melchiora Wańkowicza; pisarz zadedykował jej *Karfkę LaFontaine'a* i zapisał opiekę nad swoim archiwum. Laureatka wielu nagród – m.in. Miesięcznika Reporterów „Kontrasty”, „Złotego Exlibrisu” Książnicy Pomorskiej, The Delaware Division of the Arts Award in the Literature-Creative Nonfiction Discipline, Fulbright Award. Członkini m.in. Stowarzyszenia Pisarzy Polskich, Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie w Londynie, Fundacji Kościuszkowskiej w Nowym Jorku, Amerykańskiego Pen Clubu w Nowym Jorku, Fulbright Association. Jej książka *Podróże z moją kotką* była jednym z bestsellerów 2002 roku; *Kaja od Radosława*, czyli *historia Hubalowego krzyża* dostała nagrodę Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie (Londyn 2007), a *Otwarta rana Ameryki* była nominowana do nagrody Angelus (2008).



Daniel Mróz
Dachowce z serii rysunków *Kocie sprawy*, 1959



Kobieta, fot. Jan Zych (element wystawy)

Siła fotografii w NCK

Tekst: Witold Beres

Światowy, kulturowy megahit: World Press Photo w lutym w Nowohuckim Centrum Kultury! Ale poszerzony o wystawy krakowskich fotosistów. A wszystko zaprawione sporą szczyptą pasji i emocji organizatorów.

World Press Photo to marka sama w sobie – niezależna fundacja z siedzibą w Amsterdamie, od roku 1955 organizująca coroczny konkurs fotografii prasowej, który z czasem urósł do jednego z najbardziej prestiżowych, a pokonkursowe wystawy rokrocznie oglądają miliony na całym świecie.

I teraz te najlepsze fotografie będą pokazywane w Krakowie, w Nowohuckim Centrum Kultury. A całość poszerzona jest o hasło „Siła fotografii”, w ramach którego zobaczymy również sześć wystaw dodatkowych.

Są fascynujące prace portrecistki Danuty Węgiel (stała współpracowniczką „Krakowa” – gratulujemy!) *Stopklatka obecności*. Są wystawy uznanych obserwatorów codzienności krakowsko-nowohuckiej – urzekająca prostotą nowohuckiego krajobrazu wystawa Adama Gryczyńskiego – *Okolice Nowej Huty*. I autorska wystawa *Fotograf z Pleszowa* nestora krakowskiej fotografii – Władysława Rospondka.

Są wreszcie sławne fotosy *Fantazje krakowskie* Ryszarda Horowitza, ukazujące krakowskie Stare Miasto inaczej (były prezentowane dotychczas tylko raz w ramach konferencji „Open Eyes” w listopadzie 2018 roku w ICE).

Jest wreszcie wystawa *Kobieta*: cykl fotografii Krakowskiego Klubu Fotograficznego. Monika Stachnik-Czapla, prezes tegoż klubu i kuratorka wystawy, zauważa za Bonapartem: „Piękna kobieta podoba się oczom, dobra kobieta – sercu. Pierwsza jest klejnotem, druga – skarbem”. Jakkolwiek położyć akcenty (bo czasami klejnot też się przyda), to fotografie m.in. Jana Zycha (patrz obok), Małgosi Radziejowskiej czy Pawła Barkota urzekają zróżnicowanymi próbami okazania kobiecości.

Sam KKF powstał w Nowej Hucie wraz z jej powstaniem w 1955 roku i działa do dzisiaj, a wielką popularnością cieszą się jego comiesięczne konkursy na najlepsze zdjęcie miesiąca.

*

Kiedy Zbigniew Grzyb obejmował ponad pięć lat temu NCK, przepowiadano mu tutaj góra kilkumiesięczny pobyt – tyle średnio pracowa-

wali tu jego poprzednicy. A jednak NCK (i jego zespół!) odniósł bezprzykładny sukces na mapie krakowskiej kultury.

Nie tylko zwiększono przychody instytucji ze stałej kwoty nieco ponad dwóch milionów aż do milionów pięciu, nie tylko odremontowano budynek (patrz: fenomenalna sala teatralna), ale i stworzono miejsce magiczne. Festiwal tańca współczesnego i aktywność Art Color Ballet. Stała wystawa obrazów Beksińskiego powinna stać się punktem *must-see* we wszystkich przewodnikach po kulturalnym Krakowie – takiej aranżacji wnętrza poprzez ekspozycję światłem nie zobaczycie nigdzie indziej! I nic dziwnego, że przez pierwsze miesiące przez całą długość budynku NCK non stop stała kolejka chętnych. Półtorej godziny trzeba było odczekać, aby wejść do galerii...

Grzyb nie jest krakusem, pochodzi z Buska Zdroju, ale jego krakowska marka to profesor Jerzy Hausner, którego jest uczniem (ukończył kierunek gospodarki i administracji publicznej). A hasło profesora „Przestrzeń dla sztuki” jest największą inspiracją w pracach dzisiejszego NCK.

Dyrektor ma jeszcze jedną swoją pozytywną szajbę – piosenki Kaczmarek. Na początku kwietnia, w okolicy rocznicy śmierci pieśniarza wspólnie z przyjaciółmi robi nieformalną imprezę *Wódeczka z Kaczmarem* – gra, amatorsko, na gitarze, a dodatkowo zawsze doprasza zawodowych muzyków.

A co z odwiecznym podziałem Kraków – Nowa Huta? Zbigniew Grzyb nie ma wątpliwości:

– NCK nazywa się oczywiście Nowohuckie Centrum Kultury i te pierwiastki nowohuckie tutaj mamy i chcemy mieć. Ale Huta zawsze jest i będzie elementem większej całości.

Nowa Huta to po prostu Kraków.



Witold Beres – producent filmowy, scena-rzysta, publicysta, pisarz. Redaktor naczelny miesięcznika „Kraków”.



Jerzy Turowicz



Andrzej Stasiuk

Danuta Węgiel i Stopklatka obecności

Francuz Henri Cartier Bresson, niezjący już, jeden z najwybitniejszych fotografów, ojciec fotografii reportażowej, pouczał: „Najtrudniejszą rzeczą w fotografii jest portret. Musisz wejść z aparatem między skórę a koszulę fotografowanej osoby”.

Dana Węgiel tak właśnie czyni. Jak to możliwe, skoro wydaje się, że rolą fotografa jest tylko naciśnięcie spustu migawki? Dlaczego trafia, skoro nie pozuje swych bohaterów, nie ustawia i nie każe odgrywać scenek parateatralnych? Wreszcie: jak to się dzieje, skoro przy tym nigdy nie fotografuje wbrew woli portretowanych, nie kradnąc im czasu i chwili zapomnienia?

A przecież zdjęcie wielkiego intelektualisty wolności, twórcy „Tygodnika Powszechnego” – Jerzego Turowicza, odwróconego i pracującego spokojnie przy biurku, czy młodego (a już wtedy obiecującego pisarza) Andrzeja Stasiuka, siedzącego gdzieś radośnie pod drzewem, są najbardziej prawdziwymi z prawdziwych portretów tych ludzi. Mało tego – wykraczają poza prawdziwość portre-

tu, dodając im również nieco metafizycznej prawdy, jaką mogą dostrzec tylko wnikliwi obserwatorzy czy bliscy przyjaciele. A tu, patrzcie, macie wszyscy przed sobą dystans Jerzego Turowicza do pośpiechu świata tego!

Sama Węgiel tak się mówi o swym fotografowaniu: – Szybko odkryłam, że portretowanie jest dla mnie atrakcyjne zarówno przez osobisty kontakt z portretowanymi, niekiedy tak fascynującymi postaciami, jak też przez towarzyszący fotografowaniu dreszcz emocji. Ciekawość ludzi zagłuszała lęk, że nie podołam zadaniu. Ważna stawała się chwila samego portretowania i temperatura spotkania. Wiedziałam, że w portrecie chodzi o coś więcej, coś poza odwzorowaniem wizerunku lub stanu emocjonalnego. Próbowałam to „coś” znaleźć przy każdym spotkaniu, ale

naturalnie z różnym rezultatem. Nieśpieszne spotkania z portretowanymi pociągały mnie coraz bardziej, i tak sesje stały się głównym nurtem mojej pracy.

Nie stronię od koloru w fotografii, ale lubię korzystać z przestrzeni estetycznej, którą tworzy czarno-biały obraz, wydobywający kształty i światło, wyciszający tło. Myślę, że niektóre portrety potrzebują monochromatyczności, by lepiej przekazać emocjonalność i intensywność osoby portretowanej.

Maja Herzog napisała kiedyś o jej zdjęciach: „Dyskretna intymność jej czarno-białych kadrów sprawia, że przez moment możemy niemal dotknąć ulotności życia i sekretu poezji, zadumać się na chwilę, ale i serdecznie uśmiechnąć. Najwyraźniej poczucie humoru artystki udziela się bohaterom jej fotografii: Marcinowi Świetlickiemu, Janowi Peszkowi czy Leszkowi Sobockiemu. Zgodnie zdają się mówić: traktujmy rzeczywistość z niezbędnym do życia przymrużeniem oka”.

Tak! To prawda. Ale rzecz nie tylko w owym uchwyceniu mijającego czasu. I nawet nie w tym, że Węgiel chwytta mijający czas z uśmiechem, żartobliwie, z poczuciem humoru, a jej bohaterowie są radośni, pogodni. Najważniejsze jest coś innego – my, odbiorcy, oglądacze – też stajemy się pogodni, patrząc na jej prace.



Danuta Węgiel – autoportret

*
Danuta Węgiel – ur. w 1961 roku w Elblągu, absolwentka religioznawstwa Uniwersytetu Jagiellońskiego. Jest członkiem Związku Polskich Artystów Fotografików, Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich i absolwentką religioznawstwa UJ. W 1993 roku rozpoczęła współpracę z „Tygodnikiem Powszechnym” i od tego czasu portretuje ludzi kultury i nauki, co owocuje licznymi publikacjami w prasie, na okładkach książek oraz plakatach. Wykłada w Instytucie Dziennikarstwa Uniwersytetu Papieskiego Jana Pawła II w Krakowie. (wb)



Fot. Władysław Rospondek

Portreciści Nowej Huty

Jak pokazać odchodzące miasto? To dzieło Władysława Rospondek, fotografa z Pleszowa, oraz Adama Gryczyńskiego, podglądacza okolic.

Pleszów wchodzi dziś w skład Nowej Huty, ale to jedna z najstarszych podkrakowskich wsi – wzmiankę o niej odnaleziono w dokumencie z początków XIV wieku. Musiało tu się jednak dziać bogato i dużo o wiele wcześniej, bo w roku 1961 odkryto na terenie Pleszowa bogaty srebrny skarb – monety z X i XI wieku! W 1949 roku na terenach Pleszowa rozpoczęto wznoszenie kombinatu Huty im. Lenina, a w zachodniej części wzniesiono osiedle baraków (tzw. Meksyk), przeznaczone dla zatrudnionych przy budowie robotników.

Pleszów tamten i ten dzisiejszy (bo tu i ówdzie zachowały się jeszcze stare miejsca) dokumentuje Władysław Rospondek (rocznik 1930), jeden z nestorów polskiej fotografii, artysta wielokrotnie nagradzany, uhonorowany tytułem Artiste FIAP (AFIAP).

Mieszka w Krakowie i fotografuje od 1950 roku, a ponieważ związany jest z Pleszowem, więc to miejsce jest dla niego szczególnie ważne i to ono prezentowane jest na wystawie *Siła fotografii*.

Z kolei Adam Gryczyński (rocznik 1957) za cel wziął okolice Nowej Huty. Wystawa *Okolice Nowej Huty* doskonale oddaje największą pasję Gryczyńskiego – utwalenie pejzażu, który zanika. To piękne obrazy, przypominające stylistyką klasyczne fotografie Kieleckiej Szkoły Krajobrazu – i nie dziwota, bo z jednym z jej twórców, Pawłem Pierścińskim (1938–2017), Gryczyński się przyjaźnił. Sam tak opowiada o swej nowohuckiej miłości:

– Kiedy spoglądam przez moje nowohuckie okno, widzę na pierwszym planie drogę



Fot. Adam Gryczyński



Fot. Adam Gryczyński

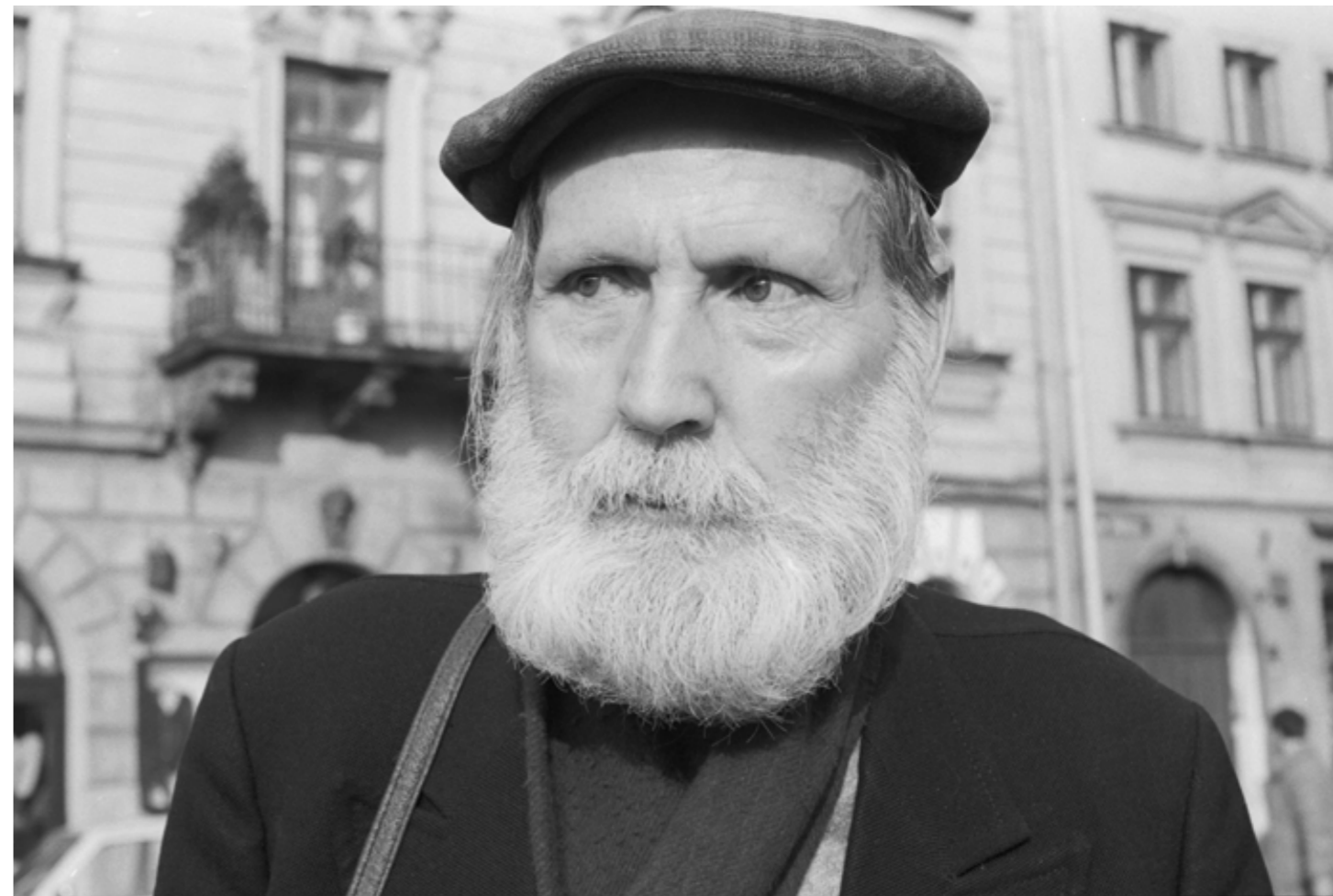
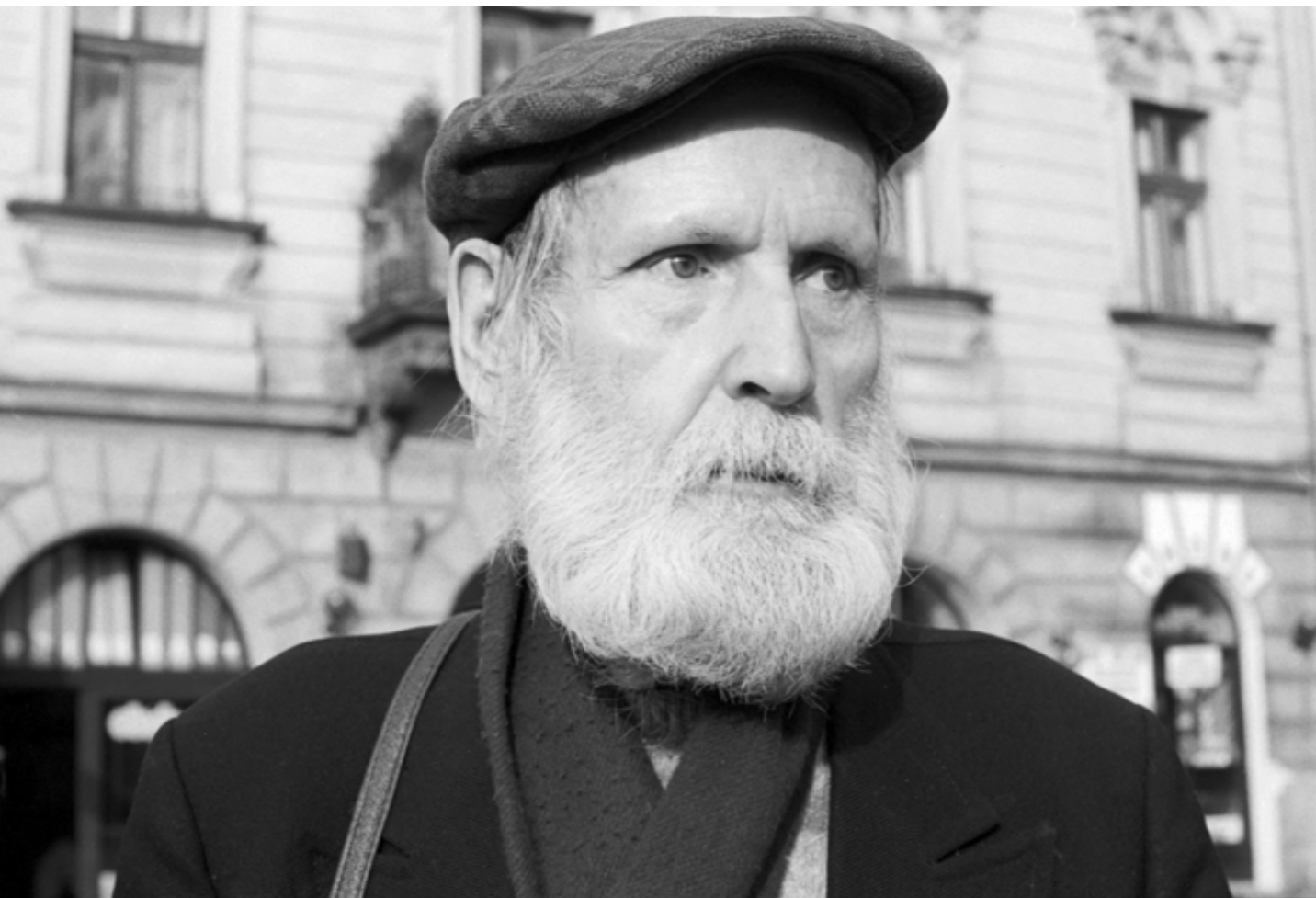
osiedlową, potem ogródki działkowe, a tuż za nimi nasyp kolejowy, gdzie dość rzadko i leniwie toczą się pociągi towarowe. Od północnej strony wyłaniają się malowniczo położone pośród drzew Raciborowice z kościołem parafialnym z XV wieku, wybudowanym przez Jana Długosza. Potem są tereny zielone należące do Prus, Grębałowa i Wzgórz Krzesławickich, a na ich horyzoncie przy dobrej przejrzystości powietrza pojawia się z roku na rok coraz gęstsza zabudowa. Jesienią pola i łąki położone w dolinie rzeki Dłubni często skryte są w grubej porannej mgle, co w pa-

dających ukośnie promieniach słońca pięknie wydobywa wieloplanowość, wywołując przy tym specyficzny nastrój.

Portret ziemi, który sporządziłem, jest próbą uchwycenia jej zanikającego uroku. Jest moją odpowiedzią na gwałtowne przeobrażenia, jakie tutaj zachodzą i dalej będą postępowały, kształtując lub raczej deformując jej oblicze. Im dłużej przyglądam się okolicznym krajobrazom, tym większy odczuwam niepokój.

Dawniej istniał tu przecież zupełnie inny świat, mocno różniący się od tego, który znamy. (wb)

Na sąsiedniej stronie – zdjęcie autorstwa Władysława Rospondek; Powyżej – dwa fotografie Adama Gryczyńskiego z wystawy *Okolice Nowej Huty*/materiały za wiedzą i zgodą Nowohuckiego Centrum Kultury.



Kreska-groteska: Daniel Mróz (1917–1993)

Tekst: Jakub Wydrzyński Zdjęcia: Jan Zych

Jego rysunki zapadają w pamięć. Daniel Mróz stworzył unikatowy styl w dziedzinie ilustracji, towarzyszący słowu i jednocześnie komunikujący intrygującym znakiem graficznym.

Gdyby żył, miałby 102 lata. W tym roku mija 26 lat od jego śmierci.

Fach poznał już w dzieciństwie, przyglądając się pracy ojca, redaktora przedwojennego tygodnika „Na szerokim świecie” (pisma „Ilustrowanego Kuriera Codziennego”). Stanisław Mróz, spędzający tygodnie w redakcji, w weekendy zabierał do pracy także synów. Tam przyszły rysownik miał po raz pierwszy zobaczyć reprodukcje niemieckiego artysty Maxa Ernsta, którego kolaże widocznie zainspirowały autora ilustracji pierwszego wydania *Cyberiady* Lema. Hybrydy, postaci zrosnięte z maszynami, roślinami, zwierzętami, stały się znakiem szczególnym twórczości rysownika.

Bez Daniela Mroza polska kultura wizualna drugiej połowy XX wieku byłaby mniej finezyjna i mniej bujająca „w oparach absurdu”.

Rodziców stracił w wojennej pożodze. Dorosłość zaczynał w komunistycznej Polsce. Na Akademii Sztuk Pięknych poznał ledwie kilka lat starszego Mariana Eile, który prosto z uczelni zaciągnął go do redakcji „Przekroju”. Humor graficzny w stylu pure-nonsensu rozwijał w sierpniowej PRL na łamach wyso-

konakładowej prasy. Kreską lekką, lecz precyzyjną przywoził na myśl zarówno surrealistów, jak i twórczość Edwarda Goreya. Jerzy Kwiatkowski w monografii poświęconej artyście stwierdził, że Mróz fałszował Kerna, tak jak Grandville fałszował Lafontaine’a. Miałoby to polegać na pogłębianiu, komplikowaniu i wzbogacaniu tekstu literackiego.

„Twórczość Mroza ma wyraźną genealogię sztuki wyobraźni. Twórczości groteskowej – poczynając co najmniej od jej średnio-wiecznych realizacji, a także spokrewnionej z nią przecież sztuki surrealistycznej. (...) Jest i druga linia tradycji. To linia XIX-wiecznej ilustracji. Odwołuje się przy tym jakby do na pół zapomnianych wyobrażeń, do pewnej koturnowości, z której wysnuwa swoją groteskę, swoje zaskoczenie, swoją poetyckość” – pisał w „Dzienniku Polskim” Maciej Gutowski, relacjonując wystawę Mroza w Krzysztoforach w 1966 roku.

Twórca ikonicznych ilustracji był jedną z legendarnych postaci powojennego Krakowa. Bez niego polska kultura wizualna drugiej połowy XX wieku byłaby mniej finezyjna i mniej bujająca „w oparach absurdu”.

Jego legendę podtrzymują tysiące fanów na całym świecie oraz córka – Łucja Mróz-

-Raynoch, niestrudzona propagatorka twórczości ojca, dzięki życzliwości której korzystamy w miesięczniku z reprodukcji jego dzieł.

Daniel Mróz (1917–1993) – grafik, scenograf i rysownik, członek Grupy Krakowskiej. W 1946 rozpoczął studia na Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie. Dyplom na Studium Scenografii otrzymał w 1952; na Wydziale Grafiki – w 1953. Od lipca 1951 do 1978 roku był stałym ilustratorem i projektantem tygodnika „Przekrój”. Ponadto zajmował się grafiką książki, scenografią teatralną, plakatem. Wykonał ilustracje do dzieł Stanisława Lema, Franza Kafki, Sławomira Mrożka, Juliusza Verne’a. Tworzył głównie techniką rysunku piórkiem i tuszem oraz collage’u.



Jakub Wydrzyński – człowiek wielu zawodów i pasji, kulturoznawca, wieczny doktorant, naturalizowany krakowianin, właściciel psa kawiar-nianego Stolika.

Oświadczenie Daniela Mroza z 20 października 1985 roku o wszystkim, co wywarło na nim prawdziwe wrażenie od 3 lutego 1917 roku do dziś*

Aida, Amicis (*Serce*), Amundsen, Arcimboldi, Austin-Seven (1929), Austro-Daimler (ADM), Autożyro, Bacon, Bach Jan Sebastian, Bajon Filip, balony kuliste – sztywne i wszelkiego rodzaju, Bentley (130 KM, 1929), Bielany w Krakowie, Blériot, Bombois, BMW (*motocykl, cylindry leżące, 750 ccm, napęd kardanowy, 1928*), Bosch Hieronimus, Böcklin, Boy-Żeleński Tadeusz, Brigitte Bardot, Brecht Bertolt, Brueghel, Bugatti (2000 ccm, 1924) i Bugatti-Royal (8-cylindrowy, 12 700 ccm, 302 KM, 7 m dł., 1932), Bułanow Jerzy (*obrońca warszawskiej „Polonii” i reprezentant polski*), Bułhakow Michaił, Buster Keaton, Callot, Camus, Caproni (*samolot o 6 skrzydłach*), Carra, Caspar David Friedrich, Cezanne, Chagall, Chardin, Chełmoński, Chirico, Citroën (1924, 5 CV), Conrad Korzeniowski, Cord (4900 ccm, 1931), Corot Camille, Cooper Gary, Crusoe Robinson, „Cud w Mediolanie”, Cyrano de Bergerac, Daimler (*ang.*, 1930), Dautier, De Dion Bouton (*śmieciarka*), Degas, Dickens Karol, Douglas Kirk, Doré Gustave, Dufy, Dulac, Duesenberg (1932, 320 KM, 207 km/godz., 160 km w 17 sek.), Dunikowski Xawery (*pomnik Dietla*), Dygasiński, Dygat, Edison, Ellenai (*Malczewski J.*), Ernst Max, profesor Ewy Zygmunt, Eyck van, Ezop, Faullier, Fellini, Fougeron, Fra Angelico, Piero della Francesca, France Anatol, Fujita, Gaj Jacek, Garbo Greta, „Gargantua i Pantagruel”, Gaudi, Gauguin, Gdańsk, Gdynia, Gielniak Józef, Gierymski Aleksander i Maksymilian, Giorgione, Giro, Gogh van, gmach Teatru Słowackiego, Gogol, Gottlieb Maurycy, Gorki, Grandville, Grieg, Grosz George, Grey Joel, Gulbransson, Gulliver, Haendel, Hanomag (1 cylinder, 499 ccm, napęd łańcuchowy, 1924, 10 KM, „Kommisbrot”), Handley Page, Herod („*Betlejem polskie*” Rydla), Harley-Davidson (*motocykl, circa 1200 ccm, 1928*), Harold Lloyd, Himilbsbach Jan, Hispano-Suiza (F., 1924, 8000 ccm, 177 km/godz.), Horch (1932 V-12), Hokusai, Hurricane (*myśliwiec*), „L’Illustration”, Indian (*motocykl; circa 750 ccm*), Ingres, Izba Przemysłowo-Handlowa w Krakowie („*Dom pod Globu-*

sem”), Isotta-Fraschini (1930, 7300 ccm, 161 km/godz.), Jaguar (*zwierzę i auto*), Jaracz Stefan, Jordan, Jeep, Kafka Franz, Kajzar Helmut, „Kabaret” (*film*), Kioto, Kisling Mojżesz, Klimt, Kisch Egon, Klee Paul, Konrad, Kopenhaga, kopiec Kościuszki, Korczak Janusz, Kordian, Kossak Juliusz, Kościuszek Tadeusz, Kotarbiński, koty, Kubin, Kurosawa, Kuśniewicz Andrzej, Kwiatkowski Jerzy (*literat*), Lancaster (*Burt i samolot bombowy 4-motorowy*), La Fontaine, Lancia-Lambda (1924, lando), Larousse „mały”, Las Wolski, latarnie morskie, Lechoń, leniwiec (*zwierzę*), Lili Marlene, Lincoln (*Abraham I auto: 1932, 7200 ccm, V-12*), London Jack, Loren Sophia, lokomotywa parowa (*Baldwin, Wien Florisdorf*), Lutosławski, Maillol, Makowski Tadeusz, Malaparte Curzio, Malczewski Jacek, Malczewski Rafał, Michał Anioł (*David*), Manet, Marczewski Wojciech, Mariacki kościół w Krakowie, Maupassant, „Mefisto” (*film, Istvan Szabo*), Matisse, Minerva (1930, 6600 ccm, 130 km/godz.), Maybach (1934, 8000 ccm, V-12, 200 KM), Mercedes SS (1928, 6250 ccm, 110/160 KM), Mickiewicz, Memling, Mozart, Nacht-Samborski, Nansen, Nikifor, Nurmi Paavo, Notre-Dame (*Paryż*), Ojców, Packard (1934, 8 cylindrów, 6300 ccm), Pałac Towarzystwa Przyjaciół Sztuk Pięknych w Krakowie, Paryż, Piaf, Pieczka, plac Matejki w Krakowie, Planty krakowskie, Picasso, Pissarro, Piętaszek, Quinn Anthony, Rabelais, Recquiam, Rembrandt, Reymont, Renoir, Roth Jakub, Rousseau, Singer (*maszyna do szycia*), Siemiradzki Henryk, Sieroszewski, Sisley, Soutine, Spitfire (*myśliwiec*), Stanisławski, Stępowski-Junosza, Steinberg Samuel, Swanson Gloria, Spencer Tracy, Tanguy, Toulouse-Lautrec, Trela Jerzy, UHU-Magazin, Utrillo, Ucello, Villas Violetta, Visconti, Vivaldi, Walczewski, Wawel, Wiedeń, wieża Eiffla, Witkacy, Wojtkiewicz, Weissmüller Johnny („*Tarzan*”), Zapolska, Zegadłowicz, Zola, zebra (*zwierzę*), Żeromski, żyrafa.

* Za wypowiedzią dla „Przekroju”, 22 grudnia 1985

Muzyka jest jak tlen

Wysłuchała Anna Woźniakowska Zdjęcie: Jan Zych

Prof. Barbara Świątek-Żelazna: Po wojnie to ja wprowadziłam na polskie estrady flet jako instrument solowy. Wcześniej traktowany był jako jeden z elementów orkiestry. Solowy był fortepian, skrzypce, rzadziej wiolonczela... Kiedy udało się z fletem, odwagi nabrali grający na innych instrumentach dętych. Przede wszystkim kobiety ruszyły moim śladem.

Anna Woźniakowska: Gdy niedawno poproszono mnie o kilka słów do powstającej o Tobie książki, pierwszym skojarzeniem był Twój uśmiech i otwartość na ludzi. Nie wiem, czy przez pół wieku naszej znajomości widziałam Cię poważną lub smutną. To cecha wrodzona czy wypracowana?
Barbara Świątek-Żelazna: Wrodzona. Po prostu kocham życie i ludzi. Lubię wśród nich przebywać, są mi potrzebni. Podobno byłam radosnym dzieckiem i, na szczęście, ta radość mimo wszystko mi pozostała. Na smutek jest czas, kiedy jestem sama. Wtedy mogę wszystko przemyśleć, ułożyć... Ale nie uciekam w samotność. Potrzebowałam jej, kiedy dotykały mnie nieszczęścia, śmierci bliskich... Wtedy to, co mówili ludzie, chcąc pocieszyć, wydawało się tak nieadekwatne do tego, co przeżywałam, że wolałam sama zmagać się z moimi problemami. Ale zawsze po pewnym czasie powracał uśmiech do życia, które jest prawdziwym cudem.

I druga cecha – siła woli, żelazna konsekwencja w dążeniu do stawianego sobie celu.

A to musiało sobie wypracować. Życie mnie do tego zmusiło. Wcześniej wymarzyłam sobie muzykę. W domu rodzinnym w Wiśniczu byłam nią otoczona, ojciec grał na akordeonie, a ja śpiewałam i tańczyłam. To była taka pierwsza radosna iskierka, którą potem życie rozpało. Z czasem sama zaczęłam grać, oczywiście ze słuchu. Nie znałam nut, kiedy po skończonej podstawówce ogólnokształcącej przyjechałam do Krakowa na egzamin do Liceum Muzycznego. Jak dziś o tym egzaminie myślę, to dziwię się, że okazano mi tyle zaufania. Zostałam przyjęta, egzaminatorzy zaryzykowali, a przede mną stanął ogrom pracy, bo musiały nadrobić potężne braki i to w trudnych warunkach. Znałam się poza domem, w internacie, na sali dwudziestocztworosobowej. Wokół nie było niczego, co buduje w dziecku poczucie bezpieczeństwa i miłości, ale wiedziałam jedno: jeśli chcę wejść w świat muzyki, który z każ-

dym dniem wydawał się coraz bardziej zachwycający, muszę wytrzymać, muszę walczyć. I walczyłam. To kształtuje charakter. **Ale skąd flet?**

Tak zdecydował ówczesny dyrektor Liceum prof. Juliusz Weber, a ja się zgodziłam. Nie mogłam przecież się przyznać, że nie mam pojęcia, co to jest flet. Na szczęście mój pierwszy pedagog, Wacław Chudziak, okazał się człowiekiem ciepłym, umiającym zachęcić do pracy, tak że po tym trudnym początku było już tylko lepiej.

Szybko zostałam jedną z najważniejszych postaci polskiego fletu. Koncertowałam już w czasie studiów.

Fascynowało mnie wszystko, co mnie otaczało, dlatego byłam otwarta na nowości muzyczne. To był czas kontaktów z kompozytorami i pedagogami, od których mogłam się czegoś nowego nauczyć, a wtedy rodziła się awangarda. Po prostu tym żyłam. Grałam dużo muzyki współczesnej, także na Warszawskich Jesieniach z Ensemble MW2. I przydarzyło się w 1964 roku, że dostałam przyznaną na tym festiwalu nagrodę krytyków – Orfeusza – a z tym wiązało się stypendium w dowolnie wybranym kraju. Oczywiście wybrałam Paryż – stolicę fletu! **Studia w Paryżu otworzyły Ci nowy świat?** Radykalnie zmieniły moje postrzeganie fletu, pokazały światowe trendy w pedagogice i wykonawstwie. Trafiłam do profesora, który m.in. wykształcił Jeana-Pierre’a Rampała, więc piłam ze źródła. A poza tym starałam się korzystać z tego, co oferował wówczas Paryż w zakresie muzyki. Wróciłam z przekonaniem, że to, co zdobyłam, muszę przekazać innym, że to jest mój obowiązek. Udział w jury Międzynarodowego Konkursu ARD w Monachium jeszcze mnie w tym utwierdził. Wiedziałam, że nie wystarczy tylko jednostkowe kontakty ze studentami w czasie zajęć w krakowskiej Akademii Muzycznej, że to musi być coś, co zmobilizuje całe środowisko.

I przed trzydziestoma laty zorganizowałaś w Krakowie Ogólnopolski Konkurs Fletu-



wy, który pod Twoim kierownictwem przekształcił się w międzynarodową imprezę i dziś jest w gronie najważniejszych europejskich konkursów tego typu.

Dałam impuls i okazało się, że trafiłam w dziesiątkę, że jest nas więcej – pedagogów widzących potrzebę zmian. Konkurs i organizowane przy nim sesje spotkały się z ogromnym odzewem.

Pamiętam początki, chwilami żałosne...

Nasza sztuka wykonawcza odbiegała wówczas od światowego poziomu, to prawda. Ale trzeba pamiętać, jakie to były czasy, jak trudno było o dobry instrument, o materiały nutowe, o jakieś wzorce. Mogę więc tylko się cieszyć, że nasza praca przyniosła owoce, że w kolejnych edycjach międzynarodowego już konkursu polscy fleciści są jego finalistami. Czekamy na polskiego zwycięzcę w Krakowie, bo w innych międzynarodowych konkursach nasi studenci zdobywają już laury.

Koncertowałaś w całym świecie, dotykałaś wszystkiego, co ważne w muzyce, sięgałaś po repertuar od baroku po awangardę, mając 34 lata, jako pierwsza flecistka zostałaś profesorem „belwederskim”, wychowałaś wiele pokoleń flecistów, którzy zajmują ważne miejsce w polskim życiu muzycznym, byłaś rektorem krakowskiej Akademii Muzycznej. Czy jako artystka, pedagog, organizator czujesz się spełniona?

Zawsze można więcej i lepiej. Wciąż pojawiają się nowe marzenia, nowe wyzwania. Chciałabym jeszcze wiele zrobić. Wydaje mi się, że jeszcze potrafię przekraczać jakieś progi, próbować czegoś nowego... Wciąż przyspieszam, nie zwalniam.

Teraz dostajesz doktorat honoris causa Akademii Muzycznej w Krakowie. Wchodzisz do grona znakomitości, wśród których są m.in. Krzysztof Penderecki i Henryk Mikołaj Górecki, sir Neville Marriner i Jego Świątobliwość Benedykt XVI, Joshua Rifkin, Paul Badura-Skoda, Iwan Monighetti...

To dla mnie ogromny zaszczyt. Wprost nie dowierzam, że mnie to spotyka. I myślę, że kiedy stanę na estradzie Florianki, by odebrać to wyróżnienie, będę czuła za plecami rzesze muzyków grających na instrumentach dętych. Bez fałszywej skromności przy-

pomnę, że po wojnie to ja wprowadziłam na polskie estrady flet jako instrument solowy. Przyczyniłam się do jego emancypacji, bo wcześniej traktowany był przede wszystkim jako jeden z elementów orkiestry. Solowy był fortepian, skrzypce, rzadziej wiolonczela... Kiedy udało się z fletem, odwagi nabrali grający na innych instrumentach

Zawsze można więcej i lepiej. Wciąż pojawiają się nowe marzenia, nowe wyzwania. Chciałabym jeszcze wiele zrobić. Wydaje mi się, że jeszcze potrafię przekraczać jakieś progi, próbować czegoś nowego... Wciąż przyspieszam, nie zwalniam.

dętych, przede wszystkim kobiety ruszyły moim śladem. Dziś ten podział na instrumenty orkiestrowe i solowe niemal się zatarł. Każdy instrument może oddać piękno muzyki, tylko trzeba podejść do niego z miłością i odpowiednią wiedzą.

Uczyłaś muzykę sensem swojego życia? Co masz w nim oprócz niej? Czy nigdy Cię nie zawiodła?

Muzyka wymaga oddania bez reszty. Wtedy daje radość, wewnętrzny spokój, jasność spojrzenia... Jest jak tlen. Nie wyobrażam sobie bez niej życia. Nie zawiodła mnie nigdy, jak przyjaciel pomógł przetrwać najtrudniejsze chwile. To ja zawodziłam ją czasem brakiem skupienia na koncercie czy gorszą dyspozycją. Choć starałam się zawsze służyć jej najlepiej, jak potrafiłam.



Anna Woźniakowska – teoretyk muzyki, absolwentka Akademii Muzycznej w Krakowie. Od lat tłumaczy czytelnikom i słuchaczom, że muzyka ułatwia życie.

Barbara Świątek-Żelazna – urodzona w Nowym Wiśniczu, profesor sztuki, wykładowczyni Akademii Muzycznej w Krakowie i jej rektor w latach 1999–2002, wybitna flecistka.

Kształciła się w Krakowie, a potem w Konserwatorium Paryskim pod kierunkiem Gastona Crunelle'a; laureatka konkursów w Wiedniu, Helsinkach i Utrechcie; kompozycje dedy-

kowali jej m.in. Krzysztof Meyer, Krystyna Moszumańska-Nazar, Adam Walaciński, Bogusław Schaeffer, Krešimir Fribec. Koncertowała jako solistka i kameralistka – m.in. przez wiele lat pracowała w Orkiestrze Polskiego Radia i Telewizji jako flecistka-solistka. Występowała także na prestiżowych festiwalach w Polsce i za granicą.



Litery na klockach kroju Sorbona gruba

W pracowni projektowania książki

Tekst: Anna Stafiej Zdjęcia: Jan Zych

Jest w Krakowie miejsce, gdzie uczą sztuki szlachetnego edytorstwa.



W tle szafa z cennymi elementami detali drukarskich (ornamenty, inicjały, stemple). Na stole książka w introligatorskiej obróbce

Od jakiegoś czasu niektórzy wieszczą zmierzch tradycyjnej książki. Liczni bywalcy księgarni temu zaprzeczają. Owszem, korzystamy z audiobooków, ale czy są one w stanie zastąpić przyjemność obcowania z papierowym tomem? Takim, do którego przyciągają nie tylko nazwisko autora czy tytuł, ale i jego wygląd: okładka, ilustracje, elementy graficzne. To dzieło artystów, którzy specjalizują się w projektowaniu książek.

Tajniki sztuki szlachetnego edytorstwa zgłębiają m.in. studenci Wydziału Grafiki krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych.

W Pracowni Projektowania Książki zdobywają wiedzę, że na formę książki składają się odpowiednio dobrany papier, czcionka, okładka, ilustracje, format czy akcenty graficzne. Znając możliwości coraz bardziej udoskonalanych programów komputerowych, mogłoby się wydawać, że takie projektowanie nie jest skomplikowane. Nic bardziej mylnego.

Oczywiście w Pracowni Projektowania Książki przy ul. Smoleńsk 9 są komputery,

przy których uczą się i pracują studenci. Ale to nie wszystko. Możemy tu też zobaczyć maszynę rodem, wydawałoby się, z epoki Gutenberga. I nie są to tylko urządzenia muzealne – cały czas pracują i służą studentom w zdobywaniu bezcennych umiejętności, a uczelni pozwalają wykonać czasem jakiś druk bibliofilski czy okolicznościowy, jak choćby dyplom doktora *honoris causa*.

Ważną częścią Pracowni jest bowiem drukarnia typograficzna, zwana Zakładem Technik Drukarskich. Ten staromodny park maszyn znalazł się tutaj dzięki profesorowi Witoldowi Chomiczowi, który w początkach lat 60. XX wieku, kiedy krakowskie drukarnie wymieniały stare, mocno wysłużone urządzenia, zwrócił się z apelem o nieodpłatne przekazywanie Akademii tego już niepotrzebnego sprzętu. I tak trafiły tu stare winiety, inicjały, zdobniki, gilotyny, czcionki gotyku, fraktury, drewniane czcionki plakatowe, ręczne prasy drukarskie, prasy tłoczeniowe do introligatorstwa, mosiężne czcionki... Uczelniana



Szafy z pudełkami, przegródkami, a w nich czcionki. To odpowiednik klawiatury naszego laptopa!



Tygły do złączenia na gorąco i prasa introligatorska

drukarnia dysponuje chociażby czcionkami o krojach Półtawski antykwa, Sorbona gruba, Wisła kaligraficzna, Paneuropa gruba i drewnianymi literami afiszowymi.

Następcy profesora Chomicza, czyli, kierujący Pracownią Książki prof. Roman Banaszewski (do 2003 roku), prof. Zbigniew Majkowski (do 2011 roku) i obecnie jej szefująca dr Dorota Ogonowska wpisywali możliwość korzystania z tych tradycyjnych urządzeń w program studiów projektowania typografii. W efekcie z pracowni studenci wynoszą nie tylko znajomość komputerowych programów graficznych, ale również obycie ze starym rzemiosłem. Co najważniejsze: znają jego wartość i urok.

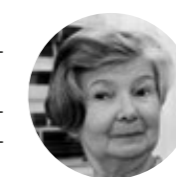
O potrzebie uprawiania tej sztuki i jej docenianiu świadczy fakt, że do terminowania w Pracowni zgłasza się coraz więcej studentów zagranicznych, między innymi z Hiszpanii, Irlandii, Słowacji.

Prace studentów to całościowe projekty wydawnicze, na które składają się liternictwo, ilustracje, format, sposób łamania tekstu i oprawa. Te niepowtarzalne egzemplarze można oglądać na wystawach wieńczących każdy rok akademicki. Tematy prac na ogół studenci wybierają sami. Były wśród nich *Wiersze wybrane Miłosza*, *Opowieści o kronopiach i famach i inne historie Cortazara*, *Małpa w kąpieli Fredry*. Była *Do czarnej dziury* – niezwykła książka, w której umieścili własne artystyczne DNA (projekt pięciu studentów w 2016 roku). W 2017 roku w ramach współpracy z Bezalel Academy of Arts and Design w Jerozolimie opracowano typograficznie poemat Abrahama Suckewera *Do Polski*. Krakowscy studenci nie ograniczyli się, jak ich

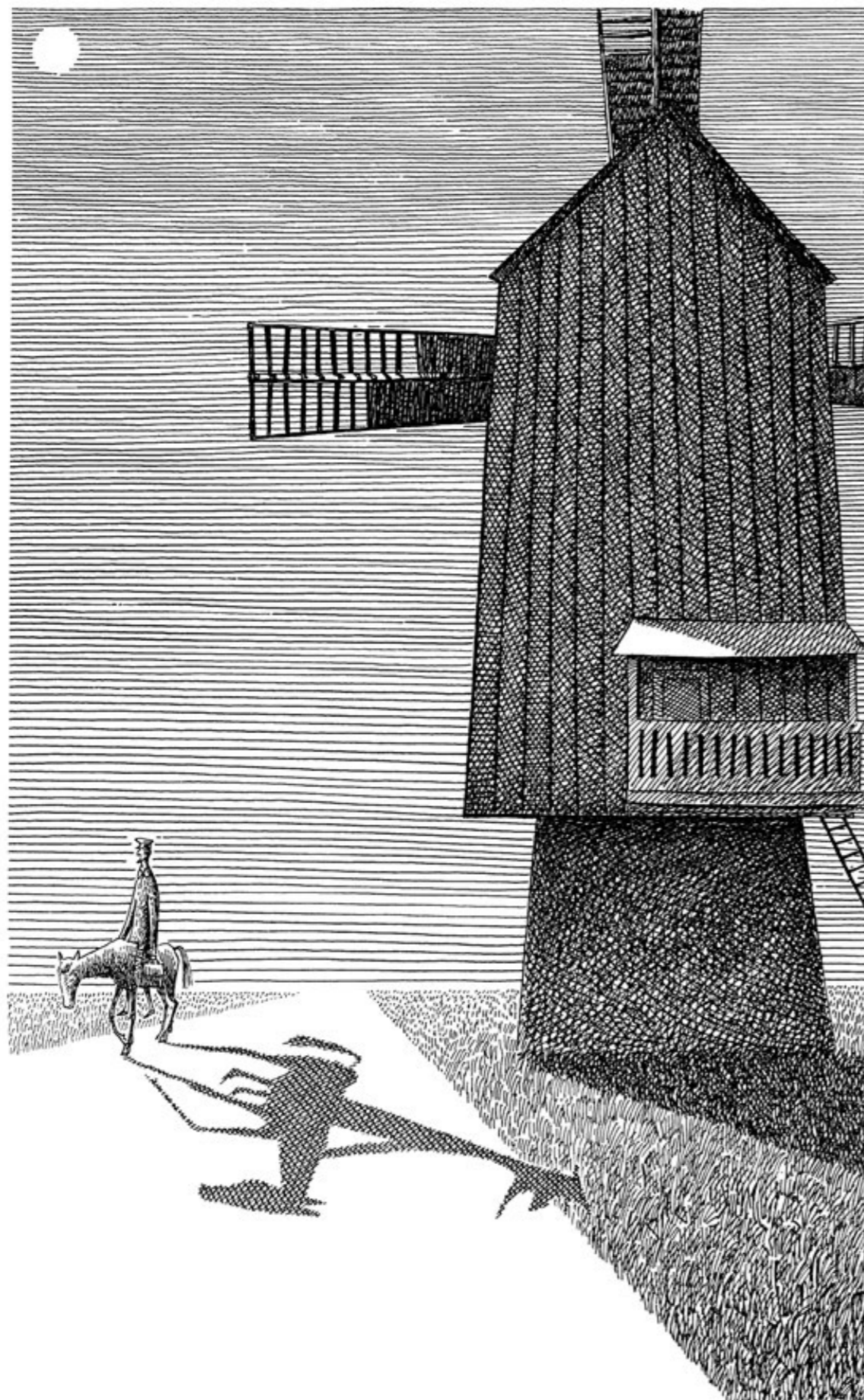
Każda książka powinna być skomponowana niczym utwór muzyczny, ma poruszać wyobraźnię, a także zaskakiwać niebanalnymi propozycjami.

koledzy z Jerozolimy, do ilustracji. Zaproponowali ciekawe formy, na przykład zwój Tory, niebanalną typografię i grafikę, a wszystkie elementy były skomponowane w harmonijnej całość.

Studenci uczą się bowiem w Pracowni, że każda książka powinna być skomponowana niczym utwór muzyczny, ma poruszać wyobraźnię, a także zaskakiwać niebanalnymi propozycjami. Tutaj zdobywają nie tylko teoretyczną i praktyczną wiedzę, ale i umiejętności łączenia najnowszej techniki z techniką tradycyjną, nieraz trudną do zastąpienia. Pomocą służą im nie tylko pracownicy naukowi, ale także doświadczeni introligatorzy i drukarze. Tylko oni bowiem potrafią jeszcze poruszyć najstarsze gilotyny czy prasy introligatorskie.



Anna Stafiej – teatrolog naturalizowany m.in. w teatrach Starym, Groteska, im. J. Słowackiego, STU.



Daniel Mróz
Śmieszny jeździec, ilustracja z tomu *Profesor Tutka i inne opowiadania*, 1956

Luty 1919 roku

Tekst: Krzysztof Jakubowski

✂ **1 lutego.** Zaskakujące, zbrojne zajęcie przez Czechów Śląska Cieszyńskiego było najważniejszym tematem we wszystkich dziennikach. W związku z konfliktem w elektrowni miejskiej odbył się wiec, na którym krakowscy robotnicy domagali się usunięcia z pracy wszystkich Czechów zatrudnionych w mieście, zwłaszcza w tramwajach. Zażądano też usunięcia urodzonego w Czechach ich dyrektora Ferdynanda Fischera. Aby wymusić tę decyzję, następnego dnia tramwaje unieruchomiono. Ruch udało się jednak szybko przywrócić mimo niespełnienia postulatów. Powszechne stały się odwetowe, antyczeskie nastroje.

✂ **1 lutego.** „W sali kina Uciecha, występuje warszawski zespół wytwórni filmowej Sfinks, dając wspaniały dramat dworski »Carska faworyta« osnuty na życiu prywatnym cara Mikołaja II i jego stosunku do tancerki Matyldy Krzesińskiej. Role główne – cara i Krzesińskiej – spoczywają w rękach Józefa Węgrzyna i Haliny Bruczówny, którzy grają nieskazitelnie, a reszta zespołu dostraja się nader harmonijnie do całości” – zachwycał się reporter „IKC”.

✂ **1 lutego.** W tym samym numerze „IKC” reklamował występy mistrza świata w zapasach Zbyszko Cyganiewicz, który miał zmierzyć się kolejno z kilkoma zapaśnikami „o głośnych nazwiskach” w Teatrze Nowości.

✂ **1 lutego.** Anons z „Nowej Reformy”: „Jan Bochenek wióruje, froteruje, chodzi do sprzątania, ul. 5 Listopada 1”.

✂ **2 lutego.** Z kroniki „Nowej Reformy”: „Wczoraj o godz. pół do 2 po południu, przy ul. Radziwiłłowskiej automobil przejechał 12-letniego Kazimierza Książka. Chłopiec odniósł szereg kontuzji na głowie, powodujących wstrząs mózgu”.

✂ **3 lutego.** Z kroniki „IKC”: „Ośmiotygodniowe dziecko płci męskiej, zdrowe, dobrze zbudowane, jest do oddania za swoje u dozorczy Józefa Sokalskiego, Kraków, Łobzowska 31”.

✂ **3 lutego.** Na prośbę dyrekcji Teatru Powszechnego „IKC” zamieścił wyjaśnienie: „W orkiestrze Teatru Powszechnego, liczącej 22 członków, nie pracuje ani jeden Czech, a jedyny przedstawiciel tej narodowości, jaki był od początku sezonu, przestał pracować już 1 stycznia, a więc na trzy tygodnie przed napaścią czeską na Śląsk”.

✂ **4 lutego.** „Krakowska dyrekcja kolei zezwoliła p. Józefowi Tomaszewskiemu, krakowianinowi, b. etatowemu urzędnikowi filii Banku Krajowego, na otwarcie na dworcu kolejowym, obok księgarni i restauracji – kantoru wymiany wszelkich monet i dewiz. Ta nowa przyteczna dla podróżującej pu-

bliczności agenda przyjmuje również subskrypcję na pożyczkę polską” – odnotowała „Nowa Reforma”. *Nieszczęsny traf sprawił, że wspomniany Józef Tomaszewski stał się ćwierć wieku później jedną z ofiar słynnego bandyty Władysława Mazurkiewicza...*

✂ **6 lutego.** Jak donosił „Głos Narodu”: „Czterech bandytów w mundurach żołnierskich napadło na mieszkanie Dawida Feldsteina przy ul. Kalwaryjskiej. Bandyci domagali się wydania kluczy od kasy

Żydzi rozpuszczają na prowincji nieprawdopodobne wieści o dostawach z Ameryki dla Polski: że materiały na odzież są z pokrzyw, gatunki wszystkich towarów liche, a za dolara ma się płacić 36 koron.

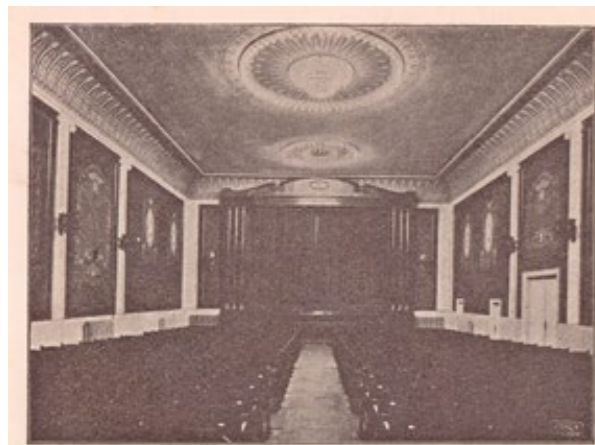
ogniotrwałej. Podczas sprzeczki jeden z nich strzelił do Feldsteina trzykrotnie, raniąc go w płuca i nerki, poczym wszyscy zbiegli. Tej samej nocy udało się aresztować dwóch sprawców napadu: Juliana Hołuja i Stanisława Adamkiewicza. W śledztwie bandyci wypierają się winy, jeden z nich udaje obłąkanego. Za resztą szajki zarządono pościg i obławę w Podgórzu”.

✂ **8 lutego.** Felietonista „Nowości Ilustrowanych” snuł powybtorcze refleksje: „Agitacja wyborcza była słaba, ale tylko o tyle, o ile dotyczyło to tzw. stronnictw narodowych, a jedynym jej widocznym objawem było rozrzucenie z wieży Mariackiej kartek polecających listę piątą. Gniewali się o to socjaliści, utrzymując, że jest to wykorzystanie kościoła do celów wyborczych, ale im wytłumaczono, że wieża Mariacka, choć w samej rzeczy stanowi integralną część kościoła, należy pod władzę świecką, to jest do zarządu miasta, któremu służy jako wieża strażnicza i zegarowa”.

Wybory do sejmiku odbyły się 26 stycznia. Udział w nich wzięło ponad 64 tys. osób (68 proc. uprawnionych). W okręgu krakowskim zwyciężył blok stronnictw pracowniczych, przed socjalistami.

✂ **8 lutego.** Dzienniki doniosły o wyborze na wiceprezydenta miasta dr. Ernesta Bandrowskiego, który nieoczekiwanie oświadczył, że na skutek niepełnego poparcia (62 na 102 głosy), godności nie przyjmie. Szybko jednak zmienił zdanie i został zaprzysiężony.

✂ **8 lutego.** Jak donosił „Czas”: „Sławnemu skrzypkowi Hubermanowi skradziono w Wiedniu skrzypce Stradivariususa o wartości 200 tys. koron i drugie



TEATR ŚWIETLNY
„UCIECHA”
W KRAKOWIE, UL. STAROWIŚLNA 16

Wytwornie urządzonej lokal.
Architektura i wnętrze według projektów artysty-malarza Henryka Uziembły.
Pierwszorządne przedsiębiorstwo kinematograficzne.

Reklama kina Uciecha z 1913 roku. Secesyjny wystrój autorstwa Henryka Uziembły zniszczono bezpowrotnie z trakcie remontu w 1966, archiwum autora



Zbyszko Cyganiewicz – choć mieszkał w USA – miał w Krakowie dwie nieruchomości: kamienicę przy ul. Piłsudskiego 5 i hotel Union (dziś w kompleksie hotelu Royal), fot. ok. 1918, Library of Congress



Światowej sławy wirtuoz skrzypiec Bronisław Huberman wsiada do limuzyny przed swym pałacem w Hetzendorf pod Wiedniem, fot. 1927, NAC

mniejszej wartości. Są poszlaki, że muzykalny złoczyńca uciekł do Krakowa. Policja wdrożyła energiczne dochodzenie”.

Bronisław Huberman miał sporo szczęścia, bo bezcenny instrument odzyskał, choć nie w Krakowie. Artysta wyznaczył wysoką nagrodę za jego odnalezienie, co skłoniło złodzieja do negocjacji i tak wpadł. Ciekawostka, że skrzypce te zginęły raz jeszcze – w 1936 roku – i to z garderoby w Carnegie Hall w Nowym Jorku. Tym razem jednak bez pomyślnego finału, ale to temat na odrębną opowieść...

✦ **9 lutego.** „Czas” poinformował o postępującej organizacji policji w Krakowie. Założono, że jej liczebność musi osiągnąć tysiąc funkcjonariuszy. Priorytetem były posterunki w dzielnicach peryferyjnych, pozbawionych dotąd dozoru.

✦ **14 lutego.** Z kroniki „Czasu”: „Z powodu braku węgla niektóre szkoły średnie i ludowe zostały zamknięte na czas nieograniczony”.

✦ **15 lutego.** Fotoreportaż w „Nowościach Ilustrowanych” ukazywał dwa płótna Jana Matejki: *Unię Lubelską* i *Konstytucję 3 Maja*, wystawione w Muzeum Narodowym. Płótna – zdobiące przed wojną sale Sejmu Galicyjskiego – przewieziono do Krakowa w obawie przed zniszczeniem w ogarniętym walkami Lwowie.

✦ **16 lutego.** „Dzieci robotnika Bartłomieja Waśki, przy ul. Topolowej, bawiły się nieostrożnie granatem przechowywanym przez ojca. Granat eksplodował, rozszarpując na kawałki siedmioletniego chłopca, a dziewczynkę śmiertelnie poranił. Zniszczeniu uległo całe urządzenie mieszkania” – relacjonował „Czas”.

✦ **16 lutego.** Dobrą wieścią dzielił się „IKC”: „Groźba zamknięcia elektrowni, dzięki życzliwości dowództwa wojskowego w Krakowie, które udzieliło z zapasów wojskowych pewną ilość węgla, została na jakiś czas zażegnana”.

✦ **18 lutego.** Dzienniki odnotowały zmianę na stanowisku komendanta miasta. Ustupującego ze względu na zły stan zdrowia gen. Antoniego Madziarę zastąpił gen. Józef Stiller.

✦ **18 lutego.** „Cukier z poznańskiego dla Krakowa nadszedł wczoraj w ilości 60 wagonów. Rozdzieli go Komisja Aprowizacyjna dla Galicji” – donosił „IKC”.

✦ **19 lutego.** Prasa podała wiadomość o decyzji rady miasta przywracającej nazwę ul. Starowiślnej, przemianowanej niedawno na ul. 5 Listopada.

✦ **20 lutego.** Z kroniki „Głosu Narodu”: „Jutro w południe, w hali poczty na Wielopolu, odbędzie się uroczyste złożenie przysięgi na wierność Państwu Polskiemu przez wszystkich funkcjonariuszy pocztowych”.

✦ **20 lutego.** Zgodnie z utrwaloną linią pisma „Głos Narodu” przestrzegał: „Z Krynicy piszą nam: Żydzi rozpuszczają na prowincji nieprawdopodobne wieści o dostawach z Ameryki dla Polski: że materiały na odzież są z pokrzyw, gatunki wszystkich towarów liche, a za dolara ma się płacić 36 koron. Skutkiem tego ceny paskarskie, które zaczęły spadać, idą znów w górę”.

✦ **20 lutego.** O uregulowanie przepisów ruchu upominała się „Nowa Reforma”: „Samochody mocno dają się we znaki publiczności. Pędzą one zwykle, nie dbając wcale o przepisaną szybkość i nie zwalniając

na skrzyżowaniach ulic. Klapy wydechowe zwykle mają otwarte tak, że po przejeździe takiego samochodu ulica całe kwadrans jest wypełniona dymem. Najwyższy czas, aby odpowiednie czynniki uregulowały sprawę jazdy na podstawie przepisów przyjętych już w Warszawie, a surowo przestrzeganych we wszystkich miastach europejskich”.

✦ **21 lutego.** „Błoto krakowskie ma już swoją wyrobioną markę i zasłużoną tradycję. Byłoby walką Don Kichota, żądać usunięcia z ulic naszego miasta tego – tak niezbędnego widocznie – elementu. Kto ma zamiar wsiąść np. w tramwaj na stacji końcowej w Rynku Podgórskim lub przejść przez ul. Krowoderską, w miejscu gdzie krzyżuje się z ul. Szlak, niech nie czyści w domu butów, szkoda trudu i pasty, bo nie tylko buty, ale i ubranie umacza sobie dostatecznie w błocie dochodzącym wysokości kolan” – utyskiwał reporter „Nowej Reformy”.

✦ **22 lutego.** Przygnębiający opis kontroli sanitarnych prowadzonych w domach Kazimierza zamieściła „Nowa Reforma”: „Kontrole odsłoniły zupełnie niesłychane warunki zdrowotne, w jakich żyją mieszkańcy, przeważnie z własnej winy i niedbalstwa, częściowo jednak także z zaniedbania tych dzielnic przez władze sanitarne. Z patrolami straży obywatelskiej powinni być chodzący lekarze miejscy, może to pouczyłoby ich o źródłach różnych chorób w Krakowie i przyczynach wielkiej śmiertelności. (...) Na miniaturowych podwórkach gęsto zaludnionych domów stopy śmieci, a na wierzchu kał ludzki. Ten kał leży zresztą nie tylko tam, leży w korytarzach, na balkonach i pod murami domów. Nikt nie myśli o jego uprzątnięciu. (...) Środkiem wąskich uliczek płyną w rynsztokach nieczystości. Te wszystkie ulice, Szeroka, Ciemna, Kupa, Józefa, to jedna kloaka”.

✦ **23 lutego.** Sprostowanie z „Głosu Narodu”: „Tadeusz Brustmann złożył na głodnych Lwowa koron 510, a nie 505, jak to w numerze z 21 bm. mylnie ogłoszono”.

✦ **24 lutego.** Kradzież na wielką skalę odnotował „Głos Narodu”: „Onegdaj w mieszkaniu hr. Wielhorskiej przy ul. Łobzowskiej 31 skradziono biżuterię wartości przeszło 100 tys. koron, w tym broszkę brylantową wartości 40 tys. Policia aresztowała Władysława Wandora, który dopuścił się kradzieży wraz z bratem. Odzyskano część biżuterii, poza cenną broszką”.

✦ **25 lutego.** Dzienniki relacjonowały obrady zjazdu górników i hutników polskich. Zjazd uchwalił rezolucję postulującą szybkie otwarcie Akademii Górniczej w Krakowie.

✦ **27 lutego.** Prasa pisała o odejściu pierwszej grupy Czechów z rodzinami, usuniętych ze stanowisk, głównie na kolei.



Krzysztof Jakubowski – krakus, działacz samorządowy, miłośnik i popularyzator historii miasta. Od lat działa w Obywatelskim Komitecie Ratowania Zabytków Krakowa, jest też członkiem Towarzystwa Miłośników Historii i Zabytków Krakowa. Napisał m.in. *Przy stoliku – czyli o najstarszych krakowskich kawiarniach*.

Kot staropolski

Tekst: Ewa Danowska

Kot jest jednym z najstarszych udomowionych zwierząt. Od wieków inspirował i zaciekał.

Podobno wywodzi się z Afryki. Oswojony został w Nubii, powszechny był w Egipcie. Do 30 roku n.e. istniał zakaz wywozu stamtąd kotów, co nie było niczym dziwnym, ponieważ był czczony jako zwierzę święte. Za zabicie lub zranienie kota poświęconego bogini Bastet groziła śmierć.

Rozprzestrzenianie się kota poza Egiptem rozpoczęło się dopiero w I wieku po Chrystusie, najpierw w Europie południowej, później środkowo-zachodniej. Na terenach współczesnej Polski, w pradawnym grodzie Biskupin nie stwierdzono jego obecności. Natomiast już w VIII wieku n.e. plemiona zachodniosłowiańskie znały i hodowały koty.

W tych czasach do ochrony przed myszami Słowianom służyły oswojone łasice, skąd wywodzi się określenie związane z przymilnym zachowaniem kota – „łasić się”. Wówczas jedynie Germanie wielbili kota, który był atrybutem matki bogów oraz bogini miłości i płodności. Dla większości ludów Europy kot był po prostu narzędziem do walki ze szkodnikami.

W średniowieczu koty traktowane były paskudnie, a ich dręczenie spotkało się z papieskim przyzwoleniem. Innocenty VIII w 1484 roku nazwał koty pogańskimi zwierzętami, pozostającymi w związku z diabłem. Srodze się to na ludziach zemściło, bo wyszło na dobre szczurom, za sprawą których szerzyła się epidemia dżumy. Choć wierzono, że kot może żyć i umierać dziewięć razy, to w rzeczywistości populacja ich znacznie się zmniejszyła. Niezależność i rezerwa kota uczyniły z niego synonim obłudy. Kot stał się bohaterem różnych zabobonów i wcieleniem złych sił: wierzono choćby, że diabeł przybiera postać czarnego kota jako ulubienca czarownicy.

Czarta można było wypędzić z kota poprzez ściskanie jego ogona rozszczepionym drewnem, stąd przysłowie odnotowane przez Oskara Kolberga „brać koty w leszczoty”. Na widok nieznanego czarnego kota w pobliżu domostwa należało się przeżegnać. Uważano, że czarny kot ma właściwości magiczne: zjedzenie jego mięsa miało uwalniać od czarów, śledziona przyczepiona do miesiącującej kobiety zatrzymywać krwawienie, a krwią czarnego kota napisać można słowa „mocnych” czarów.

Kot wiązany był z postaciami czarownic i ich praktykami. Wytaczano więc i kotom procesy sądowe i skazywano je. Jeszcze w XVI wieku koty torturowano, aby wypędzić z nich diabła, zrzucano z kościelnych wież,

palono żywcem na stosach i topiono we wrzącej wodzie. Jednym z złych sposobów wypędzania złych mocy było przywiązywanie kotu do ogona pęcherza wypełnionego suchym grochem (stąd powiedzenie „biega jak kot z pęcherzem”). Znęcanie się nad kotami przyjęło postać ludowych festynów.

Na krakowskim Rynku Głównym znajdujemy kamienice Pod Jagnięciem, Pod Jaszczurem, Pod Jeleniem, Pod Kanarkiem, Pod Konikiem, Pod Karpiem Szarym, Pod Złotym Karpiem czy Pod Krukami. Nawet wieściorka znalazła się na herbie pewnej kamienicy na rogu ul. Floriańskiej i św. Tomasza. Natomiast kot – nie.

W staropolskich słownikach wyraz „kotka”, poza określeniem kobiety lub nierządnicy, oznaczał kotwicę (czasem w kontekście: „ciągnąć kota”), a także kwiatostan wierzby i leszczyny wskutek podobieństwa do miękkiego i puchatego kociego futerka. Od XVI wieku kotem lub kotkiem nazywano także trzos, zaś „mieć kota” znaczyło mieć pieniądze. Ciekawe, że kotem lub kotkiem nazywano równocześnie człowieka niestatecznego czy łobuza. Z kolei „kotować się” – znaczyło wyśmiewać się, przedrzeźniać. Również z XVI wieku pochodzi określenie „mieć kota w głowie”, czyli być głupim. Z kolei „puścić kota z głowy” oznaczało dać upust szaleństwu. Do naszych czasów przetrwało określenie „drzeć koty”.

W dawnym wojsku kotem nazywano rodzaj działa (niem. *Feuerkatze*) do strzelania kamiennymi kulami, natomiast „paść kota” – odbywanie kary przez żołnierza. Zwrot „ciągnąć kota” znaczyło narazić się na karę polegającą na przeciąganiu na sznurze przez wodę lub bagno.

Również Bogumił Samuel Linde w *Słowniku języka polskiego* podał kilka staropolskich powiedzeń: „biega jak kot zagorzały”, „biega jak kot z pęcherzem”, „pogonić kota”, „trudno naturę kocią zwyciężyć”, „rzucić jak chcesz kota, a on zawsze na nogi padnie”. W drugiej połowie XVIII wieku pojawił się „koci mózg” na określenie półgłówka.



Albrecht Dürer, datowane – czwarta ćwierć XIX wieku, Fonoteka Lanckorońskich/PAUart



Wanda, Paulina i Teofila Potockie, córki Seweryna i Anny z Sapiechów jako dziewczynki w ogrodzie z kotkiem, autor wzoru: Jean-Baptiste Isabey, XVIII wiek, Gabinet Rycin Biblioteki Naukowej PAU i PAN/PAUart

Stereotyp kota w dawnych czasach nie jest spójny. Z jednej strony kot uosabiał ciemne moce, fałsz, drapieżność, złośliwość i okrucieństwo, z drugiej był symbolem zręczności, sprytu, wdzięku, mądrości, łagodności i niezależności.

W dawnych polskich wierzeniach ludowych kot był zarówno zwierzęciem nietykalnym, jak i wcieleniem diabelskich sił. Uważano, że zabicie kota jest grzechem i zabójcy nie będzie darzyć się w życiu, zaś bicie kota batem przez gospodarza grozi tym, że konie mu „wyschną” pomimo dobrego karmienia. Kot pełnił też rolę swego rodzaju testera: wprowadzając się do nowego domu, gospodarz najpierw wpuszczał tam kota, bo jeżeli miałoby przytrafić się nieszczęście w rodzinie, spłynie ono właśnie na niego.

Zachowanie kota mogło przepowiadać zjawiska meteorologiczne. Na przykład, jeżeli położy się tyłem do ognia, wróży to zmianę pogody. Gdy postawi uszy, to pewny jest wiatr z północy, a jeżeli zwróci ogon ku ogniu – chwyci mróz. Jeżeli liże łapy – pewne są opady śniegu. Natomiast kiedy wkłada łepkę między łapy w celu „chędożenia rzyci swej”, wieszczą to ulewę i burzę.

W 1534 roku w krakowskiej oficynie Floriana Unglera ukazało się bogato ilustrowane kompendium przyrodnicze *O ziołach y o mocy gich*, autorstwa Stefana Falimirza. Kilka set niewielkich rycin przedstawiających florę i faunę głównie okolic Krakowa wykonał anonimowy ilustrator. W księdze IV, gdzie scharakteryzowano udomowione zwierzęta, nie mogło zabraknąć kota. Autor rysunków, ukazując siedzącego kota z profilu, zadbał o podkreślenie jego zdolności łowieckich.

Salomon Rysiński, wydając w 1620 roku w krakowskiej drukarni Stanisława Giermańskiego *Przypowieści polskie*, zapisał kilka przysłów o kocie: „nie graj kotku z niedźwiedziem”, „beźpiecznie myszy biegają, gdy kota doma nie mają” czy „każdy kot w nocy czarny”.

W dawnej literaturze nietrudno wyszukać obraz kota. Znajdujemy go we fraszkach Jana Kochanowskiego, Jana Gawińskiego, Wacława Potockiego, Mikołaja Reja czy później – Adama Naruszewicza, Franciszka Bohomolca i Ignacego Krasickiego. To w poemacie heroikomicznym biskupa Krasickiego *Myszeidos*, opisującym walki myszy z kotami, występuje monarcha kotów Mruczysław, szwagier Rominagrobisa.

Zastanowienie może budzić natomiast, dlaczego ks. Benedykt Chmielowski publikując w połowie XVIII wieku *Nowe Ateny albo akademia wszelkiej sciencyi pełna*, zupełnie pominął opis kota. Wymienił wiele zwierząt występujących na ziemiach polskich, mniej lub bardziej egzotycznych, a o kocie napomknął tylko w notce poświęconej myszy („choć podły zwierz i mały, ale wielkiej szkody czynicielka”). Odnotował, że w Arabii są myszy większe niż nasze koty, chodzące na nogach jak

„Gdzie nie masz kota, nie masz krotochwili”.

S.B. Linde, *Słownik języka polskiego*

człowiek. Kot nie zasłużył tu nawet na notkę podobną do konstatacji na temat konia: „Koń jaki jest, każdy widzi”.

Najczęściej, od najdawniejszych czasów w różnych kontekstach, przedstawiało się kota w zestawieniu z myszą. Związanych z tym przysłów i powiedzeń krążyło mnóstwo: „gdy kota myszy nie czują, bezpiecznie sobie harcują” czy „gdzie nie masz kota, tam biegają myszy”.

W dawnych wiekach widok kota w Krakowie był zapewne czymś oczywistym. Być może traktowanie go jako coś pospolitego spowodowało, że na próżno szukać jego wizerunku w herbach krakowskich kamienic. Na Rynku Głównym znajdujemy kamienice Pod Jagnięciem, Pod Jaszczurem, Pod Jeleniem, Pod Kanarkiem, Pod Konikiem, Pod Karpiem Szarym, Pod Żółtym Karpiem czy Pod Krukami. Nawet wieściorka znalazła się na herbie pewnej kamienicy na rogu ul. Floriańskiej i św. Tomasza. Natomiast kot – nie.

Ale choć minęło XVIII stulecie, czyli staropolskie czasy, kot nadal miał się dobrze i obrastał w przysłowia i określenia. W XIX wieku ówczesne słowniki odnotowały m.in. „kocie złoto” – rodzaj farby, „kocie oko” – gatunek ozdobnego kwarcowego kamienia, „kocia noga” – strzelba o jednej lufie, „kocie języki” – rodzaj kruchych ciastek, „koci łeb” – „kapuściana głowa” oraz „kocia muzyka”.

Dopiero w początku XX wieku na ziemiach polskich pojawił się „kociokwik” jako odpowiednik staropolskiego słowa „podchmiel” czy „głątwa” – czyli złe samopoczucie po przezięciu, nazywane już wcześniej przez Niemców *Katzenjammer*, czyli kocie zawrozczenie.

Co więcej, w latach 80. XX stulecia ukształtowała się (niepotwierdzony jednak przez Stolicę Apostolską) kult patronki kotów Gertrudy z Nijvel, średniowiecznej benedyktyńskiej ksieni z VII wieku. Od wieków wzywana była ona przeciw plagom myszy i szczurów, co skłoniło miłośników kotów do przypuszczenia, że właśnie tych zwierząt była opiekunką.

W Krakowie w XV wieku tuż za miejskimi murami, niedaleko ul. Siennej wzniesiono kościółek pod wezwaniem św. Gertrudy z Nijvel. Obok znajdował się niewielki cmentarz, na którym chowano ściętych skazańców.

Tak czy inaczej, w XX stuleciu kot wrócił do łask jako obraz elegancji i wdzięku. Wierzy się, że głaskanie kota pozbawia człowieka nerwowego napięcia, a do osoby bliskiej czasem zwracamy się „kotku”.



Ewa Danowska – dr hab. historii, PAU. Kraków w przeszłości... jest o czym pisać!

Powrót brygady szlifierza Karhana

Tekst: Paweł Głowacki **Zdjęcia:** Magda Hueckel (za zgodą Starego Teatru)

Sobota

Czym pocierać krowę, aby przemówiła? Na przykład – po ludzku, choć niekoniecznie. Czym pocierać krowę, by przemówiła, jakkolwiek chce, byle tylko otworzyła się, ujawniając ukryty sens?

Poniedziałek

W siedemnastą rocznicę śmierci Jana Kotta pytałem o pocieranie, gdyż był to Kotta fundamentalny gest krytyczny. Należy tekst – mawiał po wielokroć – koniecznie należy dany tekst pocierać innym tekstem, bo wtedy tekst pocierany – otwiera się. Lecz pytałem też dlatego, że wspomniana krowa nie jest krową prawdziwą. Jest iluzją. Jest elementem scenografii – częścią krajobrazu przedstawionego w sztuce *Rok z życia codziennego w Europie Środkowo-Wschodniej*, co ją Paweł Demirski napisał, zaś Monika Strzępka wyreżyserowała na Scenie Kameralnej Narodowego Starego Teatru. Nie jest krową, a manekinem krowy, pechowej krowy, która tragicznie zginęła pod tonami obalonej przez niewiernych wieży cerkiewnej. A że nie znalazł się dźwig, by podnieść prawosławne tony, więc o wyciągnięciu spod nich pechowej parzystokopytnej i godnym pochowaniu jej mowy nie było, oraz że nie zgłosił się nikt z rodziny, aby zamknąć jej oczy – przez trzy i pół godziny seansu Strzępki i Demirskiego zimna krowa patrzy na nas tęsknie spod obalonej wieży cerkiewnej, już naprawdę bez wytchnienia uśmiechając się krzywo wokół wywalonego ozora, której to krzywiźnie nie sposób się dziwić, wzięwszy pod uwagę nie tylko trudną sytuację, w jakiej znalazła się krowa, ale głównie fakt, że trudna sytuacja krowy niestety trochę potrwa. Ścisłe mówiąc – aż do ostatniej kurtyny w środku nocy.

Wtorek

Sztuczna krowa jest tedy kawałkiem scenografii. Czyli – znakiem jak gest, słowo lub milczenie. Tutaj wraca inna wielka lekcja Kotta. W teatrze tekstem jest nie tylko tekst jako taki, lecz w istocie – wszystko. Na scenie wszystko opowiada. Przygnieciona wieżą cerkiewną sztuczna krowa – to tycki tekst w pajęczynie wielkiego tekstu całości. Ale co znaczy ten tycki? Jakim tekstem potrzeć sztuczną krowę, aby się otworzyła, uwalniając sens? Może tym: „Dobrze już, dobrze, masz tu 70 pezów i więcej nie dój, bom nie krowa”? A inne, któ-

rych będzie ze sto, tekściki seansu Strzępki i Demirskiego? Choćby ta gruda ciepłuchnej plasteliny – ten stary chłoptas z brodą, co poraduje w sandałach do brązowego garnituru i płąsa wyłącznie tak, jak mu żona zapiszczy. Czy płasającą grudę otworzy to: „Ale gdyś tu się został, to idźże zaraz do Poselstwa, albo nie idź, i tam się zamelduj, albo nie zamelduj,

bo jeśli się zameldujesz lub nie zameldujesz, na znaczną przykrość możesz być narażonym, lub nie narażonym”? A oto w oklejonym złotą folią wnętrzu powalanej wieży cerkiewnej wisi poziomo na linach człeczyna w białych gaciach i białej koszulinie. Rozpostarłszy szeroko ramiona – dumnie zerka przed siebie. Niczym lecący orzeł... „Nie lubię ja, gdy Maśło zbyt Maślane, Kluski zbyt Kluskowe, Ja-

Czymże miał być seans w Starym Teatrze? Diagnostą mentalności polskiej dziś, ujawnieniem polskich garbów, analizą kuśtykania mózgow, marzeń, wyobrażeń, katalogiem nadwiślańskich tików nerwowych, pychy, głupoty oraz tandety.



Paweł Demirski *Rok z życia codziennego w Europie Środkowo-Wschodniej* w reż. Moniki Strzępki, Stary Teatr, od lewej: Michał Majnicz, Anna Dymna, Radosław Krzyżowski, leży Zbigniew W. Kaleta

gły zbyt Jaglane, a Krupy zbyt Krupne”. Czy potarty frazą tą bezlitosną orli Polak objawi sens choć o odrobinę mniej tandetny niż jego lot na linach?

Piątek

Trans-Atlantyk Witolda Gombrowicza? Owszem. Trzema wyłuskany mi zeń frazami pocie-

rałem we wtorek trzy tekściki seansu Strzępki i Demirskiego – i wystarczy tej detalicznej zabawy. Zlepianie stu pokracznych dziwaczności aktorsko-inscenizacyjno-językowych z kawałkami opowieści Gombrowicza zostawiam maniakom dzielenia włosa na czworo. Ja seans Strzępki i Demirskiego pocieram globalnie i nie bez powodu właśnie *Trans-Atlantyk*em.

Bo czymże miał być seans w Starym Teatrze? Diagnoza mentalności polskiej dziś, ujawnieniem polskich garbów, analizą kuśtykania mózgów, marzeń, wyobrażeń, katalogiem nadwiślańskich tików nerwowych, pychy, głupoty oraz tandety. A co Demirski uznał za swą naczelną inspirację? *Opis obyczajów za panowania Augusta III* Jędrzeja Kitowicza.

Niedziela

Jak fundamentalną chłostą garbów polskich jest *Trans-Atlantyk* – to wręcz wstyd przypominać, kiedy jest się Polakiem. Wystarczy jedynie dodać, że chłosta ta – co do istoty swojej – to nic nowego pod słońcem, gdyż naczelną garbą polską odwieczne są, niezmiennie i przechodnie. Plecami kolejnych pokoleń wędrują swobodnie tak, jakby to był poobiedni spacer aleją w cieniu starych dębów. Jaki jest więc sens te stare jak Polska garby polskie po raz enty serwować dziś, że tak powiem, na goło, na surowo? Żaden. Liczy się tylko to, co zawsze. Styl chłosty. Nie odwieczny garb, a intonacja bata. Intonacja *Figlików* Reja lub *Fraszek* Kochanowskiego, strof Krasickiego i scen Fredry, *Wesela* i *Wyzwolenia* Wyspiańskiego, *Balu w operze* Tuwima, śpiewanych felietonów Młynarskiego, cudownego, legendarnego songu *Taka gmina* Przybory i Wasowskiego. *Opis obyczajów* Kitowicza nie jest żadną chłostą, jest zacną, malowniczą etnografią. Dopiero Mikołaj Grabowski, w troskliwy nawias biorąc barokowość narzecz Kitowicza, zmienił na scenie omszałą zacność w bat bezlitosny dla teraźniejszości. Na początku *Trans-Atlantyku* był *Opis obyczajów*, jeszcze *Pamiętniki Paska*, zapewne też *Pamiętniki Soplisy* Rzewuskiego, cała bombastyczna elegancja tamtego bajdurzenia sarmackiego, cały mięsiasty barok niegdysiejszych gawęd. To i coś jeszcze. Ucho Gombrowicza. Gombrowicza pewność, że istotne jest nie „co”, lecz „jak”. Że tylko intonacja może zadać ból prawdziwy. Intonacja, a nie garby podane na surowo, bez panierki.

Poniedziałek

Doskonałe ucho Gombrowicza wybrało pastisz sarmackiego baroku, genialna ręka Gombrowicza stworzyła arcydzieło pastiszu. Efekt? Garby do dziś nienawidzą *Trans-Atlantyku*. A co wybrali Strzępka i Demirski...? Piszę słowa te w Wigilię, więc wielkoduszność powinienem zachować. Tak – lecz jak? Skoro po trwającym trzy i pół godziny dziele Strzępki i Demirskiego opuszczałem widownię umordowany tak jak wtedy – w pierwszym wcieleniu – kiedy jako Łysek pokład *Idy* opuszczałem po dniu wleczenia wagonów z węglem – to niby jak mam teraz wykrzesać z siebie wielkoduszność?

Środa

Kiedy *Rok z życia codziennego w Europie Środkowo-Wschodniej* pocierać *Trans-Atlantyk*em, opowieścią całą, spójną i czystą, czyli

formą po prostu – dzieło pocierane okazuje się być zupełną nieobecnością formy, jakiegokolwiek, choćby zgruchotanej. I, że dla jasności dodam, to samo by było, gdyby tarło się fraszką, figlikiem, *Taką gminą* lub *Balem* w operze. Dzieło przypomina sennie przewalającą się, na 210 minut długą wydumą upstrzoną wspomnianymi wyżej zdankami aktorsko-inscenizacyjno-językowymi w liczbie stu,

które od czasu do czasu klecą się w szczyrą prawdę o polskich garbach, prawdę banalną jak dwa plus dwa i podaną na surowo. Owszem, dwa i dwa to cztery. Lecz ileż można słuchać, że dwa i dwa to cztery, zwłaszcza kiedy człek dzielący się ze światem tą wstrząsającą rewelacją czyni to z miną nastroszonego demaskatora?

Piątek

Socrealizm? Czyż nie polegał on na ukazywaniu robotnikowi prawdy życia robotnika – na surowo właśnie, w skali jeden do jeden, szczerze, bez ozdobników? Potarta *Trans-Atlantyk*em sceniczna wyduma Strzępki i Demirskiego okazuje się być w istocie *Brygadą szlifierza Karhana*. „Wy nam nie pokazujcie, jak my żyjemy, bo jak my żyjemy, to my le-

Po trwającym trzy i pół godziny dziele Strzępki i Demirskiego opuszczałem widownię umordowany tak jak wtedy – w pierwszym wcieleniu – kiedy jako Łysek pokład *Idy* opuszczałem po dniu wleczenia wagonów z węglem.



Paweł Demirski *Rok z życia codziennego w Europie Środkowo-Wschodniej* w reż. Moniki Strzępki, Stary Teatr, od lewej: Michał Majnicz, Anna Dymna, Szymon Czacki, Dorota Pomykała, Dorota Segda, Zbigniew W. Kaleta, Małgorzata Zawadzka

piej od was wiemy! Wy nam pokazujcie, jak my nie żyjemy!” Ponoć to usłyszał Gustaw Holoubek we wczesnej aktorskiej młodości, w trakcie obowiązkowej pogawędki z widzami po przedstawieniu. Nie łudźmy się. Cudowna epoka, kiedy najprostszy robotnik wiedział, na czym teatr polega naprawdę, minęła. Amen.



Paweł Głowacki – krytyk teatralny i recenzent kultury, postać barwna.

Moje życie słodko-gorzkie

Wysłuchała Elżbieta Wojnarowska Zdjęcie: Marta Stefańczyk

Elżbieta Zechenter-Spławińska: Ratuje mnie poczucie humoru, dostrzeganie nonsensu i absurdu w otaczającym nas najlepszym ze światów.



Elżbieta Wojnarowska: Opowiedz o swoim rodzinnym domu. Twój ojciec, Witold Zechenter, był, począwszy od lat 30. ubiegłego wieku, znanym w Krakowie poetą, twórcą słuchowisk radiowych, felietonistą i popularnym fraszkopisarzem oraz satyrykiem. Elżbieta Zechenter-Spławińska: Dom był dziewiętnastowiecznie patriarchalny. Ojciec decydował o wszystkim. Mama i ja nie miałyśmy prawa głosu (nie wspominając o jamniczce Tymusi). Ale dzięki ojcu dom był pełen gości. Poznałam wspaniałych ludzi. Często wspominałam moją nauczycielkę gry na fortepianie Kazimierę Treterową, która uczyła mnie nie tylko gam, ale można powiedzieć – patrzenia na świat, Wisławę Szymborską, z którą byłam przez lata w dużej zażyłości, Kornelę Filipowicz i Adama Włodka (dwóch mężczyzn jej życia!), moich serdecznych przyjaciół.

Jaki wpływ miała na ciebie atmosfera w domu z lat dziecińczych?

Bardzo duży. Obawiam się, że nadal patrzę na świat przez sporządzone przez ojca okulary. Oceniam ludzi przez pryzmat poprawności językowej i dobór czytanych lektur, źle znoszę nasz ludzki (nie ludzki) stosunek do zwierząt i natury. Jak on uważam, że jesteśmy jedynym gatunkiem, który niszczy własne środowisko i samego siebie. Bo mój ojciec był człowiekiem smutnym, chociaż piął świetne literackie parodie i fraszki.

Jak odbierałaś ojca jako dziecko?

Byłam nim zachwycona. Czytał mi godzinami książki, opowiadał wspaniałe historie (w nich na przykład wilk przeprowadzał Kapturka przez dziki las do szczęśliwie niejedzonej babci). Nawet koszmar niemieckiej okupacji i dwukrotne aresztowanie ojca było jedynie złem przejściowym. Żartował, że cokolwiek ojciec czyni, jest słuszne. A ja wierzyłam, że tak jest naprawdę.

A potem?

Konflikty zaczęły się, gdy zaczęłam wyrażać z dzieciństwa. Miałam wrażenie, że ojciec zawiodł. Nie pochwalał moich wyborów. Krytykował szkolne przyjaciółki, nawet na pierwszą randkę zjawiałam się w towarzystwie ojca! Co prawda nie skończyłam wtedy jeszcze szesnastu lat (w tamtych czasach miało to pewne znaczenie), trudno się jednak z tym żyło. Po maturze chciałam pójść na Akademię Sztuk Pięknych, ale ojciec wybrał mi inny kierunek studiów: polonistykę. Usiłowałam powalczyć o historię sztuki, ale stwierdził, że nie wyobraża sobie mnie jako kustosa w muzeum. Skończyłam więc filologię polską i – uciekałam z domu.

Ucieczka z domu to poważna sprawa...

Ale nie miałam wyjścia. Od jakiegoś czasu moje życie zaczęło się toczyć jak w kiepskim scenariuszu. A ucieczka? Stało się to, gdy pewnego dnia zwróciłam się do ojca z proś-

bą o radę w sytuacji, która dla mnie wtedy wydawała się bez wyjścia. A on wybuchnął strasznym gniewem. Krzyczał okropnie... W tym momencie wszedł do pokoju mój chłopak. I stał się mimowolnym świadkiem tej nieszczęsnej sceny. Przyjechał bez wiedzy z Łodzi (studiował w Szkole Filmowej, zwanej dziś Filmówką) i tego samego dnia wyjechaliśmy z Krakowa.

Weszałaś w tę dorosłość łatwo czy trudno? Dawiałaś sobie z nią radę?

Trudno. Nie winię nikogo, nawet siebie. Dorosłość to poważna sprawa. Kołysze jak huśtawka. W górę, w dół. Poznaje się smak pomyłek, porażki. I znów unosi.

Kiedy zaczęłaś na serio myśleć o pisaniu?

Z pierwszymi, pozał się Boże, wierszami przysłałam do ojca. Ale powiedział, że nie jest w stanie ocenić ich obiektywnie, że tak jak chirurg nie operuje własnego dziecka, on nie może wypowiadać się o utworach swojej jedynaczki. Poleciał mi udać się do profesora Henryka Markiewicza. Dołączyłam jeszcze trochę poetyckiej prozy i długo czekałam na werdykt. Profesor radził mi pomyśleć raczej o prozie... Ale kiedyś podczas wakacji bawiliśmy się z moim chłopakiem w wesołym miasteczku i on pstrykał mi jak zwykle zdjęcia. Najśmieszniejsze były te z gabinetu krzywych luster. I nagle, po wyjściu, zobaczyliśmy kalekę, prawdziwego, wyglądał jak my przed chwilą w tych krzywych zwierciadłach. To mnie aż zatrzymało. Powiedziałam wtedy: dla niego nie ma wyjścia z gabinetu śmiechu. I usłyszałam: zapisz to, może będzie z ciebie poetka.

Czy zdanie ojca miało dla Ciebie znaczenie?

Tak, ogromne. I to nie tylko w sprawach literackich. Czy uwierzysz, że do dziś mieszkam w dziesięciopiętrowym bloku i nie mam, jak chciałam, widoku na wieżę Mariacką, ratusz i Wawel z panoramą Tatr w tle, bo ojciec wyznaczył nam trzecie piętro, jako najwyższe, gdzie mogą zamieszkać z dzieckiem? Mój syn ma teraz 55 lat, mieszka na prowansalskiej wyspie w słońcu Południa, a ja mam ciemne mieszkanie na „bezpiecznym” trzecim piętrze. Chociaż ma to też dobre strony, tuż przed oknami rośnie jesion, są akacje i lipy. W drzewach mamy pełno ptaków (nawet przylatuje dzięcioł pstry!), więc w sumie może to i lepsze niż te krakowskie widokówki?

Twoje wiersze są bardzo emocjonalne, także teksty piosenek. Co bardziej Cię inspiruje: miłość, a może ból?

Inspiruje mnie wszystko. Przeżyte, zasłyszane, podpatrzone. I stale walczę ze swoim ego, żeby zanadto nie panoszyło się w wierszach. W piosenkach – może.

Co czułaś, słysząc swoje utwory śpiewane przez Wawe i widząc ich niesłychaną popularność?

Oczywiście bardzo się cieszyłam. A raz to się nawet wzruszyłam, gdy w krakowskiej filharmonii, podczas jubileuszowego koncertu

Waweli, cała sala zaśpiewała razem z Jankiem Wojdakiem *Zostań z nami, melodio*.

Piszesz dla dorosłych, dla dzieci, wiersze, prozę, teksty piosenek. Duży rozrzut. W której z tych dziedzin czujesz się najlepiej?

Na pewno w wierszach. Przecież one wiedzą o mnie wszystko, potrafią przewidywać pewne życiowe zdarzenia, reagują jak doświadczony psychoterapeuta i, co ważne, pozwalają mi na dystans do siebie, niezbędny, jak się wydaje, w każdej twórczości.

Życie przynosi rozczarowania, zawody, ale też fascynacje. Szklanka jest do połowy pełna czy pusta?

Pełna, Elżbietko, pełna!

Potrafisz się zachwycać. Co więc uważasz za piękne? Czym według Ciebie jest piękno?

Jest piękno „zewnątrzne”, gdy łązisz po galerii obrazów na przykład, ale też gdy siedzisz na gorczańskiej polanie w czerwcu, w zapachu kwitnących ziół i rozgrzanych w słońcu poziomek. I jest mniej oczywiste piękno, ukryte w nas. Które też powinniśmy zauważać i umieć nim się zachwycić...

Słodczy i gorycz mieszają się u każdego w innych proporcjach. U Ciebie co przeważa?

Zdecydowanie słodczy, radość i dobre samopoczucie. Ratuje mnie także poczucie humoru, dostrzeganie nonsensu i absurdu w otacza-

jącym nas najlepszym ze światów. Takie jest to moje życie, słodko-gorzkie, jednak z przewagą pysznych miętówek, które jak nie życie mnie, to sama je sobie funduję.

Jesteś poetką z ogromnym dorobkiem. Co radzisz swoim podopiecznym, młodym, początkującym poetom?

Żeby unikali częstochowskich, gramatycznych rymów, banalnych tematów i gadulstwa. **Wkrótce ukaże się Twój następny tomik. Będzie szczególnie.**

Chyba tak. Ten szesnasty już zbiór będzie mieć więcej mikroopowiadań, krótkich dwuczy trzywersowych notatek, więcej w nich jest o innych, mniej o mnie.



Elżbieta Wojnarowska – z wykształcenia jest przyrodnikiem i... scenarzystką. Ale również pieśniarką i aktorką (m.in. należała do zespołu Teatru STU), autorką powieści, baśni dla dzieci, sztuk teatralnych i scenariuszy. W końcu – a może przede wszystkim – poetką.

Elżbieta Zechenter-Spławińska

Odbicie w rzece
niewyraźne
płynne i chybotałiwe
na tle gałęzi
na tle chmur
pod słońce
pod wiatr

ale Narcyz
zakochał się w tym,
co chwilowe
i zmienne

Światem rządzi
Wielka Niepełnosprawna:
ślepa i głucha Miłość
A my
jak dawni Aztekowie
stale składamy Jej ofiary
z żywych
bijących
serc

Stworzenie Boga

Ta Nike z Luvru i ta z Rzymu
Ta nagrodzona i warszawska
Ta fidiuszowa i wyspiańska
(już prawie nasza narodowa)

Jakby nie było nic prócz zwycięstw
Jakbyśmy nigdy nie przegrali

Więc stań się Boże klęski naszej
weź twarz znajomą i strój szary
starej kobiety zapłacz płaczem
wzuj parę butów nie do pary
Skrzydeł ci żadna moc nie przypnie
będziesz na Olimp wchodził z trudem
niechętny bogom
zbędny ludziom
ale prawdziwy z krwi i kości
ale tak znany jak płaszcz stary
prawy potomek każdej wojny
patron starości
i miłości

Całowali się w ślepej uliczce –
żeby było bez świadków.

Ewa nie chce już
wrócić do Raju.
Mogłaby nie przeżyć
ponownego wygnania.

Jastrząb kołuje
coraz wyżej i wyżej
drżycie polne myszy
i salamandry – herb tej ziemi
ekstrawagancja stroju
tutaj nie popłaca.

szybowiec kołuje
coraz wyżej i wyżej
nauczył się tej sztuki
od jastrzębia
ale wznosi się w niebo
dla samej wolności lotu

myśli kołują
coraz wyżej i wyżej
nauczyły się od szybowca
bezinteresownej
radości myślenia
o niczym

spada znaczone brązowo
jastrzębie pióro

Nie oddalajmy się od siebie.
Są odległości tak niewyobrażalne,
że może nam nie starczyć czasu,
żeby je pokonać.

Pokolenie moich rodziców
zaliczyło dwie wojny światowe.
Moje pokolenie – jedną.
Idzie ku lepszemu (?)

Jeżeli dojrzałość oznacza umiejętność roz-
liczenia się z własną przeszłością, to przy-
puszczalnie nigdy nie dojrzeję, z niczym się
nie rozliczę. A już najmniej ze sobą

Gdy król jest nagi

Gdy Król jest w zbroi
chylę głowę
Gdy jest w koronie
oczy mrużę
Gdy Król daleko
tęsknię za nim
białe gołębie
ślę za Królem
Kiedy powraca
włosy czeszę
w oknie głębokim
pilnie czuwam
znam tyle lęku
co odwagi
Gdy Król jest nagi
kocham Króla

Nazywam się Kot...

Tomasz Kot

Tekst: Maria Malatyńska Zdjęcie: Łukasz Bąk/za zgodą Kino Świat

Przywitanie *à la* Bond nie pojawiło się tu przypadkowo.

Tak by się pewnie przedstawił nasz aktor Danielowi Craigowi, gdyby ten nie stchórzył i nie uciekł przed brawurową propozycją Danny'ego Boyle'a, potencjalnego reżysera nowego filmu z tej serii, by do roli „czarnego charakteru”, przeciwnika 007, zatrudnić rewelacyjnego aktora z Polski. Na razie nic z tego nie wyszło. Ale filmowy świat i tak stoi otworem przed Tomaszem Kotem.

Wcześniej czy później musi nastąpić kontakt między aktorem a zachodnimi rynkami. Ostatnim biletom wstępu była *Zimna wojna*. Wielcy światowego kina zachwycili się filmem Pawła Pawlikowskiego. Nagrodzony

Czy reżyser „od Bonda” wiedziałby, jak wykorzystać, na przykład, oczy Kota?

w Cannes, obfotografowany na całym świecie, najpierw wyciągnął pod światła jupiterów aktorkę, czyli naszą Joannę Kulig. Obwołana nową Jeanne Moreau pojawiła się na okładkach najważniejszych czasopism filmowych na świecie i jest szykowana przez entuzjastów co najmniej na Oscara. Świeżość i piękno można fotografować do woli. Podda się sesjom łatwo, bo kamery kochają urodę, harmonię i widoczną przez wizjer... nadzieję. Nadzieję na sukces. Zresztą symptomy już są: odzywają się prestiżowe agencje aktorskie.

Mężczyznom bywa trudniej. Trzeba mieć na nich koncept. Propozycja angażu do nowego Bonda była takim pomysłem. Bo doświadczony zachodni reżyser szóstym zmysłem filmowym dostrzegł w mocnej, charakterystycznej twarzy Tomasza Kota szansę na „czarny charakter”. A dlaczego nie wypało? Może przy okazji odkryto coś innego? Gdy światowe media zestawily dwa zdjęcia: Kota i Daniela Craiga, trudno było nie zauważyć, że twarz naszego aktora jest i bardziej wyrazista, i ciekawsza, i bardziej inteligentna. A nawet... przystojniejsza. Czy można się

więc dziwić, że Craig poczuł niebezpieczeństwo? Ale niech Tomkowi będzie jak najlepiej! Jest, podobnie jak Joasia Kulig, absolwentem naszej krakowskiej szkoły teatralnej, więc chwalimy się nim, dostrzegamy wielki talent, życzymy mu jak najlepiej. Bond zapewnia natychmiastową popularność – to prawda. Ale czy rozwija duszę aktora? I to takiego! Czy reżyser „od Bonda” wiedziałby, jak wykorzystać, na przykład, oczy Kota? Czy potrafiłyby one, zgodnie z definicją czarnego charakteru, być okrutne, złe, odpychające? Bo Kot potrafi imponująco grać oczami. Dawno nie było w polskim kinie takiego bogactwa emocjonalnego schowanego w oczach, jakie można odczytać u tego aktora. Wystarczy popatrzeć pod tym względem właśnie na *Zimną wojnę*. Aktor gra w niej samymi oczami. To tam jest czułość, miłość, zachwyty, zaczarowanie, nieskończona cierpliwość i brak jakiegokolwiek kalkulacji. I tylko raz ta emocja nie potrafi się w oczach pomieścić i uzewnętrznia się w najbardziej bezkompromisowy sposób: w scenie szalonej, rozpaczliwej gry na fortepianie. Rozpacz kompozytora po rozstaniu z dziewczyną atakuje muzyką genialną i nieopanowaną. Znakomicie to zostało pomyślane i z pasją odegrane. Nowocześnie i oryginalnie. Ale to przecież świadomie użyty środek aktorskiego warsztatu. Łatwiej widoczny u Kota, gdyż przy ograniczonej przestrzeni ekranu świetnie wykorzystuje to, że jest często „za duży” (ma prawie dwa metry wzrostu). A wobec maleńkiej, ruchliwej partnerki taka gra jest jedyną wyrazistą odpowiedzią postaci.

Ostatnio jest tak, że pisząc o Tomaszu Kocie, zachwycając się nim, jego warsztatem, instynktem aktorskim, bezbłędnym wchodzeniem w postać, wspomina się głównie o trzech filmach. O *Zimnej wojnie* – to jasne, wszak otworzyła przed aktorem zachodni świat filmowy. I to tak, że liczne propozycje ze świata, które podobno już dostaje, zawoocowały tym, że aktor podpisał właśnie kontrakt z jedną z najbardziej prestiżowych agencji aktorskich na świecie – United Talent Agency.



Niewiele wcześniej, bo w 2015 roku był inny film. To *Bogowie* Łukasza Palkowskiego – portret profesora Zbigniewa Religi z czasów jego pierwszych przeszczepów serca. Opo-

Kino kocha Tomasza Kota i pozwala mu zawsze zaistnieć aktorsko.

wieść o pierwszym oddziale kardiochirurgii z Tomaszem Kotem w roli profesora to był majstersztyk realizatorski (reżyser niedawno był debiutantem), ale przede wszystkim aktorski. Kot po prostu był profesorem Religą. Miał jego sylwetkę, podniesione ramiona i lekkie przygarbienie, rytm poruszania się, mimikę, ręce, nawet inteligentny, pełen humoru i pasji wzrok profesora. I chociaż twórcy filmu lojalnie przyznawali, że podobnie jak publiczność znali tylko „starego profesora”, który pojawiał się na sejmowych korytarzach, a film jest portretem młodego kardiochirurga, to przecież nikt nie mógłby sobie wyobrazić, że młody profesor wyglądałby inaczej i był inny niż przedstawiony przez Tomasza Kota. Taka była w tym filmie siła gry aktorskiej i taka była wiarygodność owego szpitalnego świata, który został stworzony na ekranie. To znakomity i piękny film.

Ale gdy posypały się na film, a przede wszystkim na Tomasza Kota najwyższe nagrody, natychmiast przypomniano, że przecież to ten sam aktor, który zadebiutował wstrząsającą postacią Ryszarda Riedla, zmarłego twórcy zespołu Dżem, charyzmatycznego piosenkarza i muzyka. I to jest ten trzeci film (*Skazany na bluesa*, 2005 r.), o którym się mówi najchętniej. Tomasz Kot nie bał się zagrać postaci idola, choć ten poza własnym środowiskiem pokoleniowym i lokalnym był mniej znany. Aktor miał jednak od początku siłę, by wyciągnąć go z tej lokalności, pokazać, jak barwną, niejednoznaczną i tragiczną był postacią, naznaczoną uzależnieniem narkotykowym. Aktor nie bał się stanąć z tym wizerunkiem wobec żony Riedla i jego dzieci (syn, Sebastian, jest również wokalistą), jego fanów, a także wobec działającego nadal zespołu, mierząc się nawet z nagraniami, które w tym filmie są oryginalne, Riedlowe. Bardzo pomógł mu w tym reżyser. Jan Kidawa-Błoński, który pochodzi z tego samego miasta i pokolenia co Riedel i znał go niemal od dziecka, stworzył tu specyficzny i świadomy klimat dla tego obrazu. Jest to klimat błysku, nie-dookreślenia portretu, choć towarzyszy mu mocne tło. A dokładniej – faktura tła. Owe brzydkie, szare, nawet „brudne”, pozbawione jakiegokolwiek perspektywy opisy Śląska jako środowiska naturalnego, które wydało kogoś, na przekór – barwnego. Tę barwę Kot pokazał brawurowo. Błyskotliwe występy nakładały się tu na wspomnienia, prywatność mieszała się z baśniową wyobraźnią, a sceny odraza-

jącego nałogu z idealnym, świadomie banalnym marzeniem o białym koniu. Nie od dziś wiemy, jak wiele może dokonać świadomy warsztat filmowca. To wszystko pomogło Tomkowi. Spowodowało, że powstał obraz gęsty znaczeniowo. Lecz mocna, plastyczna, zdeterminowana postać idola to już jego zasługa. A to był debiut. Od pierwszego więc pojawienia się na ekranie zapowiadał się jako znakomity aktor. I to się spełniło. Ba, to się spełnia z każdym filmem!

Tomasz Kot zagrał w ponad 30 filmach, w kilkunastu serialach, zajmuje się też dubbingiem. Jest od lat aktorem ogromnie czynnym i bardzo wszechstronnym. Gra w filmach bardzo różnych. I w takich, o gatunku których mówią same tytuły, jak *Disco polo*, *Testosteron*, *Jak się pozbyć cellulitu* czy *Wojna żeńsko-męska*. I w takich, po których często pamięta się tylko jego obecność lub jakiś zachwycający duet z jego udziałem. Tak było w subtelnym *Erratum*, gdzie wystąpił w roli

Krakowską szkołę teatralną skończył w 2001 roku. Ma dopiero 41 lat. I leż jeszcze można zagrać!

skłóconego z ojcem od lat syna. Scena pojednania obu mężczyzn, odbywająca się bez słów, to jedna z najpiękniejszych i najbardziej wzruszających scen w polskim kinie. Bo kino kocha Tomasza Kota i pozwala mu zawsze zaistnieć aktorsko niezależnie od poziomu filmu. Nieraz bywa tak, że pojawia się ocena: film średni, ale ratuje go Tomasz Kot. Tak było nawet po filmie *Życie nie umiera*, poświęconym pamięci zmarłego na raka młodego wrocławskiego aktora Tadeusza Szymkówna. Wychudzony, z głową bez włosów i z palącymi oczami stworzył postać głęboką, zupełnie pozbawioną sentymentalności, a będącą prawdziwą pochwałą życia.

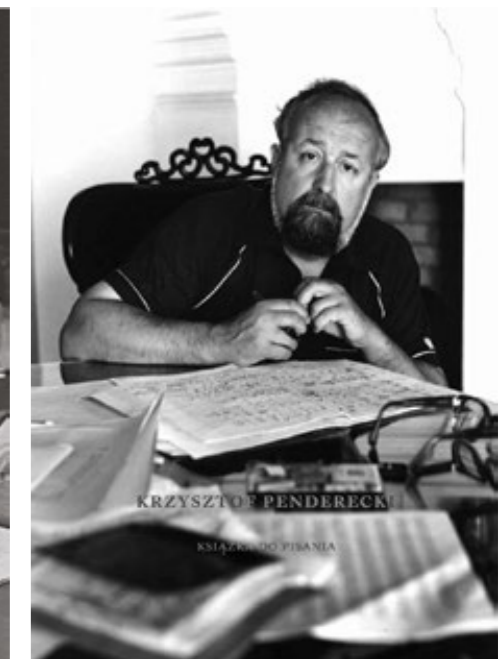
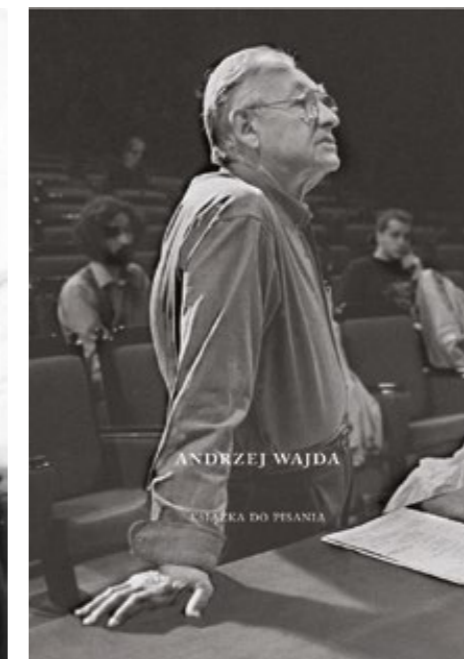
Długą drogę przeszedł ten chłopiec z Legnicy, choć była to zawsze droga w stronę sceny. Debiutował w legnickim Teatrze Dramatycznym, jeszcze przed szkołą (w sztuce *Panna Tutli Putli*), ale już ze świadomością, że aktorstwo to jego miejsce. Krakowską szkołę teatralną skończył w 2001 roku. Ma dopiero 41 lat. I leż jeszcze można zagrać! I oby napotkał jak najwięcej wspinających propozycji! Życzymy samych sukcesów! I dzięki za wszystko, co było dotychczas!



Maria Malatyńska – miłośniczka kina, pasjonatka filmu, recenzentka kulturalna.

Podróż przez kraj czy przez krainę umysłu – co to ma za znaczenie? Notuj rzeczy, które widzisz i których nie widzisz. Puste miejsca wypełniaj możliwościami. Szukaj natchnienia w najdoskonalszym świecie wyobraźni, podejmij pełną głębi grę wędrowca, filozofa i artysty, który żyje w każdym z nas. Ciesz się wyobrażeniem własnego wymyślonego miejsca. Naszkicuj krajobraz, florę i faunę, deklarację własnego najintymniejszego domowego ogniska. Wyczaruj przygody. Załóż dziennik snów. Otwórz się na nową hipotezę lub wiersz, na swój nowy wynalazek, nowy wspaniały pomysł. Niech to będzie coś niezwykłego, coś zaczarowanego, coś, w co się da uwierzyć, coś twojego. Wytocz drogę wstecz i drogę naprzód. A potem narysuj mapę, która pozwoli ci tę trasę zapamiętać. No bo do czego jest

KSIĄŻKA DO PISANIA?



KSIĄŻKI
DO PISANIA

AUSTERIA

LIBER AD SCRIBENDUM
ΒΙΒΛΟΣ ΓΡΑΠΤΕΑ
ספר לכתובה

www.austeria.eu

Katarzyna Gärtner

Wysłuchał Jacek Balcewicz Zdjęcie: Jacek Balcewicz



trafiłam na pierwsze swoje *jam session* na Kalatówkach, na krakowskie Zaduszki Jazzowe, aż w końcu na Jazz Jamboree do Warszawy. Za co ostatecznie wyrzucili mnie ze szkoły muzycznej w Krakowie, tak że maturę musiałam zdawać w Warszawie. Bo takie były wtedy realia. Jazzu w szkole nie chcieli.

Do Krakowa jednak powróciłam z mszą bitową *Pan przyjacielem moim*. W styczniu 1968 roku mszę zagrali pierwszy raz Czerwono-Czarni w kościele św. Krzysztofa w Podkowie Leśnej, gdzie proboszczem był ks. Leon Kantorski. A w Krakowie zagraliśmy ją w Filharmonii. Na afiszu była *Msza Es-dur* Franza Schuberta i ja ze swoim dziełem. A na estradzie grupa big-bitowa Czerwono-Czarni, chór i orkiestra Filharmonii oraz soliści, a za pulpitem dyrygentem sam Jerzy Katlewicz. Na widowni hippisi, księża i działacze partyjni, a wśród nich... kardynał Karol Wojtyła, metropolita krakowski, sprawca całego wydarzenia, które poszło w świat. Dzięki niemu mogliśmy wyprzedzić właśnie w Krakowie epokę rocka symfonicznego o co najmniej dekadę. Prawdopodobnie był to pierwszy koncert symfoniczny na świecie z towarzyszeniem muzyki gospel i rhythm and bluesa zagrany w filharmonii. Dzisiaj jestem pewna, że to szkoła prof. Nazarowej przyczyniła się do tego, że jako 26-latką potrafiłam napisać dzieło na 150 wykonawców.

Kraków jako trzeci – zaraz po Wrocławiu i Łodzi – w 1972 roku na deskach Teatru im. Juliusza Słowackiego wystawił moją śpiewogrę *Na szkle malowane*. Kraków zorganizował mi też dwa benefisy. Pierwszy 20 lat temu w Teatrze STU u Krzysztofa Jasińskiego, a drugi z cyklu *Kod Mistrzów* na scenie Grotowski. Mam nadzieję, że wrócę już wkrótce do Krakowa – kolejny raz z mszą kanonizacyjną na cześć Jana Pawła II *Missa Santo E Gia Santo*, która zawiera m.in. stałe części mojej mszy sprzed 50 lat. Napisałam to dzieło w podziękowaniu dla papieża za tamten sukces sprzed lat, który otworzył mi drogę na świat. W roli głównego solisty wystąpi Marek Piekarczyk – moje odkrycie muzyczne sprzed lat.

Urodziłam się w Myślenicach, rodzice w poszukiwaniu lepszego jutra zaraz po wojnie wyjechali na Ziemię Zachodnie do Świdnicy. Ja jednak wróciłam do Krakowa do szkoły muzycznej. Zamieszkałam u rodziny i chodziłam do Liceum Muzycznego, które wtedy mieściło się przy Krowoderskiej. Tu duży wpływ wywarła na mnie profesor Krystyna Nazarowa, późniejsza rektor Akademii Muzycznej. Bardzo mi imponowała tym, że jako kobieta komponuje muzykę, to ona pokazała mi, jak pisać muzykę na wielką orkiestrę symfoniczną. Tam poznałam Andrzeja Dąbrowskiego, Wojciecha Karolaka i Andrzeja Zaryckiego, z którym siedziałam w jednej ławce. Oni grali jazz i ja też chciałam. Tak

Katarzyna Gärtner – kompozytorka, aranżerka i pianistka. Jej muzyczny życiorys można zawrzeć w trzech liczbach: 1320 piosenek (w tym m.in. *Eurydyki tańczące* Anny German, *Bądź gotowy dziś do drogi* Haliny Frąckowiak, *Małgośka* Maryli Rodowicz), 100 programów telewizyjnych i milion sprzedanych płyt. Autorka muzyki do musicali: *Na szkle malowane* (uznawany na Słowacji za operę narodową), *Rumcajs*, *Pomsta* (*Zemsta* do libretta Fredry po śląsku),

Pozłacany warkocz, oratorium *Zagrajcie nam dzisiaj wszystkie dzwony*. Jest także autorką najczęściej w Polsce granego motywu muzycznego, *Baranku Boży* z mszy bitowej, który wszedł na stałe do kanonu muzyki sakralnej. Można założyć, że każdego dnia w Polsce odtwarzany jest co najmniej 20 tys. razy, w czym pobiła rekord swojego mentora Władysława Szpilmana – autora sygnału Polskiej Kroniki Filmowej.

Otwarta brama

Tekst: Mieczysław Czuma

W herbie Krakowa widnieje otwarta brama. To znak, że miasto z radością wita każdego gościa i wciąż oczekuje na nowych przybyszów – tych z bliska i tych z daleka. Tak jest dziś, tak było przez stulecia.

Nie dla wszystkich niebiosa były jednakowo łaskawe, nie każdemu dane było urodzić się w Krakowie. Na mnie spłynął z wysokości strumień błogosławionych łask: przejrzałem na oczy właśnie w Krakowie i to na Półwsiu Zwierzynieckim, pępku wszechświata. A przecież z takim rodowodem pieścić w sercu najlepsze uczucia do tych wszystkich, którzy choć na świat przyszli z daleka od Wawelu, z tym właśnie miastem związali późniejsze losy, wzbogacali je swoją pracą i talentem. Tacy sąsiedzi na najwyższy szacunek. Bo moja metryka skazuje mnie na obowiązkową, potwierdzoną nakazem urzędowym dożywotnią miłość do tego miasta. A dla tamtych była to sprawa osobistego i niczym nieprzymuszonego wyboru.

Od stuleci Kraków wabił do siebie rzesze przybyszów. Niemcy przynieśli tu tradycje cechowe i samorządowe. Włosi nadali miastu renesansowo-barokowe oblicze (teraz twierdzą, że to najbardziej włoskie z polskich miast). Żydzi byli królewskimi bankierami, ale inspirowali także liczne smaki tu-tejszej kuchni. A oprócz nich jeszcze Węgrzy, Szkoci, Czesi, Holendrzy, Rusini, Austriacy. I nie tylko. Wszyscy pozostawili tu ślady, powstał z tego smakowity stop wielokulturowy.

Wielka trójca naszych ojców założycieli, to jest zasadźców, którzy wprowadzili tu oparte na wzorach zachodnioeuropejskich zasady prawa magdeburskiego, to przybysze ze Śląska: Gedko pochodzący z Wrocławia, Jakub z Nysy i Dytmar, także z Wrocławia. W zapoczątkowanym wtedy (czyli w roku 1257) peletonie włodarzy miasta – kolejnych sołtysów, wójtów, burmistrzów, prezydentów – zdecydowaną większość stanowili właśnie owi krakowianie z własnego i nieprzymuszonego wyboru. Tak samo było w przypadku rektorów Uniwersytetu Jagiellońskiego, nie inaczej przedstawiała się układanka arcybiskupów kurii biskupiej. Warto przypomnieć jeszcze, że od początków doby autonomii galicyjskiej (rok 1866) do dziś Kraków miał (wyłączając lata okupacji) 36 prezydentów, ale tylko sześciu spośród nich to rodowici krakowianie.

I w tym miejscu przywołuję tytuł tego felietonu. Otóż odnoszę wrażenie, że Kraków coraz bardziej wstydzi się swojego herbu i jego otwartej bramy. Od pewnego czasu miasto coraz bardziej ochoczo legitymuje się symbolem graficznym, czyli logo. Ale widać, że ten niby nowoczesny rysunek ulic wokół Rynku także i samych twórców pozostawia w niedosyć. Czy aby sam w sobie jest tym, o co chodzi, skoro każdorazowo podpierac go trzeba wielkogabarytowym stemplem o jednoznacznym przekazie: KRAKÓW. Nie, nie jestem wrogiem znaków wyra-

Niemcy przynieśli tu tradycje cechowe i samorządowe, Włosi nadali miastu renesansowo-barokowe oblicze, Żydzi byli królewskimi bankierami. A oprócz nich jeszcze Węgrzy, Szkoci, Czesi, Holendrzy, Rusini i Austriacy. Wszyscy pozostawili tu ślady.

żających prosty komunikat o związku z miastem. Dobre to dla breloczków, garnuszków, długopisów. Ale dlaczego tym znakiem pieczętowane są plakaty i inne materiały zachęcające, na przykład, do zwiedzania monumentalnej wystawy z dorobkiem Stanisława Wyspiańskiego?

Herb ma wiekowy rodowód, pierwszą o nim wzmiankę zamieścił Janko z Czarnkowa pod datą 1370 (obowiązującą wersję przyjęto w roku 1937). Teraz z ust zwolenników logo słyszy się, że nie przemawia do współczesnego odbiorcy. Że nie ma w nim tak jednoznacznego komunikatu, jaki przekazuje na przykład opiekuńczy anioł w herbie Torunia, waleczna syrenka w herbie Warszawy czy mocarny niedźwiedź w herbie Berlina. Że zmieniły się skojarzenia związane z murem obronnym, dominującym w tym historycznym krakowskim znaku. W średniowieczu mur kojarzył się z bezpieczeństwem, dostatkami, prestiżem. Dziś rzekomo przywołać ma na myśl stawianie barier, ograniczenia, przeszkody.

Bzdura. Proszę wpisać mnie na listę fanatycznych obrońców i miłośników herbu. To znak z wysokiej półki, patronować ma temu, co wpisuje się w historię miasta i stanowi o jego obliczu. Mur to rzeczywiście bezpieczeństwo, prestiż, powaga i fundamenty tradycji. Ale jakże przekonującą wymowę ma otwarta szeroko w nim brama. To wyraz gościnności i tolerancji, a także gotowości do nawiązywania kontaktów i przyciągania przybyszów. To pamięć o tych, którzy zawitali tu w przeszłości, to ukłon w stronę współczesnych imigrantów, którzy podjęli decyzję osiedlenia się między kopcami Krakusa, Wandy i Kościuszki.



Mieczysław Czuma – profesor krakauerologii, redaktor niehabilitowany.

Bez żartów, proszę

Tekst: Magdalena Miśka-Jackowska

Chyba pod operetkę – powiedział krakowski taksówkarz, gdy poprosiłam, aby mnie zawiózł do opery.

Gdy powiedziałam, że operetki już dawno tam nie ma, posmutniał. Żaden z niego meloman, ale pomyślałam, że to miłe, gdy ktoś czuje sentyment do muzyki, którą wielu uważa za ramię.

Niemal w każdej dziedzinie sztuki rozbawienie odbiorcy tylko pozornie wydaje się dużo łatwiejsze niż wzruszenie go czy serwowanie tzw. wielkich doznań. Jest jednak inaczej, jeśli nie zupełnie odwrotnie. Dlatego komedia pozostaje jednym z najtrudniejszych gatunków, o który od pokoleń rozbijają się większe i mniejsze talenty. Komedia muzyczna, bez względu na to, czy nazwiemy ją operetką, musicaliem, teatrem muzycznym, kabaretem, to już absolutny test umiejętności i wyobraźni. Z radością myślę, że można ten test zdać na piątkę. Przeżyłam takie chwile ostatnio w Teatrze Syrena w Warszawie. Każdy zresztą może je przeżyć, idąc na *Rodzinę Addamsów*. Pomysł przywieziony z nieistniejącego dziś Gliwickiego Teatru Muzycznego. Upiornie dobra, bawi w przekładzie i reżyserii Jacka Mikołajczyka, obecnego dyrektora Syreny. Po jesiennej premierze przedstawienie jest w zimowym repertuarze i reklamuje się hasłem „dla żywych, martwych i niezdecydowanych”. Jest w tym wiele ukrytej prawdy!

W rodzinnym domu nie gardziło się lekką, podkasaną muzą, bo ją także rodzice uprawiali zawodowo. Wyrosłam w szacunku dla Straussów, Kálmána, Lehára, z sentymentem podchodząc do walców, polek i duetów, w których „usta milczą, dusza śpiewa”. Nie przeszkadza mi, gdy sztuka puszcza do mnie oko. Nie potrzebuję dosłowności i nie oburzam się, gdy w scenie balu kochankowie nie rozpoznają się tylko dlatego, że ona włożyła inną rękawiczkę, a on nie ten co zwykle kapelusz. Ale pewnie jestem wyjątkiem. Widownia pełna jest żywych, martwych i niezdecydowanych. Żywych – otwartych na każdą formę, dowcip, potrafiących zaufać artystom. Martwych – których, rzecz jasna, nic już z grobu kulturalnego niezadowolona nie podniesie. Niezdecydowanych – w nich nadzieja, bo o nich można jeszcze powalczyć!

Wspaniale tę misję wypełnia dzisiaj musical, wnoszący do teatru przecież nie tylko humor, ale i dramat, lirykę, dający możliwość popisania się artystom i wymagający od wykonawców wielu zdolności. Ostatnie miesiące były rekordowe pod względem premier musicalowych w Polsce, kultowych wznowień (*Upiór w operze* w Białymstoku!) czy nowych odkryć, jak *Piloci* w Romie, łączący stare zasady z najnowocześniejszą technologią. Ciekawe też, że polski musical, a właściwie jego twórcy, są prawdziwą obwoźną trupą. Ci ludzie nieustannie migrują, zadamawiając się tam, gdzie premiera, po czym jadą dalej na próby, wracają, i z powrotem. Wystarczy dodać,

Nie przeszkadza mi, gdy sztuka puszcza do mnie oko. Nie potrzebuję dosłowności i nie oburzam, gdy w scenie balu kochankowie nie rozpoznają się tylko dlatego, że ona włożyła inną rękawiczkę, a on nie ten co zwykle kapelusz.

że *Rodzinę Addamsów* przygotowano jednocześnie dla Warszawy i Teatru Muzycznego w Poznaniu. Przejrzałam obsady Romy, Syreny, Buffo, wspaniałe zresztą, bo mnóstwo tu znakomitych głosów – Weronika Bochat, Tomasz Steciuk, Marta Wiejak, Damian Aleksander, Edyta Krzemień, Zofia Nowakowska, można długo wymieniać. Oto cała Polska na jednym plakacie!

I tylko krakowski Teatr Variété, jedyny bodaj w mieście, świadczący wyłącznie usługi rozrywkowe, muszę jeszcze odkryć. Chętnie przyjmę rekomendacje i zaplanuję wyjście jeszcze na początku 2019 roku. Chciałabym się pośmiać i zapłakać, zgodnie z zasadą, którą głosił Jerzy Waldorff, że z muzyką powinno być właśnie tak jak z życiem – i dobrze, i źle, i poważnie, i śmiesznie.

Drodzy niezdecydowani, którzy z obawy przed kulturalnym *faux pas* ominiecie *Zemstę nietoperza*. Jest w niej więcej prawdy niż w niejednej, modnej wystawie sztuki współczesnej. Dajcie się porwać. Zrelaksujcie się. Nauczcie dzieci, że nie ma nic złego w melodii, która wpada jednym uchem i nie chce wypaść drugim. A wieczór spędzony z muzyką w teatrze działa lepiej na mięśnie brzucha niż najlepsze spa. Kluczem zaś do artystycznego sukcesu wydaje mi się prosta zasada – komedia ma prawo udać się tylko wtedy, gdy podchodzimy do niej poważnie.



Magdalena Miśka-Jackowska – kierownica z programem artystycznym. Od 2005 roku w zespole radia RMF Classic, autorka wielu programów poświęconych sztuce filmowej. Jako konferansjer związana z licznymi wydarzeniami kulturalnymi w całym kraju. Fanka muzyki filmowej i Krakowa, od pół roku w Warszawie.

Kobieto, bierz przykład ze swojego Adonisa

Tekst: Iga Dzieciuchowicz

Jednym z moich ulubionych zdjęć z fanpejdża *Mężczyzna spełniony jest wizerunek pana siedzącego przed komputerem z dzieckiem na kolanach i podpis: „Pamiętaj, po narodzinach dzieci możesz się spełniać nie tylko w domowych pieleszach na łonie rodziny, ale także realizując się zawodowo! Kiedy pracujesz, dziećmi może zająć się dziadek albo wynajęty do tego nianiak”*.

Pomysł na fanpejdż poświęcony meninizmowi, a więc fikcyjnej walce o prawa mężczyzn, jest prosty – wystarczy podmienić płęć i poczuć się na chwilę tak, jakby patriarchy nigdy nie istniał, a władzę i dominującą pozycję w społeczeństwie zajmowały kobiety. Lustrzane odbicie naszego świata, w którym oczywistością jest to, że mężczyzna powinien ładnie wyglądać, kobieta co najwyżej pomaga mu w domowych porządkach, a on nadaje się tylko do kserowania dokumentów, jest naprawdę zabawne. Do czasu, aż czytelniczki nie uświadomiły sobie, że te wszystkie żarty biorą się nie z genialnego poczucia humoru twórczyni strony, a z naszego prawdziwego życia.

Kiedyś jedna z krakowskich artystek zebrała pod teatrem Bagatela z kartką, na której napisano: „Jestem kobietą, Bóg zapłać”. Oczywiście wielu się krzywiło, bo przecież, drogie panie, nie ma co przesadzać: kobietom w Europie jest dobrze, praw to nie mają kobiety islamu, więc o co wam chodzi? Jak już nam się prawdziwa krzywda dzieje, to pewnie same się prosiłyśmy, no bo helo! która „mądra dziewczynka nie pilnuje drinka”? Druga frakcja uporczywie przekonuje zaś, że my kobiety nie mamy do siebie dystansu, jesteśmy przewrażliwione, a tak w ogóle to od tych swobód nam się w garach przewracało. No i oczywiście – chłopu nam trzeba. A jednak potem czytam w wywiadzie z szefową polskiej branży wiatrowej, że gdy weszła na spotkanie, to arcyważni panowie natychmiast zaczęli zamawiać kawę i herbatę, bo uznali, że kobieta w tym gronie nie może być nikim innym, tylko kelnerką.

Żeby nie było – my same też potrafimy się nawzajem mocno podduszać. Świetnie widać to na forach internetowych poświęconych tematowi macierzyństwa. Cygańskie powiedzenie mówi, że kobiety są słabe, ale matki silne. No cóż, muszą być. Jeśli jesteś kobietą, masz przechlapane, ale jeśli jesteś matką, to przygotuj się na prawdziwą, brutalną wojnę. Ostatnio u fryzjerki panie skomentowały bujną fryzurę jednej z klientek: „Patrząc ją, matka łeb ondulacja, a dzieci głodne chodzą!”. No więc bycie matką to pole minowe i niepewny grunt, ciągłe „grabienie sobie”. Urodziłaś i szybko wróciłaś do pracy? Jesteś wyrodną matką, która porzuca własne dziecko dla kariery. Siedzisz z dzieckiem w domu i nie pracujesz? Cóż za lenistwo! Nie płacz potem, jak cię mąż porzuci dla koleżanki z pracy. Przytyłaś po ciąży?

Kiedyś jedna z krakowskich artystek zebrała pod teatrem Bagatela z kartką, na której napisano: „Jestem kobietą, Bóg zapłać”. Wielu się krzywiło, bo przecież, drogie panie, nie ma co przesadzać: kobietom w Europie jest dobrze, praw to nie mają kobiety islamu, więc o co wam chodzi?

Kochana, po prostu się zapuściłaś. Ćwiczysz? Zajmujesz się sobą, zamiast zająć się dzieckiem. Jesteś samotną matką? Źle wybrałaś w życiu. Mąż cię zdradza? Nie dbałaś o domowe ognisko. Zgoda jest tylko w jednym punkcie: kobieta jest zawsze wszystkimu winna i jak się nie obróci, to rzyć zostanie z tyłu.

Tymczasem z badań wynika, że przeciętny mężczyzna uważa, iż jest równie atrakcyjny jak Johny Depp czy David Beckham. Jednocześnie uważa się za przystojniejszego od Tigera Woodsa, a nawet Christiano Ronaldo. Aż 54 proc. twierdzi, że kocha się w nich co najmniej jedna żona lub partnerka któregoś z kolegów, większość ma się za zdecydowanie przystojniejszych od pięciu swoich kumpli i nie widzi w swoim gronie żadnego godnego siebie rywala. 25 proc. jest z kolei przekonanych, że są bardziej atrakcyjni od swoich towarzyszek życia! Ankietowani przyznali również, że co najmniej cztery razy dziennie podziwiają swoje ciała i twarze w lustrze, a ich ponadprzeciętna inteligencja jest dla nich oczywistością.

A wobec zbliżającego się Dnia Kobiet chciałabym życzyć nam, kobietom, niezachwianej pewności siebie i niezniszczalnego poczucia wartości – ten jeden raz możemy bez wahania wziąć przykład z naszych Adonisów.



Iga Dzieciuchowicz – teatrolożka i feministka. Współpracowała z „Didaskalia-mi”, „Notatnikiem Teatralnym”, „Gazetą Wyborczą” i portalem publicystyczno-społecznym Polska Ma Sens. Współautorka książki *Bartoszewski. Droga*. Na co dzień marketingowiec i dziennikarka „Codziennika Feministycznego”.



Prof. Jacek Purchla jest uznanym urbanologiem i zakochanym w swym mieście krakusem. Efektem wiedzy i pasji stała się wnikliwa i obfitująca w zaskakujące spostrzeżenia analiza fenomenu Krakowa (takiego sformułowania używa sam autor) w ciągu ostatnich dwóch wieków. A więc choćby siły stygmatu – a może nimbu? – stołeczności. A równocześnie wpływu, jaki na miasto i jego mieszkańców wywarło to, że leży ono w specyficznym punkcie kontynentu, jakim jest Europa Środkowa, z drugiej zaś strony – że przychodziło mu funkcjonować w ramach rozmaitych państw i systemów politycznych. Czy zacna, ale też skomplikowana historia jest dla miasta balastem czy bodźcem do modernizacji? W jakim stopniu polityka może wpływać nawet na czysto techniczne, by tak rzec, aspekty rozwoju miasta – choćby na jego architekturę czy kształt urbanistyczny (zajmujące okazują się tu oczywiście czasy okupacji hitlerowskiej, a potem PRL-u)? Jak dalece rozwój organizmu miejskiego da się zaplanować, a jak zależy on od trendów cywilizacyjnych? Jak udało się Krakowowi przejść z miasta zarządzanego wedle reguł ideologii państwowego socjalizmu i gospodarki nakazowo-rozdzielczej do modelu samorządowego i liberalnego? I wreszcie: czym wytłumaczyć tak dynamiczną zmianę, jaka stała się udziałem Krakowa w ostatnim ćwierćwieczu. kb

Jacek Purchla, *Miasto i polityka. Przypadki Krakowa*, Universitas, Kraków 2018.

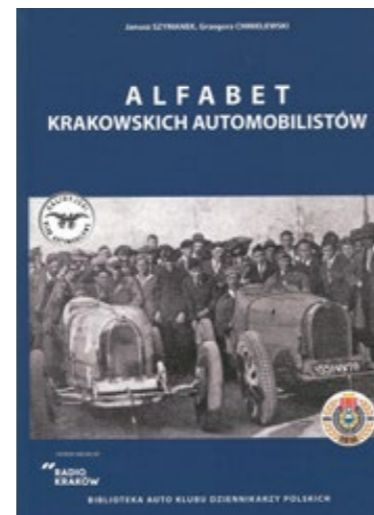


Stanisława Grodziskiego, historyka prawa, twórcy wielu prac naukowych dotyczących głównie Galicji, przedstawiać nie trzeba. Wielokrotnie gościł też na łamach „Krakowa”.

Profesor snuje opowieść – w jakże zajmujący sposób – o sobie w powojennym Krakowie oraz o Uniwersytecie Jagiellońskim, z którym związał losy. Wspomina o wpływie tzw. władzy ludowej na naukę i codzienność Uniwersytetu, opowiada anegdoty o nietuzinkowych postaciach profesorów, szczególnie o Adamie Vetulanim, Antonim Podrazie, Marianie Zgórnianku czy Aleksandrze Krawczuku. Autor, jak wielu jego kolegów, doświadczał trudów życia uczonego w socjalistycznej rzeczywistości. Nie chcąc poddać się często przygnębiającym realiom, zaczęli się spotykać w nieistniejącej już kawiarni Kopciuszek przy ul. Karmelickiej 13, by ostatecznie osiąść przy „stoliku profesorskim” w kawiarni Hotelu Grand przy ul. Sławkowskiej. Rozmowy dobrego, acz o różnych poglądach grona, skrzyły dowcipem, pogłębionymi analizami i dysputami na tematy nie tylko naukowe.

Profesor wspomina czasy niełatwe i Kraków, który przeminął. Nie stoni też od politycznych konstatacji, dotyczących również czasów współczesnych, które nie budzą jego entuzjazmu. Od takich wspomnień trudno się oderwać, nie tylko miłośnikom Krakowa. (ed)

Stanisław Grodziski, *Klio, córka Mnemosyne, kelnerka z „Kopciuszka”*. Kraków 1968–1982, Kraków 2018.



Automobilklub Krakowski jest najstarszą organizacją tego typu na ziemiach polskich – statut zarejestrowano 1 lutego 1908 roku we Lwowie, a pod koniec marca na prezesa powołano (zaocznie) cesarskiego namiestnika Galicji Andrzeja hr. Potockiego. Hrabia Andrzej samochód miał, a nadto z własnych pieniędzy wybudował rafinerię ropy w Trzebini (istnieje do dzisiaj), nieodległej od jego krzeszowickich dóbr, by automobiliści z Galicji zachodniej nie musieli przepłacać za paliwo do tej pory przewożone koleją z rafinerii w okolicach Borysławia.

Przez krakowski klub przewinęło się kilka tysięcy osób, nie tylko kierowców samochodów, a w pewnym okresie także motocykli, lecz i działaczy. W książce jest więc szerokie spektrum nazwisk od Adamka (Ryszarda) poczynając, po Zasadę (Sobiesława) i jego żonę Ewę, a właściwie po Ziąbera (Adama), bo to nazwisko zamyka tom.

Tę niskonakładową książkę najlepiej kupić u wydawcy (piszcie: autoklub01@gmail.com), bo nie ma jej w księgarniach.

Wojciech Machnicki

Janusz Szymanek i Grzegorz Chmielewski, *Alfabet krakowskich automobilistów*, Biblioteka Auto Klubu Dziennikarzy Polskich, Warszawa 2018.



„Poprawiłem tę sentencję – po narodzie z kotem./Jeśli mowa bywa srebrem,/ to mruczenie – złotem” (*Sentencja*).

Franciszek Jan Klimek wierszy o kotach. Jasne, urok tych wierszy, choć bezdyskusyjny, nie polega na metafizyce, poetyczności czy niezwykłym pięknie słów. Ważniejsza jest ich szczerość. Wzruszenie. No i temat oraz sam autor. Tenże, dziś liczący wiosen 84, był związany z Filharmonią Krakowską, a wierszy o kotach napisał ponad czterysta i tomików kocich bodaj dziesięć. Pisywał w czasopiśmie „Kocie sprawy” i „Kot”, a od czytelników tegoż ostatniego otrzymał tytuł „Zwierzoluba” oraz „Kociarza Roku” podczas Światowego Dnia Kota.

Książkę Jan Twardowski pisał kiedyś o autorze: „...bardzo mnie ujął swoimi wierszami i jakże interesująco odczytał moje! To wielka radość wiedzieć, że wywołuje się u drugiego człowieka twórcze inspiracje. Podobają mi się ogromnie także jego wiersze poświęcone kotom. Naprawdę piękne, z puentą, przesłaniem liryczne, smutne i wesołe”. (wb)

Franciszek J. Klimek *Najpiękniejsze wiersze o kotach*, ilustracje: Uliana Lynda, Fundacja Kultury Sztuki Europejskiej ARS LONGA Mieczysława Świącickiego, Kraków 2016.



„Wtedy zimy były śnieżne, drogi niczym nie sypane, sanna była więc znakomita, a i na nartach nawet po drogach dało się sunąć. (...) Na nartach ojca, o wiele, wiele za dużych. Kupił je tatuś jeszcze przed wojną, drewniane, z solidnymi skórzanymi wiązaniami, zapinane na tzw. śponerke”.

I tak snuje się opowieść Stanisława Andrzeja Hodorowicza (z samiuśkiej Bukowiny Tatrzańskiej). Profesora chemii, wykładowcy akademickiego i prorektora UJ, senatora RP, górala z dziada pradziada, autora słownika gwary góralskiej, a na koniec – hetmana podhalańskich zbójników.

Powiedzieć – postać barwna, to nic nie powiedzieć!

A siada przed nim jeden z najlepszych reporterów. Jerzy Sadecki przed laty budował wielką „Gazetę Krakowską”, potem był w „Tygodniku Solidarność” i „Rzeczpospolitej”, ma za sobą kilkanaście znakomitych książek, m.in. *Nowa Huta: ziarna gniewu, ziarna nadziei* (podziemne Wydawnictwo MOST, 1989).

W efekcie dostajemy fascynującą opowieść nie tylko o życiu chłopaka z Bukowiny Tatrzańskiej, który z uporem piął się w górę, ale i miłośnikom napisany szkic o góralszczyźnie.

Jednego mi tylko pytania brakuje: jak to się stało, że górale, tacy miłośnicy wolności, przeciwnicy państwa i urzędów, masowo opowiadają się dzisiaj po stronie antywolnościowego reżymu? (wb)

Rektor zbójnik. Z profesorem Stanisławem Hodorowiczem rozmawia Jerzy Sadecki, Universitas, Kraków 2017.

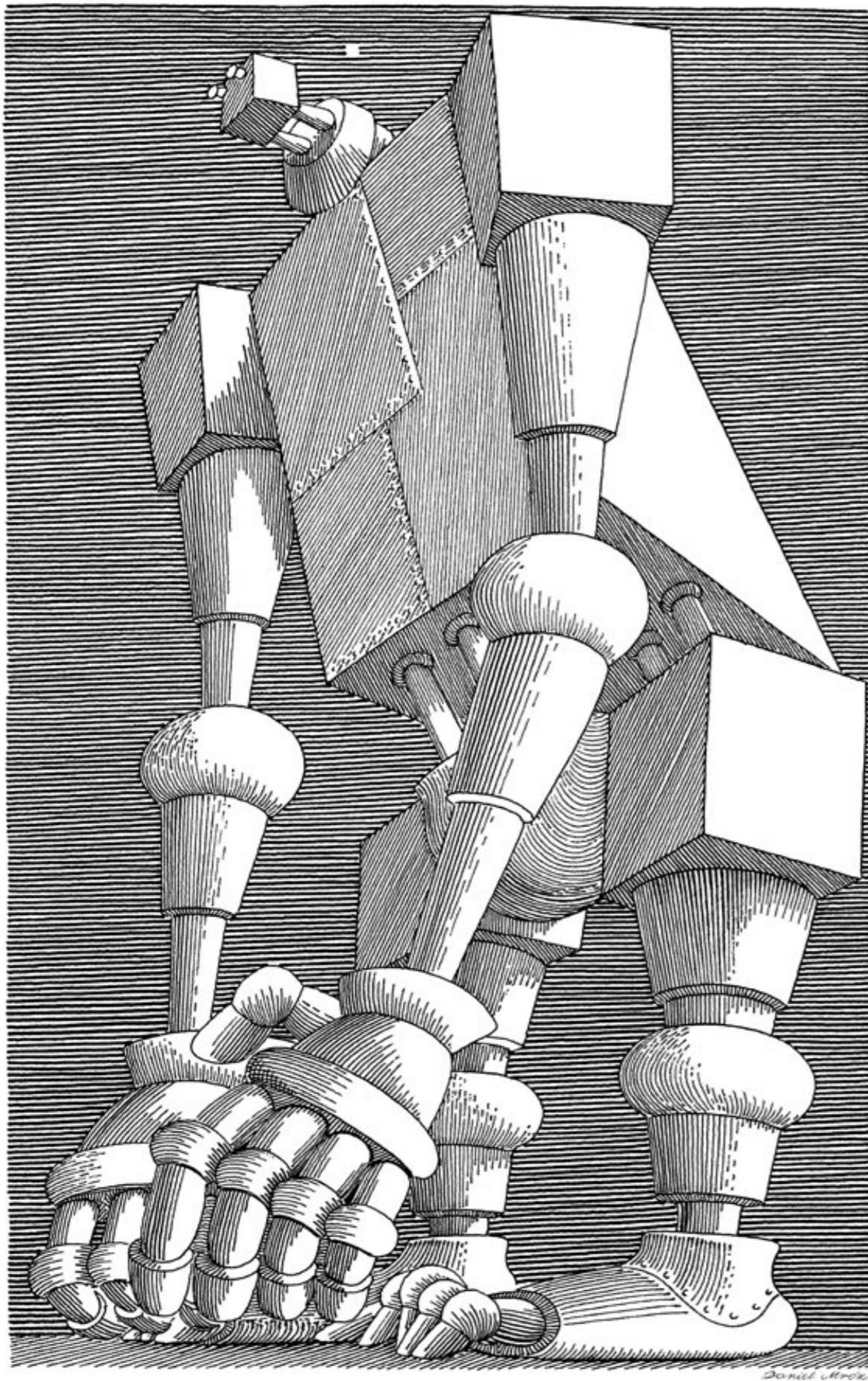


Literaturoznawca, profesor Uniwersytetu w Sztokholmie, ceniony tłumacz literatury szwedzkiej, autor poważnych rozpraw, a poza tym rodowity krakowianin Leonard Neuger ostatnio opublikował *Wierutne bajki dla dorosłych dzieci*. Jak na bajki przystało, ozdabiają je kolorowe, oryginalne i intrygujące ilustracje, a ich autorką jest Maria Hordyj-Jönsson, krakowianka mieszkająca w Szwecji.

Bajki, które powstawały przez kilka lat, są rodzajem literackiej zabawy z językiem, ze skojarzeniami, ze znanymi tematami. Bywają dowcipne, bywają ironiczne, bywają liryczne. Odnajdujemy w nich między innymi reminiscencje z *Ezopa*, *La Fontaine'a*, *Andersena*. Spotykamy zabawne pary bohaterów: *Jeź i wieża*, *Lis i sowa*, *Łabędź i żyrafa*, *Lew i jagnię*. W tej ostatniej Autor sam jest jednym z bohaterów: „Szkoda, że w tej bajce / Autor zginął podle”. Ale „od tego jest w bajkach morał, żeby się mocno w pamięć worał”. (as)

Leonard Neuger *Wierutne bajki dla dorosłych dzieci*, Wydawnictwo Austria, Kraków–Budapeszt–Syrakuzy 2018.

Notesy z obrazami kotów autorstwa Ewy Mańkowskiej



Daniel Mróz
Ilustracja do *Cyberiady* Stanisława Lema, 1972



Wydawnictwo EMG jest pomysłodawcą Dnia Kota w księgarniach



Fot. Piotr Uss Wąsowicz

Fatalna wiadomość dla Polski walczącej o wolność myślenia – 27 grudnia 2018 roku odszedł biskup Tadeusz Pieronek. Choć wiele jego wypowiedzi było kontrowersyjnych dla ludzi niewierzących, to on sam zawsze próbował dialogu właśnie w imię demokracji i wolności. To dzięki niemu wielu – coraz rzadziej to dziś możliwe – mogło myśleć bez zbrzydzenia o Kościele.

Ale też stał biskup Pieronek w rządzie nie byle jakim, zaliczając się do przyjaciół księdza Józefa Tischnera. Wspominał, jak to Tischner bronił się przed stanowiskami kościelnymi, w tym – przed biskupstwem krakowskim. W książce

Tischner. Podróż zauważał: „Generalnie rzecz biorąc – wysoka pozycja oznacza zawsze u kogoś postawę zazdrości. Pyta ktoś: – A po co on tam poszedł, co się on na tym zna? To nie jest takie łatwe”.

Miało się wrażenie, że jego opowieść o duchownych niepokornych, przy całej jego skromności, była opowieścią również o nim samym. O nim jako o autorytecie dla wielu, w tym – a może zwłaszcza – dla wątpiących. Autorytecie, który w ostatnich latach przez Kościół dominujący został odsunięty.

I którego następców nie widać.

(wb)

■ Mottem 11. Międzynarodowego Festiwalu Teatralnego Boska Komedii były słowa *Dziwny jest ten świat*, zarazem tytuł słynnej piosenki Czesława Niemena. Przepelniony do granic możliwości program dopełniany był spotkaniami z artystami teatralnymi. Między innymi w ramach cyklu *Sztuka myślenia* odbyła się dyskusja o teatrze, polityce i metafizyce z udziałem prof. Piotra Augustyniaka, Krystiana Lupy, Janusza Palikota i Bartosza Szydłowskiego. Do konkursu festiwalowego zakwalifikowano trzynaście spektakli – w tym aż cztery krakowskich teatrów. Międzynarodowe jury, obradujące w składzie Anamarta de Pizarro, Ivan Medenica, Igor Lozada i António Araújo, za najlepsze przedstawienia uznało *Pod presją* w reżyserii Mai Kleczewskiej z Teatru Śląskiego oraz *Zapiski z wygnania* w reżyserii Magdy Umer z Teatru Polonia. Nagrodę za najlepszą rolę męską festiwalu otrzymał Szymon Czacki za kreację w *Konformiście 2029*. Nagrodę za najlepszą rolę kobiecą festiwalu otrzymały *ex aequo* Sandra Korzeniak (*Pod presją*) i Krystyna Janda (*Zapiski z wygnania*). Nagrodę za najlepszą drugoplanową rolę męską festiwalu otrzymał Jan Sobolewski (*Żaby*), a za najlepszą drugoplanową rolę kobiecą – Jadwiga Jankowska-Cieślak (*Wyjeżdżamy*). Nagroda za najlepszą reżyserię przypadła Michałowi Borczuchowi za *Żaby*. Nagrodę za reżyserię dźwięku i muzykę otrzymał Paweł Mykietyń, a nagrodę za scenografię i kostiumy przyznano Małgorzacie Szczęśniak (w obu przypadkach za spektakl *Wyjeżdżamy*).

■ Na Akademii Sztuk Pięknych – obchodzącej jubileusz dwustulecia – obchodzone setną rocznicę dopuszczenia kobiet do studiów. 14 grudnia 1918 roku osoba pisząca protokół podczas posiedzenia profesorów uczelni zanotowała: „Przewodniczący podaje wniosek przyjęcia kobiet do Akademii jako zwyczajne uczennice (...) na co się zgodzono i wniosek ten uchwalono”. Pierwszą studentką była rzeźbiarka Zofia Bałtarowicz-Dzielińska (1894–1970).

■ Jerzy Trela, krakowski aktor i pedagog, został tegorocznym laureatem

nagrody Gustaw, najważniejszego wyróżnienia w kategorii „Twórczość” przyznawanego przez Związek Artystów Scen Polskich i ogłaszanego 21 grudnia w rocznicę powstania ZASP (w 2018 roku stowarzyszenie obchodziło jubileusz stulecia). W rekomendacji wniosku napisano, że „artysta należy do nielicznego grona aktorów, którzy stworzyli role legendarne. Postaci Gustawa-Konrada i Konrada, wykreowane w inscenizacjach Konrada Swinarskiego są ikonami teatru polskiego w jego najświetniejszym okresie”. Nagrodę Gustaw ustanowiono dla upamiętnienia pochodzącego z Krakowa Gustawa Holoubka (1923–2008), jednego z najwybitniejszych artystów sceny teatralnej i filmu drugiej połowy XX wieku, aktora, reżysera, pedagoga, wieloletniego prezesa stowarzyszenia SPATiF, a także honorowego prezesa SPATiF-ZASP.

■ Ukonstytuowała się nowa Komisja Kultury i Ochrony Zabytków Rady Miasta Krakowa. Przewodniczącą ponownie została Małgorzata Jantos, a członkami zostali: Tomasz Daros, Michał Drewnicki, Grażyna Fijałkowska, Nina Gabryś, Dominik Homa, Adam Kalita, Jakub Kosek, Bolesław Kosior, Wojciech Krzysztoń, Teodozja Maliszewska, Łukasz Maślona, Stanisław Moryc, Agata Tatara i Jerzy Zięty. W tym składzie komisja będzie pracować do 2023 r.

■ Sejmik Województwa Małopolskiego powołał Komisję Kultury, której przewodniczy Rafał Stuglik, a jego zastępcami są Marta Mordarska i Elżbieta Achinger. W skład Komisji weszli: Stanisław Bisztyga, Robert Bylica, Jerzy Fedorowicz, Iwona Gibas, Filip Kaczyński, Rafał Kosowski, Anna Pieczarka, Małgorzata Radwan-Ballada. Komisja w tym składzie pracować będzie do 2023 roku.

■ 6 stycznia w Teatrze STU odbyła się premiera spektaklu Joe Masteroffa, Johna Kandra i Freda Ebby *Cabaret*, reżyseria – Krzysztof Jasiński, tłumaczenie – Kazimierz Piotrowski i Wojciech Młynarski, scenografia – Marta Wieczorek, Maciej Czuchryta,

choreografia – Jarosław Staniek, kierownictwo muzyczne – Konrad Mastyło, aranżacje – Ignacy Stojek.

■ 6 stycznia, tradycyjnie już, przez Kraków przeszedł Orszak Trzech Króli. Królowie Kacper, Melchior i Baltazar ruszyli z Wawelu, placu Jana Matejki i ul. Konfederackiej, by połączyć się w jeden wielki orszak na Rynku Głównym.

■ 15 stycznia, w dniu 150. urodzin Stanisława Wyspiańskiego, w Muzeum Narodowym otwarto wystawę *Wyspiański. Nieznany*. Pierwszy raz zaprezentowano zakupiony w roku ubiegłym autoportret artysty z 1897 roku oraz również będący nowym nabytkiem MNK portret z 1904 roku znanego krakowskiego pediatry dra Jana Rudolfa Raczyńskiego. Ekspozycję dopełnia prezentacja szkiców, pierwodruków oraz liczącego ponad 600 woluminów księgozbioru Stanisława Wyspiańskiego. W ramach realizowanego przez Miasto Kraków projektu „Kraków – miasto Stanisława Wyspiańskiego” odbyło się też wiele poświęconych Czwartemu Wieszczeni spotkań i prezentacji przygotowanych w Rydlówce przez Muzeum Historyczne Miasta Krakowa oraz przez Bibliotekę Kraków w Klubie Dziennikarzy „Pod Gruszką” oraz Filii nr 2.

■ 18 stycznia na scenie Małopolskiego Ogrodu Sztuki – Teatr im. Juliusza Słowackiego odbyła się premiera spektaklu Williama Whartona *Spóźnieni kochankowie*, reżyseria i adaptacja – Błażej Peszek. W tytułowych rolach wystąpili Anna Polony i Jan Peszek.

■ 19 stycznia na scenie Teatru Variété odbyła się premiera spektaklu Bertolda Brechta *Opera za trzy grosze*, reżyseria – Jerzy Jan Połoniński, choreografia – Jarosław Staniek, scenografia i kostiumy – Katarzyna Zielonka, kierownictwo muzyczne – Oleg Sznicar, kierownictwo wokalne – Justyna Motylska.

Opracował Janusz M. Paluch

Edelman 100

Dziś miałyby 100 lat... Z inicjatywy Łódzkiego Centrum Dialogu im. Marka Edelmiana miasto Łódź ogłosiło rok 2019 rokiem tego wielkiego obywatela.



4 stycznia właśnie w nabitej po brzezi sali Centrum rozpoczął się ten rok. Byli jego przyjaciele, którzy go wspominali. A Witold Beres i Krzysztof Burnetko, redaktorzy miesięcznika „KraKów”, przy okazji biografowie Edelmiana, przypomnieli tuzin zasad i rad Edelmiana na trudne czasy, z tą najważniejszą: „W zasadzie najważniejsze jest życie. A jak już jest życie, to najważniejsza jest wolność. A potem oddaje się życie za wolność. I już nie wiadomo, co jest najważniejsze”.

Marek Edelman, jak się przyjmuje, urodził się 1 stycznia 1919 roku, a zmarł dziesięć lat temu, w październiku. Człowiek niezwykły: współorganizator Żydowskiej Organizacji Bojowej w warszawskim getcie i jeden z dowódców powstania, później żołnierz powstania warszawskiego, po wojnie w Łodzi, gdzie został sławnym kardiologiem, w PRL działał w demokratycznej opozycji, a po roku 1989 – obrońca praw człowieka na całym świecie.

„Jeśli są osoby, które nie wiedzą, kim był Marek Edelman, to przypomniemy, że był niezwykłym człowiekiem, który walczył o wolność. Nazywał zło, walczył z nim i nie chciał być na nie obojętny. Powtarzał, że obojętność to jest akceptacja dla zła” – mówił Krzysztof Piątkowski, wiceprezydent Łodzi.

Najpierw była propozycja, aby Rok Edelmiana przegłosował Sejm. Jednak PiS zablokował tę uchwałę. Co jakoś nie dziwi. Teraz Centrum Dialogu przygotowuje wiele wydarzeń, które mają popularyzować dorobek Edelmiana. Będzie na przykład prapremiera filmu *Była miłość w getcie* na podstawie książki Marka Edelmiana i Pauli Sawickiej czy poświęcona Edelmanowi wystawa i komiks dla najmłodszych.

Miesięcznik „KraKów” przyłącza się do tej inicjatywy i wzywa wszystkich do współpracy – niech w roku trudnych wyborów świat wartości Edelmiana będzie hasłem ogólnopolskim!

(red.)

Fot. Archiwum Centrum Dialogu/HaWa

MIESIĘCZNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY
KRAKÓW

ISSN 1733-0459 Indeks 388726

Miesięcznik społeczno-kulturalny „KraKów”

Wybierz Kraków!

Nic, co krakowskie, nie jest nam obce

Wydawca: Biblioteka Kraków – dyr. Stanisław Dziedzic. Adres Redakcji i Wydawcy: pl. Jana Nowaka-Jeziorańskiego 3, 31-154 Kraków.

Kontakt: tel. 12/61 89 120, 661 22 82 82, e-mail: redakcja@miesiecznikkrakow.pl oraz redakcja@biblioteka.krakow.pl

www.miesiecznikkrakow.pl

Pismo tworzą: Jacek Balcewicz, Witold Beres (redaktor naczelny – witold.beres@biblioteka.krakow.pl), Krzysztof Burnetko (sekretarz redakcji – krzysztof.burnetko@biblioteka.krakow.pl), Mieczysław Czuma, Ewa Danowska, Iga Dzieciuchowicz, Zofia Gołubiew, Paweł Głowacki, Krzysztof Jakubowski, Ewa Kozakiewiczowa, Ewa Lipska, Majka Lisińska-Kozioł, Wojciech Machnicki, Maria Malatyńska, Magdalena Miśka-Jackowska, Magdalena Oberc, Janusz M. Paluch, Lesław Peters, Jan Pieszczachowicz (redaktor senior), Sylwia Pyzik, Andrzej Romanowski, Anna Stafiej, Katarzyna Siwiec, Elżbieta Wojnarowska, Anna Woźniakowska, Jakub Wydrzyński.

Fotografowie: Grzegorz Kozakiewicz, Alicja Rzepa, Piotr Uss Wąsowicz, Danuta Węgiel, Jan Zych. **Layout:** Igor Banaszewski.

Wizerunek pisma i współpraca reklamowa: Edyta Wiśniowska, tel. 12/61 89 120, 661 22 82 82, e-mail: edyta.wisniowska@biblioteka.krakow.pl.

Adiustacja i korekta: Anna Szczepańska-Krasoń, Janusz Krasoń

Druk: Drukarnia KOLUMB

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzega sobie prawo skracania, adiustacji i opracowania redakcyjnego tekstów oraz zmiany ich tytułów. Przedruki tylko po uzyskaniu zgody wydawcy i z zamieszczeniem adresu źródłowego.

Za treść ogłoszeń i reklam redakcja nie ponosi odpowiedzialności.

z wysyłką wynosi **7 zł** w kraju i **12 zł** za granicą. **Prosimy o podanie adresu, pod jaki pismo ma być dostarczane!** Wysyłka rozpoczyna się od pierwszego numeru wydanego po dniu wpłaty.

Numery archiwalne: cena wraz z wysyłką – **7 zł** za egz. **Więcej informacji:** www.miesiecznikkrakow.pl, Facebook: <https://www.facebook.com/miesiecznikkrakow/?ti=as>. Ponadto prenumeratę realizują: **RUCH, KOLPORTER, GARMOND** – szczególnie na witrynach internetowych kolporterów.

Pustostan

Jednakowi ludzie nie tworzą miasta – to hasło stało u podstaw projektu „Pustostan 2018”.



Wszystko organizowała przez miniony rok dwójka zapaleńców-miłośników miasta i fanatyków kultury (no i przyjaciół miesięcznika „KraKów”): Tomasz Janowski i Tomasz Schimscheiner. Ukoronowaniem cyklu było grudniowe spotkanie z wiceprezydentem miasta Andrzejem Kuligiem, który do niedawna odpowiadał za kulturę.

Tomek Janowski żartobliwie zauważył, że związki przestrzeni z kulturą w Krakowie są widoczne na każdym kroku – nawet tablica ostrzegawcza na niedalekiej budowie ma poetycką inwersję: „Uwaga prace budowlane – przejście drugą ulicy stroną”.

Ale pytań – i to ważnych – było później mnóstwo. Mówi się na przykład, że Kraków ma „best walking distance” w Europie. Ale *de facto* dotyczy to tylko ścisłego centrum i Kazimierza – co zatem zrobić, żeby tę przestrzeń poszerzyć na inne dzielnice;

jaka w tym rola kultury? Czy wszyscy podobnie rozumiemy, czym jest miasto? Czy Kraków – Miasto Kultury to hasło czy paradygmat rozwojowy?

Andrzej Kulig znany jest z tego, że lubi zaczepić: – Czy aby na pewno kultura jest paradygmatem rozwoju miasta? Spójrzmy dziś na Montmartre – sama chińszczyzna, robi się słabo... To jest niepopularne, co powiem – w tym mieście, była kiedyś wybitniejsza kultura... Zważywszy zarówno na ludzi, jak i formę. Owszem, zważywszy na kondycję dziś kultury w Polsce, która nie jest najlepsza, i tak nie jest tak źle...

No i się zaczęło. Uff...

Na koniec wszyscy jednak zauważyli, że miasto to proces, a nie stan. Tak i Kraków jest procesem przeszło tysięcznym. A przed nami tysiąc lat kolejnych... (wb)

Fot. od lewej: Tomasz Schimscheiner, Andrzej Kulig, Tomasz Janowski

Przepraszamy

W pracach redakcyjnych czasami działa zły duch – w bardzo ciekawej rozmowie Jacka Balcewicza z Lili Haber w numerze styczniowym tajemnicza siła włożyła oprócz zdjęcia bohaterki wywiadu (fotografia autorstwa red.

Balcewicza) zdjęcie znanej tłumaczki literatury polskiej na serbski – pani Biserki Rajčić (fotografia autorstwa Grzegorza Kozakiewicza).

Przepraszamy bardzo obie Panie oraz oczywiście autorów zdjęć.

W następnym numerze:



Renata Przemyk – o piosence, Krakowie i o sobie

Ponadto:

Komiks w Krakowie i na świecie

Niebanalny himalaista Adam Bielecki

Felietony Ewy Lipskiej, Magdy Miśki-Jackowskiej i Jerzego Pilcha

Luty to miesiąc kota

... więc zerknijmy na resztki plakatów z ostatniej kampanii samorządowej wiszące jeszcze tu i ówdzie.



Ach, czy już pani wie,
Moja pani, moja pani,
Ach, czy już pani wie,
Co się stało na A-B?
Boy

Opracował Jakub Wydrzyński

Milionowe Muzeum Narodowe

Muzeum Narodowe w Krakowie po raz drugi zakończyło rok rekordem: w 2018 roku muzealne oddziały odwiedziło 1 100 000 osób. Inne muzea narodowe w Polsce odwiedza średnio 600 tys. widzów. W 2019 roku Muzeum Narodowe obchodzi

140-lecie założenia. W lutym będziemy mogli w nim podziwiać ekspozycję *Moc natury. Henry Moore w Polsce*, a z początkiem kwietnia w Gmachu Głównym zostanie otwarta multimedialna i narracyjna wystawa *Wajda*.



Rys. Małgorzata Tabaka

Nowe szaty szkieletora

Może jeszcze nie Empire State Building, ale już nie upiór w centrum miasta. Szkieletor wyczyszczony do stalowych elementów konstrukcyjnych przechodzi z historii architektury XX (początki jego budowy sięgają lat 70. zeszłego stulecia) do XXI wieku, stając się częścią wielkiego kompleksu budynków Unity Centre. W obrębie centrum zaprojektowany został nowy miejski plac z restauracjami, kawiarniami, butikami, sklepikami oraz drobnymi usługami. Ma on też stanowić szlak komunikacyjny dla studentów Uniwersytetu Ekonomicznego. Ciekawostką będzie restauracja na najwyższym piętrze z ogólnodostępnym tarasem widokowym. Na pierwszym z pięciu budynków nowego centrum biznesowego, czyli University Office widnieje już wiecha, zaś ukończenie budowy całego kompleksu przewidziane jest na koniec roku 2019 roku. Wówczas to historyczny szkieletor rozpocznie nowe życie jako dwudziestosiemki kondygnacyjna wieża Unity Tower – centralny budynek kompleksu.

Wyemancypowany ogród

Tradycją miasta stało się, aby zasłużonych obywateli Krakowa upamiętniać poprzez zielen. Swoją dąb na bulwarach wiślanych ma już Wisława Szymborska, na Plantach skweru swego imienia doczekali się Andrzej Wajda i Władysław Bartoszewski. W tym roku przyszedł czas na emancypantki. Na stulecie uzyskania praw wyborczych przez Polki Zarząd Zielni Miejskiej przedstawił projekt Ogródu Krakowianek – parku kieszonkowego w pobliżu pętli Nowy Kleparz. W ogrodzie miałyby się pojawić 100 drzew, kilka tysięcy kwiatów, a także ścieżka dydaktyczna pozwalająca na zapoznanie się z historią emancypacji kobiet w Polsce i na świecie. Pozostaje poczekać do wiosny, gdy Ogród Krakowianek puści pierwsze liście. Oby tylko wielcy krakowianie nie zzielenieli z zazdrości.

Casting na wózek

Rewolucja w świecie obwarzanka! Ulubiony przysmak turystów, niechlubnie mylony z preclm legendarny wypiek regionalny już niebawem zyska nowy środek transportu, narzędzie ekspozycji oraz sprzedaży w jednym. Tradycyjne wózki na precle odchodzą do lamusa. Zastąpią je nowe, wybrane w zeszłorocznym konkursie stragany na kółkach projektu Jakuba Gołębińskiego lub Daniela Suchockiego. Prototypy obu zwycięskich pojazdów przechodzą już pierwsze próby w przestrzeni miejskiej. Do końca lutego będzie je testować stowarzyszenie kupców prowadzących handel obwoźny w centrum. Wygląda na to, że to ostatni moment na zdjęcie z tradycyjnym „akwariarium”. Zatem: obwarzanki i aparaty fotograficzne w dłoń!



Rys. Piotr Błachut

Mapując Hutę

Aktywni nowohucianie ze Stowarzyszenia B1 postanowili przenieść informację miejską do epoki Web 2.0. Na platformie internetowej tutaj.me mapują przydatne miejsca w dzielnicy, takie jak punkt naprawy parasolek, magiel czy najstarsza cukiernia. Ce-



Rys. Piotr Błachut

Małopolska na bogato

Statystyki nie kłamią – w Małopolsce żyje coraz więcej milionerów. W ciągu pięciu lat podwoiła się liczba Małopolan zarabiających ponad 1 mln zł brutto rocznie, czyli średnio ponad 83,3 tys. zł miesięcznie. Najciekawiej wygląda dochodowe zestawienie samego centrum Krakowa. Według danych Urzędu Skarbowego zameldowanie

lokalnych milionerów przedstawia się następująco. Największą ich liczbę (258) odnotował US w Krakowie-Krowodrzy. Na drugim miejscu znalazł się US Kraków-Stare Miasto (232), a tuż za nim US Kraków-Podgórze (229). Może już czas rozważyć wprowadzenie wystawniejszych nazw dzielnic: Złotodrza, Srebrne Miasto, Brylantowe Wzgórze?

Prezesi jak ze stali

Akademia Górniczo-Hutnicza to już nie tylko zagłębie inżynierów Karwowskich, ale macecznik kadry zarządzającej. Największa małopolska uczelnia techniczna zajęła trzecie miejsce w rankingu „Kuznia prezesów” przygotowanym przez „Rzeczpospolitą”. Jak się okazuje, aż

6,11 proc. szefów 570 największych przedsiębiorstw w Polsce to absolwenci AGH. 79 proc. absolwentów uczelni podjęło pracę zgodną lub częściowo zgodną z wykształceniem, a prawie 56 proc. otrzymało więcej niż jedną propozycję zatrudnienia.

lem akcji jest zaproszenie mieszkańców do wspólnego tworzenia mapy. Z podanych przez nich lokalizacji tworzone są filmy i reportaże fotograficzne. Obywatelska samopomoc przyniosła niespodziewane liczne rezultaty. Administratorzy fanpage'u Nowa

Huta B1 nie nadążają z zaznaczaniem materiałów na mapie. Czyżby mieszkańcy Dzielnicy XVIII znaleźli niewykorzystaną społeczną niszę w przestrzeni internetu? Jak pokazuje życie – w lokalnej topografii najlepsza wyszukiwarka to wszędobylska sąsiadka.

PO BERNARD
SLADE
LATACH
O TEJ
SAMEJ
PORZE

REŻ. HENRYK JACEK SCHOEN

spektakle

22 lutego, godz. 19.15
23 lutego, godz. 17.00

Klub przyjaciół miesięcznika KRAKÓW



Zofia Katarzyna Morstin Kraków	Piotr Maciukiewicz Kraków	Anna Kozłowska i Damian Kalbarczyk Kraków	Grzegorz Szymański Warszawa	Małgorzata Barońska-Jaguś i Paweł Jaguś Kraków	Wanda Chmielowska Kancelaria Radcy Prawnego Kraków
Aleksander Skotnicki Kraków	Alicja i Krzysztof Goerlichowie Kraków	Beata i Wojciech Starowieyscy Kraków	Andrzej X. Kraków	Stanisław Dudzik Kraków	Adam Michnik Warszawa
Marek Borkowski Kraków	Janusz Szerla Kraków	Grzegorz Kogut Kraków	Robert Barański Kraków	Józef Palinka Warszawa	Krzysztof Kołtun Chełm
Marek Braun Kraków	Krzyszyna Zachwatowicz Kraków	Kazimierz Sumera Zawoja			

Dołącz do Klubu Przyjaciół „Krakowa”!

Klub Przyjaciół Miesięcznika „Kraków” to program dla przyjaciół kultury. **WPLAĆ 140, 500 lub 1000 złotych** – w zamian w naszym miesięczniku zamieścimy logo Twojej firmy lub instytucji, a w przypadku osób będzie to po prostu ich imię i nazwisko (im więcej wpłacisz, tym częściej będziemy je pokazywali! -))

Będziesz też dostawał upominki i pamiątki związane z miesięcznikiem i jego ludźmi oraz zaproszenia na redakcyjne spotkania i imprezy okolicznościowe, wręczenia nagród itp. Oczywiście wszyscy członkowie Klubu Przyjaciół będą przez cały rok otrzymywali miesięcznik w wersji papierowej lub elektronicznej.

Wpłaty:
Biblioteka Kraków
pl. Jana Nowaka-Jeziorańskiego 3
31-154 Kraków
24 1020 2892 0000 5102 0677 8528
tytułem: Klub Miesięcznika „Kraków”
– nie zapomnij podać adresu, na jaki mamy wysłać nasz magazyn!
Istnieje też możliwość uzyskania tytułu Złotego Mecenasa Promocji „Krakowa” – zapraszamy do rozmów.

Na moje pasiaste oko...

Tekst: Jerzy Pilch

Na moje pasiaste oko: zły duch, co do tej pory pętał nogi piłkarzy Cracovii, przerzucił się na kibiców i nie tylko nogi im kazi.

Kibice, kibole, grupa nie tyle trzymająca w klubie władzę, ile o tę władzę się ubiegająca – różnie ich nazywają – frajerzy bez kasy, spiskowcy spod Wawelu, grupa open letter – jest w czym wybierać.

Od razu też wyjaśniam: ja nie dokonuję żadnego wyboru, ja nie wybieram pomiędzy Filipakiem a jakimiś siłami, co są przeciw niemu, ja nie rozważam argumentów za i przeciw, ja popieram Filipiaka, bo uważam, że drugiej strony sporu po prostu nie ma, że jak tu jest jakieś starcie, to przeciw profesorowi chimery, piana na wodzie, nieudacznicy, co im interesy idą jak sierp z dupy, i inne niewiarygodności występują.

Jak wszyscy wiemy niedobrze mieć 100 proc. racji – Filipiak niestety dysponuje 100 proc. racji, nie ma jednakowoż w tym jego winy.

Wieloletnie kierowanie Cracovią nauczyło go, jak sądzę, dwu rzeczy, to znaczy nauczyło go bezmiaru różnych rzeczy, ale dwie wysuwają się w oczywisty sposób na plan pierwszy: są to cierpliwość i zupełna pewność, że Cracovia to jest klub inny niż wszystkie.

„Cierpliwość i czas” powtarzał pod Moskwą jednooki Kutuzow. Czy frazę tę powtarza Filipiak osobiście, wątpię, ale chodzi mu o to samo: wygrać z Napoleonem wtedy to było mniej więcej tak, jak wygrać Ligę Mistrzów. Cierpliwość w piłce nożnej to jest kategoria od potocznej odległa, tu naprawdę trzeba umieć czekać. Tu naprawdę trzeba umieć wybrać pomiędzy masową presją kibiców, którzy najchętniej zmieniliby trenera w trakcie meczu, a momentem, kiedy pewne zmiany są konieczne. W przypadku Cracovii, klubu niezwykłego, trzeba naprawdę umieć tę niezwykłość przynajmniej zauważać.

Być może Filipiak miał początki trudne, być może traktował klub jak zwyczajne przedsiębiorstwo – być może trochę z tym przesadzał, ale i to doświadczenie było dobre, uczył się często okrutnej nieprzewidywalności piłki nożnej. W przypadku Cracovii jest to nauka specjalnie trudna i, powiedziałbym, zniechęcająca. Cracovia wiadomo – ma wyrównać, nie wyrówna; ma strzelić zwycięskiego gola, nie strzeli – plus cała reszta negatywnych i pozornie niezniszczalnych zabobonów. Zaręczam, długo, bardzo długo trzeba czekać, aż zabobony te zostaną przewyciężone.

Cierpliwość w piłce nożnej to jest kategoria od potocznej odległa, tu naprawdę trzeba umieć czekać. Tu naprawdę trzeba umieć wybrać pomiędzy masową presją kibiców, którzy najchętniej zmieniliby trenera w trakcie meczu, a momentem kiedy pewne zmiany są konieczne.

Ostatni – przed zimową przerwą – mecz z Zagłębiem Lubin był pod tym względem wysoce pouczający. Cracovia grała kiepsko, Zagłębie dominowało, rychło objęło prowadzenie, kwestia dalszych bramek dla gospodarzy – mecz, co ma niemałe znaczenie, odbywał się w Lubinie – zdawała się kwestią czasu, Cracovia, jakby to Sienkiewicz powiedział, „broniła się jeszcze”. Aż przyszła 70 minuta i sędzia wyrzucił z boiska bramkarza lubinian. Czyli nadeszło 20 minut prawdy.

Wiadomo, że stara Cracovia (ta sprzed obalenia paraliżujących guseł i ta sprzed dyskusyjnej niekiedy zadziorności i najwyższej fachowości Michała Probiezja) niczego by w tej nagle korzystnej sytuacji nie ugrała. Raczej zamiast rozsądnym szturmem ruszyć na przeciwnika, wdałaby się w jakiś skrajny chaos i prędzej by straciła bramkę, niż wyrównała. Tymczasem 20 minut prawdy miało architekturę nieubłaganą, trzeba było w ciągu 20 minut strzelić dwie bramki, nie stracić żadnej, trzeba było wygrać, zgarnąć pełną pulę – tylko zwycięstwo pokazywało, ile jesteśmy warci. I co powiecie? Stało się jak w dokładnie napisanym scenariuszu, nawet ta druga bramka, kiedy rykoszet zmylił bramkarza, była jakimś odczarowaniem fatalnego fatum – takich bramek Cracovia nie strzelała, owszem, traciła często.




Jerzy Pilch – pisarz, felietonista i kibic.





TEATR GROTESKA



Kraków
15-23
lutego
2019

5. międzynarodowy festiwal teatru formy

MATERIA PRIMA

www.materiaprima.pl

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

PARTNERZY FESTIWALU

INSTITUT FRANÇAIS

CRACOVIA

OPATRONI MEDIALNI

TYTUŁ 3 KRAKÓW

ams

ocjastgrano24

interia

RMF

e-teatr.pl

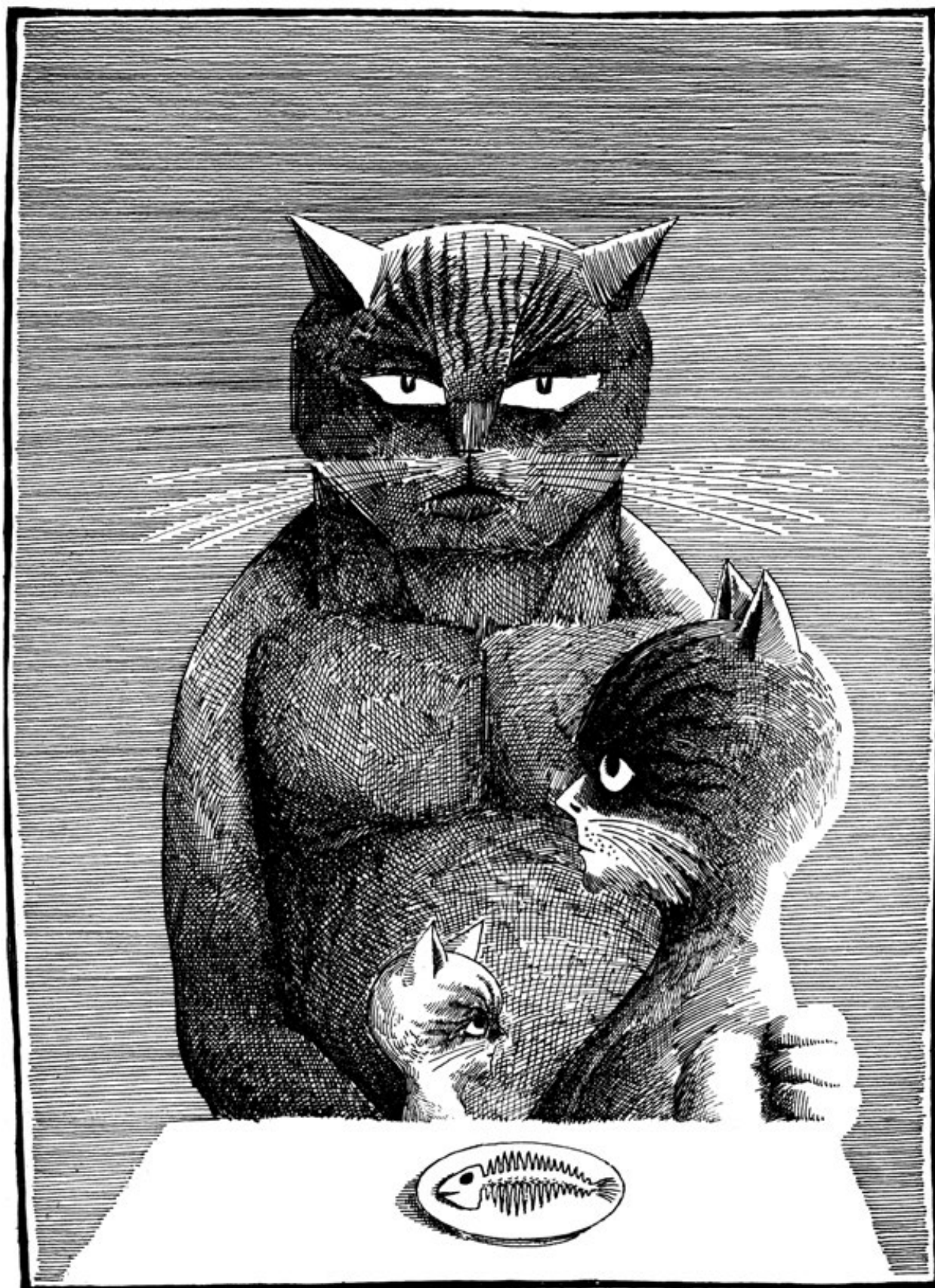
TEATR

tanecPILSKA.pl

Wroclop

DIGITAL HOUSE

Clam



Daniel Mróz

Kocia rodzina z serii rysunków *Kocie sprawy*, 1959 – więcej informacji o artyście wewnątrz numeru